WIEDZA TAJEMNA

ŚT. A. WOTOWSKI

WIEDZA TAJEMNA

Wydawnictwo „WSPÓŁPRACA" Warszawa

1939

Druk. „Współpraca", Warszawa.

WSTĘP

Najstarożytniejsze narody różnego stopnia cywilizacji wierzyły w egzystencję duchów i to nie tylko lud prosty, ale nawet najwybitniejsi uczeni.

Słynny filozof grecki Pytagoras nauczał, że świat cały jest pełen istot niewidzialnych, krążących w powietrzu, że są one w ciągłej styczności z ludźmi, mogąc im źle i dobrze robić. Nauczał Pytagoras, że postem, modlitwą, i dobrymi uczynkami, można sobie zjednać pomoc dobrych duchów, a nad złymi panować. On sam niekiedy w głębokiej przesiadywał jaskini, przepędzając tam dnie i tygodnie na poście i modlitwach i z dobrymi, jak mówił, obcował duchami, które go wszystkich tych nauczyły prawd, jakie on uczniom swoim wykładał.

Sokrates wierzył w duchy, miał nawet swego demona, który mu objaśniał tajemnice nieśmiertelności duszy i Boga.

Takiego zdania byli Pytagoras i Sokrates, a w ślad za nimi cały szereg najwybitniejszych filozofów, uczonych i pisarzy, poczynając od starożytnych, a kończąc na dobie obecnej.

Jak widzimy od niepamiętnych czasów istniało przekonanie, że można wejść w bliższe stosunki z istnościami zaświata i naukę, w jaki sposób postępować należy, aby to stało się możliwe, nazywano magią.

Co prawda magia daje nam nie tylko sposoby, jak można porozumiewać się z niewidzialnymi istotami. Magia w wyższym znaczeniu tego słowa jest nauką o tym, w jaki sposób można udoskonalić samego siebie, zapanować nad siłami przyrody i stać się istotą lepszą i wyższą. Nie będę dłużej zatrzymywać się nad tym tematem, gdyż poruszyłem go szczegółowo w mojej poprzedniej książce p. t. „Magia i czary".

Zaznaczę tylko, że już w starożytności przeprowadzano następujący podział magii, zaproponowany przez Porfiriusza.

Dzielił on magię na teurgię i goecję.

Teurgią nazywał magię, działającą za pomocą dobrych duchów, których cnotliwym życiem, modlitwą, postem, za łaską wszakże szczególną Bożą sobie zjednać i ich pomoc uprosić można. Goecją — magię zaś działającą za pomocą niższych duchów, złych nawet, wzywając ich tajemniczymi słowami, zaklęciami, odpowiednimi obrzędami i sposobami.

Czyli mielibyśmy tu podział na czarną i białą magię, której w żadnym wypadku łączyć nie należy z tym, co obecnie nosi nazwę „białej magii" t. j. zwykłymi prestidigitaroskimi sztuczkami.

Współcześni okultyści określają to jeszcze inaczej. Powiadają oni, że mag, więc człowiek, który zdołał dzięki wytrwałości, pracy i woli posiąść właściwości niezwykłe, zapanować nad siłami przyrody i ma możność komunikowania się z nadziemskimi istotami — tej swojej mocy może używać na dobre lub złe. Jeśli używa ich dla celów szlachetnych, dla dobra i szczęścia ludzkości — uprawia białą

magię, jest białym magiem, magiem w pełnym znaczeniu tego słowa. Jeśli zaś ją wykorzystuje dla poziomych celów, dla szkodzenia bliźnim — hołduje czarnej magii, jest magiem czarnym, złym, nie wart właściwie nosić tego miana, gdyż jest zwykłym czarownikiem.

Oto, różnica pomiędzy białą a czarną magią w myśl teorii współczesnych okultystów, o czym zresztą obszernie pisałem w mojej poprzedniej, a wyżej wymienionej książce.

Dlatego też niniejsza moja książka jest jakby dalszym ciągiem „Magii i czarów". Nie zawiera ona ani teorii magii, a raczej krótką jej historię, przegląd najwybitniejszych adeptów i wtajemniczonych, którzy poświęcali się tej królewskiej sztuce, jak magię w starożytności nazywano. Przegląd ten zaczyna się świadomie od czasów po chrześcijańskich, w których magia zaczęła się zbliżać do współczesnego okultyzmu i legła, jako fundament, szczególniej jeśli chodzi o tak zwany zachodni jego kierunek. Nauki adeptów stworzyły „wiedzę, czyli doktrynę tajemną".

Z przeglądu tego, z przeglądu wtajemniczonych, adeptów i mistrzów wiedzy tajemnej, oraz sposobów, używanych przez nich — Czytelnik sam najlepiej wyrobi sobie zdanie o magii.

Jeszcze kilka słów w sprawie własnej.

Książka ta jest właściwie powtórzeniem jednej z moich dawniejszych książek, ale całkowicie oczyszczonym z niewłaściwych dodatków i to takich, które sprowadziły na mnie szereg przykrości.

Mianowicie, swego czasu jeden z wydawców nabył mój rękopis i następnie poza moimi plecami, bez porozumienia się ze mną, wydał go pod zmienionym, błazeńskim

i jarmarcznym tytułem, jako: „Tajemnice Czarnej i Białej Magii“.

Mało tego, ten wydawca (de mortuis aut bene, aut nihil) dołączył gwoli sensacji jakieś formuły „zaklęć szatańskich“ pochodzące jakoby ode mnie i mnie przypisał doświadczenia, nadesłano mi tylko przez osobę postronną, jako dosyć ciekawe. Miało to ten skutek, że niektórzy poczęli mnie uważać za mocno „zabobonnego i naiwnego“, inni — a złośliwych nie brak, wprost pomawiali o szerzenie idiotycznych przesądów. Dlatego cieszę się szczerze, że moja książka ukazuje się obecnie we właściwej postaci i każdy z niej będzie mógł się przekonać, jakie są moje prawdziwe zapatrywania na magię i ewokacje magiczne.

Poza tym, że książka moja nie jest właściwie żadnym traktatem okultystycznym, a raczej szkicem historycznym z tej dziedziny.

St. A. Wotowski

ROZDZIAŁ I.

SZYMON MAG

Pierwszym z adeptów ery po chrześcijańskiej jest słynny Szymon Mag, co do którego osoby zdania są bardzo podzielone. Jedni historycy twierdzą, że był tylko szarlatanem, inni, że choć posiadał właściwości niezwykłe, zużytkował je źle, hołdując ciemnym siłom. Mają zupełną słuszność i Szymona nazwać można jednym z najgorszych, najniższych adeptów magii.

Kim był w istocie Szymon Mag? Co o nim wiemy? Szymon był, jak wiemy, Żydem z urodzenia i pochodził z Samarii. Jego mistrzem był niejaki Dositheus, który mienił się być wysłańcem Boga i mesjaszem, oznajmionym przez proroków. Szymon nauczył się od niego nie tylko wiedzy istotnej, lecz wielu sekretów należących do prawdziwego wtajemniczenia: posiadł sztukę kierowania falami astralu, mógł unosić się do góry, magnetyzował zdala swych wiernych, czynił się niewidzialnym, przesuwał przedmioty, przewidywał przyszłość.

Począł tymi umiejętnościami popisywać się w Samarii, a fama stukrotnie przesadziła te „czyny" i ogłoszono go za istotę boską.

Rychło oszołomiło go powodzenie i zapragnął pokłonu całego świata.

Jego kryzysy i ekstazy odbijały się na nim w sposób niezwykły. To go widziano znękanym, złamanym, przy-

garbionym, niby starca, to fluid eteryczny ożywiał go: prostował się; zmarszczki wygładzały, młodniał w jednej chwili.

Współcześni na tej zasadzie twierdzili, że może dowolnie przechodzić od dzieciństwa do sędziwego wieku i z powrotem stawać się młodzieńcem. Wkońcu tylko mówiono o jego cudach i stał się bożyszczem Żydów z Samarii, tudzież sąsiednich plemion. Lecz miłośnicy nadprzyrodzonego są zwykle żądni coraz to nowych wrażeń i szybko męczą ich fenomeny, przedtem z zachwytem podziwiane. Gdy przybył do kraju apostoł Filip, by przepowiadać Ewangelię, powstał koło niego rój zachwytów, a Szymon poczuł się odosobniony. Wówczas postanowił przyłączyć się do apostołów, by zbadać i zrozumieć ich tajemnice.

Szymon nie był oczywiście wtajemniczonym wysokiego stopnia, gdyż aby dysponować siłami przyrody, należy nimi owładnąć tak, aby je opanować, nie zaś stać się ich sługą.

Twierdzi legenda, iż zwrócił się do Św. Piotra z propozycją kupienia za pieniądze sekretów apostołów, co zostało odrzucone, oczywiście z oburzeniem.

Wówczas został ich zawziętym wrogiem. Złączył się z kobietą imieniem Heleną i w niej się zakochał. Dywagacje mistyczne często sąsiadują z rozpustą. Namiętność osłabiając go i egzaltując, dała mu z powrotem możność czynienia tego, co nazywał „cudami". Mitologia pełna reminiscencji magicznych, złączonych z erotyzmem, wypłynęła z jego mózgu i począł podróżować jak apostołowie, nieodłączny ze swą kochanką, przepowiadając i starając rzucić podziw na tych, co go słuchali.

Według Szymona słońcem dusz był on sam, zaś jego odbiciem Helena, którą zwał Selene, co po grecku księżyc oznacza.

Dalej wieścił panowanie wieczyste buntu i zła, proroczył koniec świata przez władzę potęg ciemności, sta-

wiał ponad wszystko siebie wraz ze swą konkubiną. Był to jakby kult Antychrysta, który nie zmarł wraz z Szymonem, lecz głoszony przez jego adeptów przetrwał w ohydnych sektach współczesnych satanistów.

Kult ten streścić by można było w słowach następujących: walka ze wszelkim ustalonym porządkiem i sianie nienawiści w życiu publicznym... dalej... uleganie gwałtownym namietnościom i triumf prostytucji — w życiu prywatnym... Nauki takie mogły mieć powodzenie tylko w zgangrenowanym społeczeństwie, chylącym się do upadku.

Szymon stał się głośną i znakomitą osobistością i jako znakomitość udał się do Rzymu, gdzie podówczas imperator Neron, głodny krwi i wszelakiej sensacji, przyjął go z otwartymi rękami.

Szymon zadziwił cesarza trick'em dość znanym i pospolitym wśród współczesnych prestidigitatorów. W jego obecności kazał sobie uciać głowę, a po chwili doń przybył z głową na karku. Potem popisał się istotnie siłą mediumiczną. Na skinienie meble w dowolnym kierunku przesuwały się po pokoju, drzwi otwierały się same, słychać było głosy, wychodzace z niewidocznych ust, rozlegały się śpiewy ect. Słowem, Szymon zaimponował cesarzowi i odtad stał sie nieodstepnym towarzyszem i zaufanym współbiesiadnikiem najwyuzdańszych orgii.

Jednocześnie dzięki swej doktrynie skrajnego indywidualizmu i zmysłowego rozpasania zyskiwał coraz szersze koła adeptów i jego doktryna zataczała coraz dalsze kręgi.

Aby przeciwdziałać tej doktrynie, oraz szkodliwemu wpływowi maga na chrześcijan w Rzymie — jak głosi legenda — do stolicy świata udał się Św. Piotr.

Neron, wkrótce powiadomiony został przez swych szpiegów, iż przybył nowy cudotwórca, celem zwalczenia dotychczasowego faworyta. Ponieważ lubił zabawić się cudzym kosztem, postanowił zetknąć ich ze sobą, wywo-

łać pomiędzy nimi dysputę i obserwować, kto zwycięży.

— Pokój niechaj będzie z wami! — wyrzekł wchodząc Książę Apostołów.

— Nie mamy co czynić z twym pokojem! — dumnie odparł Szymon. — Przez walkę się objawia prawda!

— Czemu odrzucasz pokój? — zapytał Św. Piotr. — Występki ludzi stworzyły wojnę. Zgoda towarzyszy stale cnocie!

— Cnota, to siła i umiejętność! — wykrzyknął Szymon. — Ja unoszę się w powietrze, ogień się mnie nie ima, wskrzeszam ludzi i zwierzęta, zamieniam rośliny w drzewa — a ty co czynisz?

— Modlę się za ciebie, byś nie padł kiedy ofiarą twych nadzwyczajnych objawów!

— Zachowaj dla siebie modlitwy! Nie wzlecą one równie rychło niźli ja do nieba!

I oto czarodziej wyskakuje oknem i istotnie unosi się w powietrzu. Wzlot taki jest znany obecnie pod nazwą „lewitacji" i możemy go często obserwować u mediów pogrążonych w transie. Obecni stają zdumieni.

Wówczas Św. Piotr pada na kolana i poczyna się modlić żarliwie. Trwa to dłuższą chwilę i nie zwraca na niego nikt uwagi, bo oczy wszystkich utkwione są w Szymona. Nagle rozlega się przeraźliwy krzyk, Szymon chwieje się, koziołkuje i pada na ziemię ze zmiażdżonymi członkami.

Potęga wiary — przezwyciężyła pyszałkowatą ambicję...

Szymon zmarł na skutek swego upadku, zaś Neron wściekły, iż pozbawiono go ulubionego czarownika, nakazał zamknąć w ciemnicy Św. Piotra...

Tak według podań i legend wygląda scena zwycięstwa apostoła nad Szymonem Magiem...

Sekta Szymona nie wygasła wraz z nim, a spadkobiercą stał się jeden z adeptów czarnoksiężnika, nazwiskiem Menander. Ten nie głosił, iż jest bogiem, wystar-

czała mu rola proroka. Gdy przyjmował do sekty adeptów — płomyk widzialny ukazywał się nad głowami; dzięki temu zjawisku obiecywał wiernym nieśmiertelność zarówno ducha jak i ciała, w co wierzono niezbicie. Śmierć któregokolwiek z członków nie zniechęcała innych, gdyż zmarły, za to że umrzeć się ośmielił, był natychmiast wyklinany i uważany za fałszywego brata. Menandryci poczytywali zgon za zdradę i natychmiast uzupełniali swą liczbę nowoprzyjętymi.

Szymon Mag, ojciec współczesnego satanizmu, jest jedną z najciemniejszych postaci w historii okultyzmu, a magii i prawdziwym magom wyrządził dużo krzywdy. Tytuł maga dołączany niesłusznie do jego nazwiska, stał się wzgardliwym przezwiskiem i przestano pamiętać o tym, że trzej pierwsi ludzie, którzy złożyli hołd Dzieciątku — właśnie byli magami.

ROZDZIAŁ II.

APOLLONIUS Z TYANY.

Jednym z największych, a jednocześnie najbardziej tajemniczych adeptów nauk hermetycznych, był Apollonius z Tyany, żyjący w pierwszym wieku naszej ery, którego żywot opisany został przez jednego z uczni, Damisa Asyryjczyka, następnie zaś przez historyka Philostrata. Mimo tych opowiadań niezwykle trudno coś ścisłego ustalić o magu, a to z tej przyczyny, że zwyczajem współczesnym, pisarze przedstawili życiorys w formie zawikłanej i legendarnej, układając go niby czarodziejską baśń. Gdy brać go dosłownie będzie absurdem, ezoterycznie pojęty, nie tyle skreśli dzieje maga z Tyany, co właściwie jego okultystyczną naukę.

Oto dlaczego nikt ściśle ustalić nie może kiedy urodził się i kiedy zmarł Apollonius. Jedni mniemają, iż żył do dziewięćdziesięciu lat — inni, że do stu sedem-

nastu. Jedni twierdzą, iż śmierć nastąpiła w 96 r. po Nar. Chr. w Efezie — inni, że w świątyni Pallas Ateny w Lindus — inni wreszcie, iż mistrz w ogóle nie umarł, lecz w pewnym okresie sam wzniósł się do nieba, czy też przerodził się, by nauczać na dalekich planetach.

Wszystko, co ściśle o nim powiedzieć może historia — jest to, że był twórcą nowej szkoły religijno-filozoficznej. Niejednokrotnie oskarżano mistrza o zbytnie ciążenie do arystokratyzmu i możnych tego świata. Sam pochodząc z tych sfer, być może, postępował świadomie, chcąc zapewnić „pokój na ziemi wszystkim" nie zaś tylko nieszczęśliwym i maluczkim. Apollonius był wrogiem bigoterii, manifestacji uczuć religijnych na pokaz, twierdząc, iż każdy sam w duszy najlepiej obcuje ze Stwórcą Wszechświata.

Naukę swą popierał niezwykłymi objawami, a że był istotnie wtajemniczonym, te przechodziły zakres wszystkiego dotychczas widzianego. I od tej pory nikt mu nie dorównał. Czynione przezeń fenomeny uznają za prawdziwe nawet pisarze kościelni, nazywając je „czynami diabelskimi", samego zaś maga — „narzędziem Szatana".

Gdy Apollonius pragnął uczynić jaki fenomen, miał zwyczaj owijać się cały w piękny, długi wełniany płaszcz, na który również stawiał stopy, po uczynieniu paru magnetycznych pociągnięć. Następnie wymawiał pewną formułę zaklęcia, dostępną jedynie wtajemniczonym i znaną adeptom wysokiego stopnia. Dalej nakrywał płaszczem głowę i po chwili ciało astralne znajdowało się na wolności. W ten sposób przenosił się on z miejsca na miejsce, oznajmił odległe wypadki, np. powiadomił mieszkańców miasta Efezu, gdzie wtedy przebywał, o zamordowaniu cesarza Dominicjana w Rzymie, w tejże godzinie, gdy się to istotnie stało.

W życiu zwykłym Apollonius nie posługiwał się tym płaszczem, ani też nie nosił wełnianego odzienia. Twierdzą, iż posiadał formuły zaklęć, dających mu władzę

nad wszystkimi, z którymi się stykał, zarówno zwierzętami, jak i ludźmi.

Współcześni oddawali mu cześć niemal boską; posągi mędrca z Tyany ustawiano po wszystkich świątyniach*), a jak olbrzymim poważaniem się cieszył niech świadczy następujący wypadek:

Cesarz Aureliusz rozgniewał się na miasto rodzinne maga Tyarę, za krnąbrność i sprzeciwianie się jego władzy i postanowił je zburzyć. Gdy oblężenie trwało, nagle ukazał mu się cień Apolloniusa (podówczas już zmarłego) i odezwał się w te słowa: „Aureliuszu — jeśli pragniesz czynić podboje — porzuć złe zamiary względem mych współobywateli, jeśli chcesz rządzić — powstrzymaj się od rozlewu krwi niewinych, jeśli pragniesz żyć — unikaj niesprawiedliwości!" Na Aureliuszu ukazanie się mędrca, postać którego znał z posągów, sprawiło takie wrażenie, iż nie tylko przyobiecał odstąpić od oblężenia Tyany, lecz również wystawić świątynię, a w niej posąg Apolloniusa.

Historię tę znajdujemy opisaną u historyka Vopiscusa; dowodzi ona, że Apollonius żył istotnie, a nie był postacią legendarną, jak to twierdzą niektórzy historycy.

Legend o wielkim wtajemniczonym krąży ilość wielka.

Opowiadają więc, że samym dotknięciem rąk uleczał on z chorób nieuleczalnych. Że gdy razu pewnego szedł przez ulicę kondukt żałobny, zbliżył się, spojrzał uważnie na leżącego na marach i ręką dał znak, by orszak się zatrzymał. Gdy obecni spoglądali na niego ze zdumieniem, nachylił się nad nieboszczykiem, dmuchnął mu w twarz i grzmiącym głosem zawołał: „wstań!"

Zmarły otworzył oczy... i po paru chwilach miast

---

*) Świątynię na jego cześć wybudował cesarz Karakalla, zaś Aleksander Sewer umieścił posąg maga pomiędzy posągami bogów.

w grobie znalazł się za biesiadnym stołem. Sam mag był na tyle skromny, iż rozwiał w tym wypadku legendę cudu. Oświadczył, że spojrzawszy bystro na rzekomego nieboszczyka, dojrzał na czole perlące się krople potu. To nasunęło mu myśl, iż ma do czynienia z pozorną śmiercią, z letargiem. Zużył wówczas jednego ze znanych mu tajemnych sposobów (dziś nazwalibyśmy ten zabieg magnetyzmem)... i dzięki niemu uratował człowieka od zakopania, więc prawdziwej śmierci.

Jeszcze jedną, ściśle demonologicznej treści legendę, opowiadano o mędrcu. Gdy razu pewnego przechodził koło jakiegoś domostwa — zwróciła jego uwagę muzyka, oraz rozweselenie zgromadzonych. Zapytał się, jakie to zebranie ma miejsce. Oświadczono w odpowiedzi, iż odbywa się tam ślub bogatego mieszkańca Efezu, zaś panna młoda ma się odznaczać wprost niezwykłą urodą. W tejże chwili wyjrzała ona przez okno i mędrzec przystanął zdumiony pięknym zjawiskiem. Nie wahając się chwili zastukał do drzwi i prosił o zezwolenie złożenia powinszowań świeżo poślubionej parze. Oczywiście przyjęto go z otwartymi ramionami, poczytując obecność Apolloniusa za zaszczyt wysoki. Nagle, śród największego rozgwaru uczty, mag, który na chwilę nie spuszczał z oka młodej mężatki, czym ta wydawała się zmieszana niepomiernie, zbliżył się do niej i położywszy rękę na ramieniu, powoli wymówił: — Zgiń, szczeznij, demonie!

Obecni przystanęli zdumieni. Lecz w tejże chwili okrzyk przerażenia zabrzmiał na sali.

Piękna, młoda kobieta poczęła czernieć i blednąć. Złote pukle włosów zamieniały się na zmierzwione i siwe, brzoskwiniowe policzki pokryły bruzdy i zmarszczki, miast karminowych warg i perłowych ząbków, zionęła ciemna, bezzębna jama, stan skurczył się, śmiejące przed chwilą oczy płonęły piekielną nienawiścią. Potworna starucha wyciągała zakrzywione, niby szpony, palce w stronę mędrca, jakby chcąc rzucić się nań i go zadławić.

— Szczeznij! — powtórzył Apollonius nieustraszenie — jak zło musi szczęznąć przed dobrem, a ciemność przed światłem...

Maszkara wydała jakiś nieokreślony jęk, jakby pomruk bezsilnego gniewu i... rozpłynęła się w nicości..

Gdy ochłonięto nieco z przerażenia przemówił Apollonius:

— Był to demon zła, młodzieńcze, który przybrał na się postać pięknej niewiasty, by cię zgubić... Zdążyłem na czas, ostrzeżony wewnętrznym przeczuciem... Jesteś uratowany... A wam, obecnym, niechaj straszliwy ten przykład za naukę posłuży, że nie wszystko pozornie piękne, jest pięknym w istocie... wewnątrz kryć się może zgubna brzydota...

Cała ta legenda godną jest przytoczenia li tylko właśnie dzięki ostatnim słowom. Zapewne fakt podobny nigdy nie miał miejsca, podawany zaś był przez uczniów mędrca, aby w formie opisowej, symbolicznej, wykazać, iż „wewnątrz pozornego piękna kryć się może zgubna brzydota".

Takim jest ezoteryczne znaczenie i w ten sposób podawane były nauki tajemne...

W ten to sam sposób rozumieć należy cały żywot Apolloniusa, opisany przez Philostrata, jego dalekie podróże po Wschodzie i Indiach, spotkania z potworami, opisy rzek cudownych ect.

Zrekonstruowałem całokształt wiadomości o magu z Tyany na zasadzie danych, jakie tu i owdzie o nim znajdujemy... Co do prawości charakteru, uczciwości i wiedzy, był ten adept jednym z największych wtajemniczonych i na długo jako wzór niedościgły, pozostanie śród okultystów i uczniów wiedzy tajemnej. Szkoda tylko, że tak mało dotarło o nim do nas prawdziwych wiadomości.

ROZDZIAŁ III.

TEMPLARIUSZ

Aby skreślić całkowity obraz dziejów, jakimi biegła historia magii, muszę się zwrócić do związków tajemnych i na pierwszym miejscu wymienić Templariuszy. O zakonie tym krąży wiele opowieści i posiada on zarówno żarliwych obrońców, udowodniających niewinność całkowitą „rycerzy świątyni“ — jako też wrogów, stwierdzających, iż nie byli oni niczym innymi, aniżeli satanistami i zwolennikami czarnej magii.

Historia Templariuszy jest następująca:

W 1118 r. dziewięciu rycerzy krzyżowców na wschodzie, w liczbie których znajdował się Geoffroi de Saint Omer i Hugues de Payens, z zezwolenia patriarchy Konstantynopolu, założyło nowy zakon, religijno-wojskowy, mający za cel ochronę pątników w Jerozolimie od napaści niewiernych.

Historycy, by wytłómaczyć nazwę Templariuszy, twierdzą, że otrzymali oni od Baldwina II, króla Jerozolimy, dom w pobliżu świątyni (templum) Salomona. Słusznie zauważa Eliphas Lewi, iż popełniają historycy anachronizm, w owym bowiem czasie z budowli Salomona nie pozostał najmniejszy ślad, obdarzono ich domostwem, znajdującym się najwyżej w pobliżu miejsca, gdzie jak tradycja głosiła, znajdowała się świątynia.

Zakon Templariuszy, którego tragiczne dzieje tu przedstawię, jest jednym z najbardziej dziwnych i tajemniczych, jakie istniały w dziejach świata. W przeciętnych podręcznikach historii przeczytać tylko tyle możemy, że

doszedł on do olbrzymich bogactw i że wówczas król francuski Filip Piękny, złakomiony majątkami rycerzy, oskarżył tych o uprawianie kultu szatana i magii, by dobra zagarnąć.

Ale nie uprzedzajmy wypadków.

Templariusze, aby stać się potężnymi, postarali się zostać bogatymi. Streszczę historię. Jak wiemy w 1118 r. Hugon de Payens lub Paganis, Geoffroi de Saint Aumer oraz siedmiu innych rycerzy, zebrało się z intencji zapewnienia podróży pielgrzymom, którzy z głębi Europy napływali do Palestyny, celem obrony ich od tak licznych w owych czasach napaści niewiernych. W dziewięć lat później Hugon Paganis stanął przed synodem w Troyes z prośbą o nową regułę. Koncylium rozkazało, by rycerze nosili białe płaszcze. Eugeniusz III dodał na nich czerwony krzyż. Wiadomym jest, iż otrzymali swą nazwę od domu w Jerozolimie, podarowanego im przez Baldwina II. w pobliżu miejsca, gdzie miała się znajdować świątynia Salomona. Templariusze lub rycerze milicji świątyni (Templum) w zwiększonej szybko liczbie, niezadługo zasłynęli z dzielnych i odważnych czynów. Cała Europa głosiła ich chwałę. Książęta chrześcijańscy poczęli obsypywać darami: Baldwin IV ofiarował im miasto Gazę, Alfons z Nawarry — wyznaczył swymi spadkobiercami, Inocenty III zrzekł się pobierania od nich podatków. Historyk Mateusz Paris pisze, iż pod koniec XII w. posiadali oni dziewięć tysięcy zamków, lub lennych ziem. Zarozumiali ze swych niezmiernych bogactw i potęgi, Templariusze nie znali granic. Poczęli z bronią w ręku zagarniać włości swych sąsiadów. Wielcy mistrzowie zakonu, dorównywując znaczeniem panującym, ośmielali się wypowiadać im wojny. Nie uznawali nikogo prócz siebie i nie czynili żadnej różnicy między chrześcijanami a niewiernymi. Naszli Francję, zdobyli Saloniki, rozgrabili Helespont i Peloponez, wtargnęli do Afryki i zdobyli Ateny.

Arogancja ich i zarozumiałość drażniła monarchów Europy. Specjalnie zawzięty był na nich Filip Piękny, francuski, najbardziej dumny i najbardziej mściwy z królów. Podczas swych długich i zaciętych walk z papieżem, przekonał się, iż Bonifacy VIII do najgorliwszych stronników we Francji liczył Templariuszy. Gdy zbuntowany lud w 1306 r. oblegał go, przywódcami, według ogólnego zdania, mieli być rycerze zakonu.

Dawno nosił się z myślą odwetu i wyczekał moment, kiedy po śmierci przychylnie usposobionego Bonifacego VIII, stolicę apostolską zajął całkowicie od niego zależny Klemens V, który jako Bertrand de Goth, tylko dzięki poparciu Filipa Pięknego, na papieża obrany został.

Takim był stan umysłów i pozycja rycerzy Świątyni w chwili ich zamierzonego zniszczenia.

Filip francuski ściąga do Paryża Wielkiego Mistrza Zakonu, Jacobusa de Molayo, inaczej de Molay w 1307 r. pod pretekstem omówienia nowej wyprawy krzyżowej. De Molay, nie podejrzewając podstępu, przybywa wraz z sześćdziesięciu rycerzami i przyjmowany jest początkowo z wielkimi honorami, gdy nagle dnia pewnego osadzają go w więzieniu, znajdującym się na miejscu, gdzie później stała Bastylia. Jednocześnie pada rozkaz aresztowania rycerzy zakonu we Francji i konfiskaty ich dóbr. Rozpoczyna się proces. Są gotowi oskarżyciele. Mianowicie Squin de Florian, Noffodei i opat z Mont Focon.

Sędziowie pod przewodnictwem Nogareta są całkowicie oddani królowi i los oskarżonych jest zgóry przesądzony. Lecz jakież zostają wysunięte oskarżenia.

Templariusze przy wstępowaniu do zakonu plują na figurę Chrystusa, wyrzekają się Boga, składają swemu mistrzowi niecne pocałunki, uprawiają homoseksualizm i oddają cześć boską posągowi przedstawiającemu szatana.

Czy te oskarżenia były słuszne? Czy rycerze uprawiali czarną magię i oddawali hołd bałwanowi, zwanemu

Bafometem? Niektórzy historycy bronią ich żarliwie. Ale szereg faktów mówi inaczej. Szczególniej figura wyryta na kamiennej szkatułce d'Essarvisse'a, jak jest ona opisana w dziele Mignard'a: Preuves de manicheisme dahs l'ordre du Temple". Figura ta przedstawia potwornego kozła o piersi kobiecej, zasiadającego na ziemskim globie. Jedną rękę ma wzniesioną do góry, drugą opuszczoną do ziemi. Na nich znajdują się napisy: coagula — zwiąż i solve — rozwiąż.

Na zasadzie tych oskarżeń zostają skazani i w dniu 18 marca 1313 r. Jacobus de Molayo wraz z towarzyszami ginie na stosie.

Byłby to koniec tragicznej historii, gdyby ten koniec nie był właśnie początkiem.

Z głębi swego więzienia Wielki Mistrz przed śmiercią ustala masonerię tajną. Tworzy cztery loże metropolitalne: w Neapolu dla Zachodu, w Edimbourgu — dla Wschodu, w Stokholmie — dla Północy i w Paryżu — dla Południa. Loże te od tejże chwili, jak pisze Cadet de Gassicourt, rozpoczynają prace i wielkie dzieło zemsty. Papież i król kończą żywot wkrótce w sposób dziwny i tajemniczy Squin de Florian, główny oskarżyciel, zostaje zasztyletowany. „Łamiąc miecz Templariuszy" — powiada Levi — „uczyniono zeń sztylet, a ich wyklęte kielnie od tej pory jęły ciosać trumny".

Jak pisze dalej Cadet de Gassicourt w swym „Tombeau de Jaques Molay" (Grobowiec Jakóba Molay), ten, będąc wprowadzony na stos, rzucił przekleństwo na papieży i królów i prorokował upadek monarchii we Francji. Aczkolwiek niektóre źródła masońskie, będące w mym posiadaniu („Annales Mac.: 9807 t. j. z 1807 r.) zaprzeczają, by mowa podobna była kiedykolwiek wygłoszona, tym nie mniej historia świadczy, że zemsta Templariuszy spełnioną została całkowicie, a Wielka Rewolucja Francuska i 1793 r. jest ich wielkim rewanżem.

Tajemne organizacje, stworzone z więzienia przez

mistrza, rozwijają się coraz intensywniej i w drugiej połowie XVII w. poczynają wykazywać działalność. Przygotowywują się jeszcze sto lat i w końcu XVIII w. wybucha rewolucja. Opisywać ją zbytecznie, lecz notujmy fakty. Nazwa jakobinów pochodzi od Jakóba Molay w istocie, a nie od kościoła Św. Jakóba, w którym odbywały się zebrania, jak sądzą niektórzy historycy. Pierwszą pada Bastylia, czyli miejsce uwięzienia niegdyś rycerzy, król Ludwik XVI jest uwięziony w gmachu zwanym Temple. „Gdyby nawet niektórzy“ — powiada Stanisław de Guaita — „wruszali na powyższe sceptycznie ramionami, zestawienia pozostaną zadziwiające“.

Gdy monarchia pada zdruzgotana, Jakobini zwracają się w stronę katolicyzmu. Prześladowania za czasów Robespierre‘a dochodzą do zenitu. Zemsta neo-templariuszy nie zostaje zaspokojona przez karę, wywartą na Ludwiku XVI za Filipa Pięknego, trzeba im, by papież Pius VII zapłacił z kolei straszliwy dług zaciągnięty przez Klemensa V....

Na chwilę poprosimy mistrza Eliphasa Lewi, który swym barwnym stylem nam ten obraz uzupełni. „Król był — pisze — osadzony w Temple, a elita duchowieństwa francuskiego na wygnaniu, lub uwięziona w Abbaye. Armaty grzmiały na moście Pont Neuf, a plakaty wieściły ojczyznę w niebezpieczeństwie. Wtedy ludzie nieznani zorganizowali rzeź. Osobnik wstrętny, olbrzym o długiej brodzie, był wszędzie, gdzie można było masakrować księży. „Masz!“ — wołał z dzikim uśmiechem— „oto za albigersów! A to za templariuszy! A to za noc Św. Bartłomieja!“ Uderzał z zaciekłością, uderzał wciąż pałaszem, sztyletem, maczugą. Oręż łamał się i odnawiał w jego ręku; sam był zalany krwią od stóp do głowy. Broda sklejona była skrzepłą posoką i wołał śród najstraszliwszych przekleństw, że nie umyje jej inaczej, niźli krwią.

Po śmierci Ludwika XVI, w chwili, gdy głowa jego

spadła pod gilotyną Rewolucji, człowiek o długiej brodzie — ten Żyd wieczny tułacz mordu i zemsty — wstąpił na szafot przed zdumionym tłumem; ujął krwi królewskiej w obie swe dłonie i ciskając ją na głowy ludu, zawołał straszliwym głosem: „Narodzie francuski, chrzczę cię w imię Jakóba i wolności!“ (Hist. Magii, str. 443—444).

Poprzestanę na tych okropnościach. Przypuszczalnie dostatecznie wytłómaczyłem czytelnikowi historię straszliwej zemsty Templariuszy.

A zaciekła wojna, jaką wypowiedziała masoneria w dobie obecnej religii katolickiej, jest dalszym ciągiem tej potwornej walki.

ROZDZIAŁ IV

RAYMOND LULLE.

Z jaką pogardą mówią o tym człowieku fałszywi uczeni i fałszywi mędrcy. Lecz instynkt ludu pomścił go. Powieść i legenda pochwyciły historię jego żywota. Przedstawiają go nam zakochanym, jak Romeo, wtajemniczonym jak Faust, alchemikiem, jak Hermes, pokutnikiem i mędrcem,

Zacznijmy od romansu: jest to jeden z najpiękniejszych i najbardziej wzruszających, jakie znamy. Pewnej niedzieli w Palmie, na wyspie Majorce, piękna, szlachetnie urodzona dama, nosząca miano Ambrozji di Castello, udawała się do kościoła. Kawaler wytwornej postaci, a strojny bogato, przejeżdżał właśnie o tym czasie. Gdy ją ujrzał, zapłonął miłością. Ponieważ zniknęła w świą-

tyni, straciwszy głowę wspiął ostrogami rumaka i wpadł do wewnątrz, roztrącając wiernych. Powstało zamięszanie, a rycerz był znany. Miał on żonę i troje dzieci: najstarszego syna Raymunda, młodszego Williama i córkę Magdalenę. Pani Ambrosia di Castello również była zamężna i cieszyła się reputacją bez skazy.

Dodać należy, że Raymond Lulla uchodził za wielkiego uwodziciela: wjazd konno do kościoła narobił wrzawy nie mało. Pani di Castello zapytała małżonka, co czynić, ten jako człowiek rozważny, nie uważał, by podobny dowód zachwytu ze strony młodego a rozgłośnego panka mógł być powodem obrazy. Radził jedynie żonie wyleczyć adoratora z niefortunnego szaleństwa. Ten zaś zdążył już napisać list, by się uniewinnić, oskarżyć raczej. ‚To, co na jej widok w sercu powstało" — pisał — „było dziwem nieludzkim, fatalnym. Będzie respektował jej honor i sentyment, wszak należące do innego. Lecz został, gdyby trafiony piorunem: pragnie, by dowieść afektu spełniać rzeczy najbardziej niemożebne, pragnie zakasać bohaterstwem wszelkich błędnych rycerzy, lub wstrząsnąć świat czynami jaknajwybitniejszymi".

Ambrosia mu odpowiedziała:

„By odpowiedzieć na taką miłość nadludzką, potrzeba istoty nieśmiertelnej.

Pragnęłabym, by po najdłuższym życiu naszych najbliższych moglibyśmy się połączyć dozgonnym związkiem; istnieje ponoć eliksir życia, postarajcie, panie, go odnaleźć, a gdy pewni będziecie swego, przybywajcie do mnie. Do tej pory żyjcie dla waszej żony i dzieci, jak ja żyję dla swego małżonka, którego wielce kocham... a jeśli przypadkiem napotkacie mnie na ulicy... udawajcie proszę, żeśmy się nie znali..."

Był to wykwintny kosz udzielony zakochanemu

z uprzejmym wyznaczeniem terminu na „święty nigdy". Nie zrozumiał go jednak nasz bohater i poczynając od tego dnia wesoły i błyskotliwy kawaler, zamienił się w poważnego i skupionego alchemika. Don Juan stał się Faustem. Lata minęły. Żona Raymonda Lulle'a zmarła, pani Ambrosia z kolei stała się wdową; on jakby zapomniał o jej istnieniu, zatopiony w poszukiwaniach.

Wreszcie dnia pewnego Raymond Lulle zgłasza się do wdowy. Widzi ona przed sobą bladego i łysego starca, trzymającego w ręku flaszeczkę z czerwonym, jak płomień, płynem. Chwiejnym krokiem zbliża się do niej i nie poznaje, bo w wspomnieniach wciąż pozostała ta, którą widział ongiś w kościele, miła i piękna.

— Oto jestem — odzywa się wreszcie Ambrosia — czego chcecie ode mnie?

Na dźwięk głosu alchemik się wzdryga, rzuca się do jej stóp i wyciągając flaszeczkę, z uniesieniem woła:

— Bierzcie... Oto życie! Włożyłem weń trzydzieści lat mego... lecz pewien jestem, iż to eliksir nieśmiertelności.

— A czy próbowaliście go? — zapytuje Ambrosia ze smutnym uśmiechem.

— Gdy dwa miesiące temu wychyliłem ilość podobną, od tego czasu wstrzymałem się od wszelkiego pożywienia. Czasem głód szarpał wnętrzności, lecz nie tylko nie zmarłem, a szczerze wyznam, czuję się zdrowszy i silniejszy, niż kiedykolwiek...

— Wierzę — na to ona — niestety, biedny przyjacielu, ten eliksir, co unieśmiertelnia, nie daje powtórnej młodości... spójrzcie sami — tu podała lusterko.

Raymond Lule cofnął się. Od lat trzydziestu nie widział swego oblicza.

— Teraz Raymondzie — mówiła dalej — spójrzcie na mnie.

Odwiązała czepiec, skąd posypały srebrne włosy, rozpięła suknię i odsłoniła pierś, stoczoną przez raka.

— Czy to chcecie unieśmiertelnić?

A gdy alchemik stał bez ruchu, mówiła:

— Od trzydziestu lat was kocham i nie chcę skazywać na wieczyste więzienie, w ciele starca. Nie skazujcie mnie z kolei. Uczyńcie mi łaskę z tej śmierci, zwanej życiem. Pozwólcie przekształcić się, by odżyć. Zanużymy się w wieczystej młodości. Nie pragnę waszego eleksiru, co przedłuża noc grobowca, pożądam nieśmiertelności.

Raymond Lulle roztrzaskał o płyty podłogi buteleczkę.

— Uwalniam was — wyrzekł — i pozostanę w więzieniu za was. Żyjcie w nieśmiertelności nieba, jam skazany, na zawsze, na śmierć za żywo, na ziemi!

Poczem, ukrywszy twarz w dłonie, wybiegł, zalewając się łzami. W parę miesięcy później mnich z zakonu Św. Franciszka asystował przy ostatnich chwilach Ambrosji di Castello: tym mnichem był Raymond Lulle. Tu kończy się romans, a rozpoczyna legenda. Ta legenda, czyni jedno, z kilku Raymondów Lulle'ów, w różnych epokach egzystujących, nakazuje parę wieków pokuty i ekspiacji.

Powiada więc dalej ta legenda, iż w dniu w którym przez losy najwyższe wyznaczoną była jego śmierć, poczuł on strach agonii, lecz po chwili życie powróciło na nowo i zawarły się przed nim wrota niebios, rozchylone na jego przyjęcie.

Od tej chwili poświęcił się modlitwie i dobrym uczynkom:

Stwórca Najwyższy udzielał mu wszelkich łask, prócz łaski śmierci. Dnia pewnego, drzewo wiedzy ukazało mu się wraz ze swymi świetlanymi owocami: zrozumiał harmonię stworzenia i odgadł kabałę. Rzucił fundamenty i nakreślił plan wiedzy uniwersalnej i odtąd zwano go doktór iluminatus — iluminat.

Posiadł był sławę, tę fatalną nagrodę za pracę, którą

Najwyższy zsyła na wielkich ludzi, dopiero po ich śmierci, gdyż upaja i zatruwa żyjących.

Potrafił czynić złoto: mógł zakupić świat wraz z jego skarbami, jednej rzeczy kupić nie mógł — swego grobowca.

Był biedakiem nieśmiertelności. Krążył wszędzie, żebrząc o śmierć a nikt mu jej zadać nie chciał.

Znając fanatyzm arabów, wybrał się do nich z misją nawracania. Jego służący tuziemiec, pchnął go parokrotnie podczas snu nożem. Nie sprowadziło to jednak śmierci, a karę na służącego. Nie zaznał spokoju, wyrzutów raczej, że sprowokował człowieka do zbrodni.

Zaledwie wyleczony z ran pędzi do Tunisu. Publicznie głosi chrystianizm. Lecz miejscowy bey, zdumiony odwagą i elokwencją, broni go przed napaścią roznamiętnionego tłumu. Siłą niemal wsadza na statek, wraz z księgami i wyprawia. Raymond Lulle powraca i znów poczyna propagandę na wybrzeżach Afryki: zdumieni muzułmanie nie śmią ręki podnieść na niego. Najspokojniej znów idzie do Tunisu, a tam głośno woła po ulicach, że powrócił, by zadać kłam nauce Mahometa, a umrzeć za Chrystusa. Tym razem wszelka protekcja jest niemożebna. Istny szał ogarnia tłumy. By jeszcze lepiej ich podburzyć, symuluje ucieczkę wzdłuż krętych ulic. Zlany krwią od zaciekłych razów, wciąż żyje jeszcze, aż w końcu pada,zagrzebany pod stosem rzuconych nań kamieni.

Następnej nocy dwaj kupcy genuezcy, Stefan Colon i Ludwik de Pastorga widzą na pełnym morzu, ze swego statku, wielką łunę świetlną, bijącą od strony Tunisu.

Zbliżyli się i ujrzeli, że to dziwne zjawisko wydobywa się z góry kamieni. Poczęli poszukiwania i pod kamieniami odnaleźli Raymonda Lulle'a z połamanymi członkami, lecz żywego. Wzięli na okręt i zawieźli na Majorkę; do ojczyzny. Na widok tej wyspy, męczennik skonał nareszcie, snać Bóg wybawił go i pokuta została skończona.

Takie są przygody legendarnego Lulle'a. Przejdźmy do faktów historycznych.

Raymond Lulle, ten filozof i adept, ten co zasłużył na miano doctor iluminatus, był synem seneszala Majorki, słynnego ze swej nieszczęśliwej miłości do Ambrosji di Castello. Nie wynalazł on eliksiru nieśmiertelności, lecz robił złoto dla króla Edwarda III w Anglii; złoto to otrzymało nazwę złota Raymonda i dotychczas napotyka się na numizmaty, które antykwariusze zwą „rajmondówkami".

Może nie było to fabrykowaniem szlachetnego kruszczu w ścisłym znaczeniu słowa, może to było przetwarzanie i oczyszczanie innych metali — tego nie wiemy. Wystarczy, że był Lulle jednym z najuczeńszych swego czasu, a w swej Ars magna usiłował dać syntezę wszystkich nauk.

Pierwszy ten adept wtajemniczony pragnął swą wiedzę poświęcić na usługi chrystianizmu. W 1276 r. zakłada w Palmie kolegium franciszkańskie, poświęcone studiom orientalnych języków w celu walki z uczonymi arabskimi i nawracania Maurów.

W 1293 r. otrzymuje od papieża Mikołaja IV i króli francuskich zezwolenie na zakładanie uczelni w Sycylii, Cyprze i Majorce. Wszędzie wykłada swą „wielką sztukę", która jest syntezą uniwersalnych umiejętności i ma za cel zjednoczenie wszystkich języków. Bawi w Paryżu, budząc podziw ogólny, zwiedza Hiszpanię gdzie tworzy akademię centralną dla lingwistyki i nauk. Reformuje klasztory, jeździ po Włoszech, proponuje wnet po upadku templariuszy, nowy zakon religijno-wojskowy.

Wiecznie biedny jak Hiob, czyni królewskie podarki monarchom, a wyśmiewany i przezywany niepoprawnym marzycielem, rzuca ochłapy swej wiedzy współczesnym uczonym. Umarł w 1314 czy 1315 r., w wieku lat osiemdziesięciu.

Uczeń wielkich kabalistów, pragnął Raymond Lulle

ustalić filozofię uniwersalną i wyłączną, zamieniając wyrażenia abstrakcyjno - konwencjonalne, ścisłym realizmem przyrody. Dlatego starał się w swych naukach wyrażać jaknajzrozumialej i prościej. Na zapytanie więc: czem jest człowiek? dawał odpowiedź: w ścisłym znaczeniu tego słowa jest to stan ludzki, w specjalnym oznacza ludzką osobę. Lecz cóż to jest ludzka osoba? Początkowo grudka ziemi, w którą Bóg tchnął ducha, obecnie: on, ty, ja...

Ten to jego sposób wykładów zwali współcześni dziecinnym i szablonowym, nie rozumiejąc, że w gruncie prostota, a nie abrakadabryczne definicje są podstawą wszelkiej nauki.

Zasadniczą ideą Lulle'a było przeciwstawienie filozofii chrześcijańskiej — fatalistycznej magii arabów i tradycjom Egiptu i Indii, a magii białej — czarnej. Twierdził, że okres zbliżania się Antychrysta znamionować będzie super realizm materjalistyczny. Dla prawdziwych kabalistów był on prorokiem, dla sceptyków nieziemskim marzycielem...

ROZDZIAŁ V

KABAŁA

Istnieją dwie Kabały. Pierwsza — prawdziwa, zawarta w starych księgach żydowskich, zawierająca dużo miejsc niezrozumiałych i tajemnic, które starali się zbadać okultyści — i druga — praktyczna — będąca stekiem głupstw, wyciągniętych z pierwszej, służąca tylko do tumanienia naiwnych. Oczywiście, mówić będą tylko o pierwszej.

Bardzo niedawno zaczęto badać Kabałę w sposób naukowy. Przed studiami Adama Francka znano Kabałę jeno z dzieła Knorra v Rosenroth, p t. K a b a ł a d e n u d a t a, wydanego w roku 1677. Zawierało ono jednak z całej księgi Zohar tylko części znane pod nazwą: „Księga tajemnic“ i „Wielka rada“, to znaczy, części najciemniejsze, a w dodatku, zaniedbując zupełnie same teksty, podawało jeno wyciągi, źle zrozumiane przez komentatorów. Adam Franck opublikował po raz pierwszy pełne teksty w autentycznej formie, skomentował je i przetłumaczył w dziele „K a b a ł a, c z y l i f i l o z o f i a r e l i g i j n a h e b r a j c z y k ó w“, wydanym w roku 1842. W ślad jego poszli Joel i Jelinek, dyskutując nad wnioskami Francka i poprawiając błędy. Ostatnim co do daty interpretatorem owych tajemniczych ksiąg jest S Karppe, w dziele swym „S t u d i a n a d p o c h o d z e n i e m i c h a r a k t e r e m Z o h a r y“.

Kabała pochodzi od wyrazu hebrajskiego k a b a l a h, znaczącego tyle, co: tradycja. Twierdzi ona, że jest wiedzą tajemną, uzupełniającą Biblię, a raczej pogłębiającą ją i że mieści w sobie doktrynę prawowierną Tory, to jest Pięcioksięgu, przechowywaną ustnie od czasów Mojżesza, który ją otrzymał wprost od samego Boga. Kabała mieści też pono utrwalone na piśmie wszystkie tajne nauki, aż do XIV. wieku naszej ery, podawane w sekrecie z ust do ust, szeptane do ucha, jak się to działo zwykle u inicjatów. Najciekawsze są dwie księgi Kabały, to jest S e f e r J e z i r a h i Z o h a r.

Sefer - Jezirah, czyli „Księga Stworzenia“, przypisywana zrazu Abrahamowi, potem, bez żadnego dowodu rabi Akibie, jest to dzieło napisane zdaje się w czasokresie ósmego, lub dziewiątego stulecia naszej ery.

Cytuję ustępy pierwszego rozdziału:

„Za pomocą trzydziestu dwu słów cudownej mądrości, Jach, Jehowa Zeabot, Bóg żywy, Bóg mocny, wysoki

i dostojny, wiekuiście bytujący, którego imię jest święte, opisał i stworzył swój świat w trzech księgach, to jest właściwej księdze, liczbie i słowie.

„Dziesięciu sefirotów i nic więcej, i 22 litery, z czego 3 główne, 7 podwójnych, a 12 zwyczajnych".

„Dziesięciu sefirotów i nic więcej, wedle liczby 10 palców, pięć naprzeciw pięciu i związek jedności jest uczyniony sprawiedliwie, pośrodku przez obrzezanie języka i obrzezanie ciała".

„Dziesięciu sefirotów i nic więcej, 10, a nie 9, a nie 11. Zrozumiej to mądrze i rozważ rozsądnie, zbadaj i wyznaj ich. Nadaj rzeczy jasność i postaw autora na przynależnym miejscu".

„Dziesięciu sefirotów i nic więcej, ich miarą jest 10 bez końca, głębia początku i głębia końca, głębia dobra i głębia zła, głębia wysokości i głębia niskości, głębia Wschodu i głębia Zachodu, głębia Północy i głębia Południa, mistrz jedyny, Bóg, król wierny, panuje nad wszystkim z wysokości swego mieszkania wiekuistego i świętego".

„Dziesięciu sefirotów i nic więcej. Ich widok jest jak błyskawica, ale koniec ich końca nie ma. Słowo jego sprawia, że biegną i przybywają i wedle słowa jego ciskają się jak burza i padają przed tronem jego".

„Dziesięciu sefirotów i nic więcej. Ich koniec złączony jest z ich początkiem, a początek z końcem, jak płomień złączony jest z węglem. Mistrz jest jeden, nie ma drugiego. Otóż czemże jesteś wobec Jedynego?"

Tekst wlecze się dalej w ten sposób, zapadając coraz to bardziej w niezrozumiałe kombinacje liter i liczb. Oczywiście tekstowi tego rodzaju nadać można każde żądane znaczenie i wyciągnąć zeń dowolne zgoła wnioski. Spotykamy tu po raz pierwszy pojęcie sefirota, które dalej rozwija Zohar i doszukać się tu można systemu stworzennego, w którym „słowo", to znaczy słowo Boga, wymawiając litery alfabetu: a l e f, m e m s z i n, daje

początek trzem pierwiastkom, a czyniąc z tych liter sześć kombinacji daje początek sześciu kierunkom, to znaczy nadaje pierwiastkom zdolność rozpościerania się na wszystkie strony. Potem zaś, oznaczając te pierwiastki 22 literami alfabetu (łącznie z trzema literami a l e f, m e m, s z i n,) wyraża w ten sposób całą rozmaitość słów z tych liter złożonych i przez to właśnie stwarza bezlik rzeczy.

Okultyści próbowali nieraz dawać klucze do Sefer-Jezirah, ale wyznają w pokorze ducha, że klucze te niczego im nie otwarły. Biorąc wszystko pod uwagę, wydaje się słusznym przypuszczenie Karppa, że ta dziwaczna księga jest poprostu wytworem pedagoga, który chciał dać w podręczniku nader szczupłym kwintesencję wszystkich elementarnych wiadomości naukowych dotyczących sztuki czytania, gramatyki, kosmologii, fizyki, podziału czasu przestrzeni, anatomii i religijnych pojęć żydowskich, że zatem nie tylko nie jest to dzieło mistyczne, ale coś w rodzaju podręcznej notatki, czy enchirydionu mnemotechnicznego.*)

Zohar znaczy tyle co „światłość rozbłyskająca nagle", a księga ta, równie jak i pierwsza, jest wytworem długiego mistycznego procesu, sięgającego czasów, kiedy talmud jeszcze nie miał formy zamkniętej w sobie, to znaczy wstecz poza VI. wiek naszej ery. Po dość długiej przerwie mistycyzm ten zaczyna się ponownie około roku 820 po Chr. i przejawia się ciągle w pismach Majmonidesa. Potem jawi się jako bezpośrednia zwiastunka Kabały szkoła Izaaka Ślepca, w pierwszej linii metafizyczna, będąca „abstrakcją abstrakcji neoplatońskich" jak ją określono, a w szkole tej najwybitniejsze miejsce zajmuje Nachmanides.. Po niej przyszła szkoła Eleazora z Wormacji, zajmująca się przede wszystkim zagadnieniem liczb i liter, a w końcu szkoła Abulafii, propagująca czystą kontemplację*). Dochodzimy w ten sposób do Zohary samej. Nie jest to dzieło jednolite, ale

---

*) Przyglądanie.

wspólna praca licznych, bezimiennych autorów, nie posiada też spoistości i budowy, a w wielu razach natrafiamy na ogromne sprzeczności twierdzeń.

Trudno ustalić datę dzieła tego rodzaju. Franck, chcąc uzasadnić starożytność tej księgi, przypomina, że napisana została w języku chaldejskim, ale w średnich wiekach rabini pisywali często w narzeczu armeńsko-chaldejskim. Potem utrzymywano, że jest dziełem rabbiego, Szymona Ben Johaja (około 150 po Chr.), ale nic nie potwierdziło tego zapatrywania. Przed końcem XIII. wieku nie znajdujemy najmniejszego, rzeczywistego i pewnego śladu istnienia tej księgi. Wedle opinii Karppa, który sprawę badał najściślej i przedyskutował wszystkie dotychczasowe hipotezy, Mojżesz de Leon, żyjący w początkach XIV wieku, był ponad wszelką wątpliwość jednym z jej współtwórców. Jeśli nawet tedy nie był autorem głównym, to w każdym razie musiał pozbierać i włączyć w całość pewną liczbę mistycznych fragmentów i komentarzy Pisma Świętego, będących produktem współpracy nader licznych autorów.

W miejsce Jehowy biblijnego, Boga jedynego, bezpośredniego stwórcy wszechświata, wprowadza Zohar, a raczej umieszcza ponad nim, czy obok niego e n - s o f, to znaczy nieskończoność, n y i n, to znaczy nicość, istotę prastarą, najdawniejszą, najbardziej tajemniczą „długą twarz". E n - s o f to Bóg sam w sobie równie nieznany i niepoznawalny jak przyczyna bezprzyczynowa. Jest nawet bliższym nicości bo pierwsza jego manifestacja, pierwsza s e f i r a, czyli „korona" jest jeszcze nicością. Jest on a y i n a y i n u, nicość nicości. „Kiedy wszystko nim jeszcze było skryte — powiada Zohar — Bóg był tajemnicą wszelkich tajemnic i wówczas nie posiadał imienia. Jedynym słowem, jakiem by go oznaczać można, jest pytanie: kto?"

Dalej mówi księga. „Jest oddzielony. Ma kształt i nie ma kształtu. Ma kształt jako ten, który stwarza

wszechświat i nie ma, jako że nie jest w wszechświecie zamknięty.

Teoria emanacji jest w Zoharze niezmiernie ciemna, niepewna i różnolita.

W celu zrobienia miejsca dla świata, Bóg, który wypełniał wszystko, kurczy się, koncentruje promieniuje w opróżnioną przestrzeń myśl swoją i eksterioryzuje część samego siebie. Pierwsza ta emanacja, czyli iradacja, to pierwsza s e f i r a, zwana „koroną“. Wyobraża ona nieskończoność, która uczyniła pierwszy krok do bytu i pierwszą zarazem substancję.. Z tej pierwszej s e f i r y, niemal nicością jeszcze będącej, ale bliższej już naszemu umysłowi i odczuciu, emanują, rozwijając się zwolna, dwie następne sefiry, mądrość, pierwiastek męski i inteligencja, pierwiastek żeński. W ten sposób, począwszy od „korony“ zaczynają się przeciwieństwa, czyli zaczyna się różniczkowanie wszystkiego. Z połączenia mądrości i inteligencji rodzi się wiedza, czyli nauka. Posiadamy już tedy ideę czystą, myśl eksterioryzowana i głos, czyli „słowo“, łączące je z sobą. Po tej pierwszej trójcy sefirotów jawi się druga: łaska, czyli wspaniałomyślność, sprawiedliwość, czyli srogość, czyli siła i wreszcie mediatorka ich, piękno. Te sefiroty, wtopione w piękno rozwijają się dalej i dają początek trzeciej grupie, mianowicie: zwycięstwu, sławie i pewności, poczem, na samym końcu wypływa z nich sefirota: władza, czyli królestwo, realizujące wszystkie sefiroty razem w wszechświecie widzialnym.

Całokształt sefirotów tworzy z drugiej strony tajemniczego Adama Kadmona, człowieka wyższego, człowieka pierworodnego, nad którym szeroko rozwodzą się okultyści, a który sam w sobie wyobraża wszechświat.

W jakimże momencie e n - s o f zaczyna swe emanacje? Kabała nie odpowiada dość jasno na to pytanie. Oto co mówi: „Zanim Bóg stworzył ten świat, stworzył dużo światów innych i kazał im zawsze znikać, aż mu

przyszło na myśl stworzyć obecny świat". Cóż się jednak stało z owymi zniknionymi światami? „Jest to — powiada Kabała — przywilejem potęgi króla najwyższego, że światy, które nie mogły przybrać kształtu właściwego, poginęły mimo, że nic nie ginie, nawet tchnienie ust jego. Wszystko ma swe miejsce i przeznaczenie, a Bóg wie co z każdą rzeczą czynić. Nawet słowo człowieka i dźwięk głosu jego nie wpada w nicość, a wszystko ma miejsce swe i mieszkanie.

Cóż się dzieje ze światem naszym? Dokąd zmierza? Jakie jest jego przeznaczenie? Ponieważ Zohar nie jest dziełem jednolitym, ale komplikacją bardzo późno powstałą, przeto doktryna, odnośnie do tego również punktu nie jest czysta. Mimo to, oczyściwszy ją z elementów logicznych i obcych naleciałości, paczących jej kierunek, spostrzegamy, że dochodzi również do panteizmu, a przez panteizm do nieuniknionego optymizmu. En-sof, czyli nieskończoność jest wszystkim, a przeto wszystko jest nim. Abstrakt czysty, manifestując się, przechodzi przez zjawiska pośrednie, rozwija się i degraduje z rozmysłem, przez dobroć własną i dochodzi do myśli i materii, będącej jeno ostatnią degradacją myśli, gdy zaś nadejdzie epoka mesjaniczna „wszystko powróci do korzenia, z którego wyszło".

Człowiek, stanowiący w Zaharze centro świata i mikrokosmos, może zaraz po śmierci osiągnąć powrót w doskonałość, a oczyszczona dusza jego otrzymać pocałunek pokoju, „który łączy ją z powrotem i na zawsze z korzeniem tej zasady".

Czemże jest zło? Zło w Zoharze, to materia. „Człowiek, odnosząc zwycięstwo nad złem, przezwycięża materię, czyli podporządkowuje ją w sobie wyższym celom, uszlachetnia on jednocześnie materię, i sprawia, że powraca z ostatniego, najniższego miejsca, gdzie została wygnana, do miejsca, z którego wyszła. W człowieku to właśnie, posiadającym świadomość, materia dochodzi do

uświadomienia sobie odległości, dzielącej ją od najwyższego dobra i zaczyna dążyć ku temu dobru. Przez człowieka ciemność kieruje się w stronę światła, wielość zmierza ku jedności, a cała natura ku Bogu. Przez człowieka Bóg odtwarza na nowo samego siebie, przeszedłszy przez wspaniałą różnolitość istot. Ponieważ człowiek jest sumą i syntezą ekspresji wszystkich zjaw, przeto gdy przezwyciężyły zło w sobie, pokonywa je we wszystkim i porywa ku górze za sobą wszystkie elementy niższe, tak że przez jego wznoszenie uskutecznia się wznoszenie ku Bogu całego kosmosu".

Dlaczego jednak istnieje zło i poco? Pytanie to zadaje sobie Zohar i podnosi kwestię, z jakiego powodu zstępuje na ziemię dusza, będąca pochodzenia niebiańskiego. Żadna z religii nie dała na to odpowiedzi, a Zohar, ucieka się do alegorii. „Pewien król — powiada — wysłał syna swego na wieś w tym celu, by nabrał sił, zmężniał i przyswoił sobie potrzebne umiejętności. Po pewnym czasie doniesiono mu, że syn jego wyrósł, rozwinął się i ukończył wykształcenie. Pod wpływem miłości król posłał po syna samą królową, by go zabrała i przywiozła do pałacu. W ten sam — kończy Zohar — król wszechświata, który z natury rodzi syna, czyli duszę niebiańską, posyła tego syna w pole, to znaczy w świat ziemski, by się wzmocniła i uszlachetniła".

Uczniowie rabi Szymona Ben Zemach-Durana, jednego z największych doktorów Zohary, pytają mistrza: „Czyż nie lepiejby było, by człowiek nie istniał wcale, niż że rodzi się, grzeszy i gniewa Boga"? „Zaprawdę, nie — odpowiada mistrz — albowiem wszechświat w swej obecnej formie jest najlepszym, jaki istnieć może. Dla utrzymania tego wszechświata potrzebne jest prawo, inaczej bowiem stałby się pustynią. Dla istnienia prawa jest zaś potrzebny człowiek". — Uczniowie zrozumieli i rzekli: — Bóg nie stworzył, zaiste, świata bez powodu, a prawo jest odzieniem Boga, które sprawia, że jest on

dostępny. Bez ludzkiej cnoty, nędznym byłoby odzienie Boga. Ten, kto czyni źle, kala w swej duszy boże odzienie, zaś cnotliwy przywraca mu boską świetność i piękno.

Zohar uchyla się również od odpowiedzi na inną kwestię zasadniczą, mianowicie wiekuistość kar. Biorąc logicznie, religia panteistyczna nie powinnaby twierdzić, że Bóg karze i dręczy wiekuiście cząstkę samego siebie. Zohar powiada w jednym miejscu jakby ze zdumieniem: „Ileż dusz i duchów skazanych jest na karę wieczystą, tak że nie dostaną się nigdy w krąg nieba!“ Z drugiej jednak strony wyraźnie przyjmuje doktrynę reinkarnacji, to znaczy stopniowej puryfikacji dusz w ciągu długiego szeregu istnień. Naukę opiera na tekście Biblii, między innymi na Eklekzjastyku (IV, 2), gdzie powiedziano: „I chwaliłem umarłych, którzy już umarli, więcej niżli żywi, którzy żyją jeszcze“. „Cóż może znaczyć — pyta Zohar — umarli, którzy już umarli? To ci, którzy już poprzednio raz umarli, czyli znajdują się już w pierwszej swej pielgrzymce“. Wynika stąd wyraźnie, że doktyrna reinkarnacji kar nie wyłącza.

Taka jest treść Zoharu.

Nie trudno sobie wyobrazić, jakie znaczenie posiadała ta doktryna tajna przez całe średniowiecze. Znana kilku zaledwie wtajemniczonym, okryta formułkami, przysłonięta niezrozumiałymi obrazami, szeptana w ucho, wśród rzeczywistych, wielkich niebezpieczeństw, posiadała podziemne jakieś promieniowanie i fascynowała grozą w sposób przemożny. Ujmowała przy tym świat ze stanowiska wyższego niż Biblia, którą uważała za tkankę alegorii, z ukrytą poza nimi prawdą, sobie jeno znaną. Z księgi tej błyskało światło, zapalone przez rozum ludzki wówczas jeszcze, gdy spoczywał w kolebce.

Wszyscy też niemal okultyści opierali swój wykład na niej i twierdzili, że do kabały odszukali klucz. „Kabała jest podstawą wszystkich nauk i podstawą wszystkich związków tajemnych“, twierdził Eliphas Levi. Je-

śli wtajemniczony potrafi ją czytać — stanie twarzą w twarz z obliczem Boga!

Z tego względu, mimo że kabalistyczna nauka należy do najcięższych w dziedzinie hermetyzmu pozwoliłem sobie dla całokształtu ją w zarysie przytoczyć. W cytatach tekstu posługiwałem się przeważnie dziełem Materlincka p. t. „Wielka Tajemnica“ w przekładzie F. Mirandoli.

ROZDZIAŁ VI

RÓŻOKRZYŻOWCY.

Wiele mówiono i mówią o różokrzyżowcach mimo, że to tajemnicze bractwo mało pozostawiło śladów swego bytu. Sama ich historia otoczona jest legendą i istnienie założyciela kwestionowane.

Według podania zakon miał założyć niemiec Chrystian Rosenkreutz urodzony w 1377 r., skąd też i nazwa: Rose i Kreutz — Róża i Krzyż:

Oto co o nim podają:

Na początku piętnastego wieku w Niemczech urodził się potomek znakomitej rodziny Chrystian von Rosenkreutz, który we wczesnej młodości stał się sierotą. Początkowe wychowanie otrzymał w klasztorze; opuścił go mając lat 16, by podróżować po Azji, Arabii, Egipcie i Marokku. Osiągnął podczas podróży ogromną wiedzę ogólną, ostateczne zaś wtajemniczenie miał otrzymać w mieście Damkarze, którego nie odnajdujemy na żadnej mapie. Miał jakoby posiadać Księgę Świata „Liber Mundi“, znaną prócz niego jeszcze niejakiemu Theophrastowi.

Po powrocie do Europy przedsięwziął projekt reformy religijnej, artystycznej i politycznej i w tym celu złączył się z braćmi C. V. L. i J. O., do których później przyłączyli się: malarz B. i bracia G. G. i P. D.

Nauczył on ich języka magicznego, zażądał bezwzględnej czystości i nadał nazwę różokrzyżowców.

Zasadnicze warunki przynależności do bractwa były dość proste i streszczały się w następującym:

1. Leczyć wszystkich darmo;
2. Nosić strój kraju, w którym się mieszka;
3. Co rok przybywać na miejsce ogólnych zebrań lub przedstawić na piśmie powód niemożności przybycia;
4. W chwili śmierci wyznaczyć godnego w bractwie następcę.
5. W razie śmierci starać się, by miejsce pochowania pozostało nieznanym.
6. Trzymać w ukryciu w ciągu 120 lat wszelką wiadomość o istnieniu bractwa i mocno w to wierzyć, że gdyby nawet bractwo zniszczonym zostało, może w każdej chwili zmartwychwstać.

Zachowanie tych prostych i nieskomplikowanych warunków, miało zapewnić Różokrzyżowcom ową nadprzyrodzoną władzę, o której francuski pisarz XVII w. G. Naudé w swym dziele „Instruction a la France sur la verité de l'historie des Frères de la Rose Croix" podaje:

Że członkowie tego bractwa nie znają uczucia ani głodu ani pragnienia. Nie podlegają chorobom śmierci i starości;

Że posiadają książki, z której mogli się nauczyć wszystkiego (Liber Mundi), co w innych książkach napisanym zostało;

Że mogą rozkazywać duchom i demonom i że na rozkaz ich larwy noszą im żądane skarby;

Że mogą przetwarzać kruszcze na złoto;

Że pierwsi bracia mieli dar leczenia wszystkich chorób;

Że bractwo nigdy nie może uledz zagładzie;

Że w jakimkolwiek miejscu by się znajdowali, wiedzą wszystko co się dzieje na pozostałym świecie;

Że cała mądrość ich jest zawarta w księdze „Liber Mundi", ważniejszej od Biblii. Księgę tę trzymał brat oświecony Chrytsian Rosenkreutz, w prawym ręku po śmierci, gdy zmarł, mając 106 lat;

Że głoszą oni, iż papież jest Antychrystem i że oni mają moc zniweczenia jego potrójnej tiary i przywrócenie prawdy na świecie.

Aby wyczerpać legendę, muszę nadmienić, iż zmarł Chrystian Rosenkreutz podobno w 1484 r. a więc w wieku 106 lat. Ostatnie lata spędził w zupełnym osamotnieniu, żyjąc jak anachoreta w grocie.

Grób jego został odszukany w 1604 r., a więc w 120 lat później, dokoła grobu widniały napisy:

P o s t CXX A n n o s p a t e b o.

A. C. R. K. H o c u n i v e r s i c o m p e n d i u m v i v u s m i h i s e p u l c r u m f e c i.

J e z u s m i h i o m n i a

Na trumnie po czterech rogach:

1. N e q u a q u a m V a c u u m
2. L e g i s J u g u m.
3. L i b e r t a s E w a n g e l i i.
4. D e i G l o r i a i n t a c t a.

(Napisy oznaczają: „Po 120 latach będę stał otworem," „Ja A. C. R. C. uczyniłem sobie z tego odbicia wszechświata grób", „Jezus mi wszystkim", Nigdzie nie ma pustej przestrzeni", „Surowość prawa", Swoboda Ewangelii" i „Sława Boga nienaruszona").

Tak brzmi legenda, lecz większość uczonych wogóle powątpiewa, czy Rosenkreutz istniał kiedykolwiek. Twierdzą oni, że słynna „Fama franternitatis Rosae Cru-

cis", skąd poczerpnięte są te szczegóły, napisaną została przez pastora niemieckiego w XVII w. Walentyniana Andreya, który pragnąc stworzyć stowarzyszenie i tym większą mu nadać powagę, pomienione wypadki wymyślił i współczesnych zmistyfikował.

Faktem jest jednak, że stowarzyszenia R—C istniało w Niemczech i z tamtąd przeniesione zostało do Anglii. W Anglii ogromnie się nimi zajął autor „Nowej Antlantydy" Bacon... zreorganizował... i po dziś dzień mają one opinię jedynych i prawdziwych depozytariuszy wiedzy hermetycznej.

W 1889 r. odnowiony Zakon Różokrzyżowców powstał we Francji. Najbardziej głośnymi jego członkami byli: Stanisław de Guaita, F. Ch. Barlet i Papus. Pojawił się cały szereg dzieł, stanowiących impuls badania nauk tajemnych. Dzieła Guaity p. t. „Au Seuil du Mystere". (Na progu tajemnicy). „Le Temple de Satan" (Synagoga szatana) i „La clef de la Magie noire" (Klucz czarnej magii), zawierają część ezoterycznego wtajemniczenia.

Mimo jednak opublikowania szeregu pism przez różokrzyżowców i ich następców, powiedzieli oni to tylko, co chcieli powiedzieć, pozostawiając w cieniu sprawy z którymi nie pragnęli zapoznawać ogółu.

Jeden z nowszych autorów, powieściopisarz angielski Bulwer Lytton (który wprowadził w Londynie do loży Eliphasa Levi) najjaśniej może przedstawił zagadnienie. W swej książce p. t. „Zanoni" przedstawia on człowieka, który dzięki własnej pracy osiągnął nadludzką potęgę. W „Na progu tajemnicy" Stanisław de Guaita zatrzymuje się nad wzmiankowanym romansem. Pisze: „Zanoni" jest książką bogatą w tajemnice i arkany. Pod osłoną olśniewającej wyobraźni autor ukrył tradycyjne sekrety różokrzyżowców". Sam Bulwer Lytton również o tym wspomina.

Zanoni jest historią profana, który pragnie zostać

adeptem, lecz nie umie zasłużyć na tę łaskę posłuszeństwem. Clarence Glydon — profan —jest malarzem, pragnącym raczej z ciekawości, niż z prawdziwej chęci poznania, studiować nauki hermetyczne i w tym celu, aby stać się wtajemniczonym, zwraca się do maga Medżura. Ten przyjmuje go za ucznia, lecz wiedząc, jak postępować należy, dnia pewnego, gdy zmuszonym jest opuścić dom — zabrania czynić samoistnie jakąkolwiek operację magiczną.

Skuszony jednak swobodą i obecnością tajemniczej księgi, leżącej na stole, Glydon postępuje wbrew zakazowi. Lecz w tejże chwili następuje kara. Nie potrafi opanować sił, jakie wywołał. Widzi zjawisko straszliwe — Stróża dziedzin zakazanych — potwora o gorejących oczach, który nie przepuszczał nikogo, nieprzygotowanego — na „tamtą stronę".

Przerażony widmem, następującym coraz bliżej i nie umiejąc się przed nim bronić, Glydon pada zemdlony — i długich trzeba było starań Medżura, by jako tako przywołać go do życia i zdrowia. Mimo starań, mimo wypicia eliksiru magicznego, Glydon jest wciąż opanowany wspomnieniem straszliwego koszmarnego obrazu.

W końcu przychodzi nieco do siebie, lecz Medżur mu oświadcza, iż za karę, nigdy wtajemniczonym nie zostanie.

Bardzo wiele osób sądzi, że inicjacja jest prostą formalnością i każdy może opanować potężne sekreta.

Oto co w tym względzie mówi Medżur:

„Przypuśćmy, iż udzielamy naszej wiedzy wszystkim, zarówno dobrym jak złym — czy będziemy dobroczyńcami czy szkodnikami?

„Wyobraźmy sobie tyrana, rozpustnika, zepsutego, przewrotnego, oddzielonych podobnych potęgą — czy nie zamienią się oni w demonów ludzkości? Zgódźmy się nawet, iż ten sam przywilej został użyczony dobrym — w jakim stanie znajdzie się ludzkość? Byłaby to wieczna

walka złych z dobrymi, w której dobrzy, jako mniej przewrotni napewno ulegną! Z tej przyczyny zobowiązaliśmy się uroczyście udzielać naszej wiedzy li tylko tym, którzy z niej złego użytku nie uczynią, a prócz tego się zgodzą przejść szereg prób, oczyszczających serca i wyzwalających z namiętności".

Medżur w tych słowach daje odpowiedź na pytanie, czemu nauki tajemne nie stoją otworem dla wszystkich. Adept musi być wolny od wszelkich pragnień, które przywiązywałyby go do ziemi. Musi być wolny od miłości kobiety, wolny od skąpstwa i ambicji. Wyrzec się nawet musi marzeń o sławie i zaszczytach.

ROZDZIAŁ VII

WTAJEMNICZENI POSTEL I PARACELSUS

Nie będę się tu zatrzymywał nad alchemikami średniowiecza i epoki Odrodzenia. Również nie będę precyzował nauki Corneliusa Agippy, zwanego niejednokrotnie zuchwałym profanatorem, który w swej „Philosohia occulta" daje całkowitą teorię zaklęć i ewokacji. Wspominałem o nich w książce „Magia i czary", która dla zrozumienia niniejszego jest nieodzownie potrzebną.

Obecnie przedstawię dzieje wtajemniczonych adeptów Wilhelma Postela i Paracelsa.

W i l h e l m P o s t e l, którego Eliphas Levi nazywa „pracownikiem niestrudzonym w dziedzinie kabały, gdyż jemu zawdzięczamy znajomość Sefeh Jezirah i Zohary i który niewątpliwie zostałby największym inicja-

tem swego wieku, gdyby mózg jego nie poniósł szwanku przez mistyczną akcezę i przesadną wstrzemięźliwość płciową“ — otóż ten Postel jest niezwykle ciekawą jednostką.

Był synem biednego chłopa z okolic Barenton‘u w Normandii i dzięki niezwykłej wytrzymałości i pracy udało mu się posiąść wiedzę. Wkrótce stał się jednym z bardziej uczonych ludzi swego wieku, wprawdzie bieda prześladowała go stale, często sprzedawać musiał nawet ukochane książki. Znał niemal wszystkie języki, odkrył szereg cennych manuskryptów, między innymi Ewangelie apokryficzne i Sepher Jezirah. Okrył klucz do tej tak zawiłej kabały, której próbkę dałem w poprzednim rozdziale i pragnął tajemnice tam zawarte ludziom przedstawić.

Napisał więc dzieło p. t. „La clef des choses cachées depulis le commencement du monde“ (klucz spraw tajemnych od początku świata); we wstępie do niego zaklinał uczonych aby zastosowali się do jego wywodów i z nim starali uzgodzić oficjalną naukę.

Oczywiście nikt go nie pojął i uważano za wariata. Dla zrozumienia rzeczy najbardziej trudnych i zawiłych Postel posługiwał się tym, co byśmy dziś nazwali „medium rewelacyjnym“.

Wszedł w zażyłą przyjaźń ze starszą już kobietą z Wenecji — matką Joanną. Ta miewała objawienia — zaś wtajemniczony twierdził, że radem mu jest ją widywać w pozaziemskich stanach. Aczkolwiek więc miała lat z górą pięćdziesiąt, w chwilach ekstazy przeobrażała mu się w piękną i młodą dziewicę — udzielała rad, tłumaczyła niezrozumiałe ustępy kabalistycznych ksiąg.

Stosunek pomiędzy mistykiem, a matką Joanną trwał około pięciu lat, po upływie tego czasu umarła.

Obiecała jednak swemu przyjacielowi, że nigdy go nie opuści i pojawi się, wolna od cielesnych więzów.

„Dotrzymała słowa — mawiał później Postel — odtąd odwiedzała mnie często w Paryżu, oświeciła swym światłem, pogodziła rozum z wiarą. W dwa lata po zgonie jej ciało duchowe weszło w moje ciało, że obecnie żyje ona we mnie“.

Od tej epoki Postel nie nazywał nigdy inaczej samego siebie niźli „Postellus restitutus — Postel odrodzony i istotnie ciekawa zmiana w nim zaszła; włosy dotychczas białe przemieniły się na czarne, zmarszczki, ze znużonej pracą i bezsennością twarzy, znikły, wyprostował się, a cera przybrała barwę młodzieńczą.

Wprawdzie złośliwi twierdzili, że ufarbował włosy i szminkował twarz — lecz jest mało prawdopodobne i Postel nie miał żadnego celu tak postępować. Ani nie fabrykował eliksirów młodości, ani nikogo nie chciał uzdrawiać, ani lekarstw nie sprzedawał. Daleko prościej przypuścić, że ów potężny fluid wszechświata, o którym wspomniałem w „Magii i Czarach“, opanowany przez niego, ożywił Postela, dał natchnienie i młodość — zaś by tym bardziej ukryć posiadany skarb — mienił go „matką Joanną“.

Filip Teofrast Bombast z Hohenheimu Paracelsus twierdził o sobie, że posiadł eliksir życia t. j. „duch ożywczy ciała“, że jest w stanie wytworzyć sztucznym sposobem człowieka t. zw. „homunculusa“ oraz że może swym systemem uleczyć wszystkie choroby.

Czy mógł on naprawdę wytworzyć sztucznego człowieka? — pozostaje zagadką. Czy istotnie posiadł eliksir życia? — jest wątpliwem, bo zmarł w 48 r. życia, w szpitalu. Natomiast jego kuracje po dziś dzień zdumiewają i zadziwiają i są jednym z najlepszych dowodów istnienia ciała astralnego, potężnie związanego z falami, rządzącymi wszechświatem.

Paracelsus leczył w ten sposób, że nie obchodziło go zgoła nasze ciało fizyczne — uważał je za coś w

rodzaju starego ubrania, mogącego się podrzeć i być w każdej chwili zrzuconym. Leczył wewnętrznego „duchowego człowieka".

Gdy więc kto cierpiał na rękę, palec etc. — lepił on takiż sam członek z wosku, poczem za pomocą siły woli, przenosił nań magnetyczną wrażliwość pacjenta (podobne doświadczenia czynił ostatnio de Rochas) i do woskowego ulepku przykładał rozpalone żelazo, witriolej, ogień etc. — kuracje miały się udawać stale i zawsze.

Prócz tego posiadał on sekrety słowa i dotknięć; za pomocą nałożenia rąk uzdrawiał paralityków, usuwał najsilniejsze gorączki, przywracał osłabionym siły i zdrowie.

Paracelsus wywoływał entuzjazm — lecz również posiadał nieskończoną ilość wrogów. W pierwszym rzędzie nienawidzili go oczywiście oficjalni lakarze — poza tym sam charakter cudotwórcy bynajmniej nie przysparzał przyjaciół.

Teofrast Bombast dalekim był od łagodności i dobroci Postela. Wielce zadzierzysty zakląwszy w rękojeść szpady — jak mawiał — swego geniusza przebiegał różne lądy i kraje, drwiąc z przedstawicieli oficjalnej nauki, a nawet w obecności swych uczni i zwolenników, palił ich pisma. Wielce lubił przesiadywać po szynkowniach, gdzie bynajmniej nie gardził winem — a później wiecznie pijany, a jednak trzeźwy, wykładał teorie, spierał się, przekonywał i uzdrawiał.

Pisma, które pozostawił po sobie, są cenne — lecz czytać je należy z wielką ostrożnością. Zawierają bowiem wiele ustępów, jakby umyślnie pragnących w błąd wprowadzić czytelnika, („Archidoxe magique").

Lecz takim był już sposób pisania współczesnych adeptów i czynili to z rozmysłem, chcąc swą naukę udostępnić wyłącznie wtajemniczonym.

Zmarł Paracelsus, jak zaznaczyłem w 48 r. życia, wyczerpany nadużyciami i pracą. Pozostawił po sobie sławę wprost fanatyczną i po dziś dzień jest uważany

za maga, nie tylko potrafiącego przechwalać się swą nauką, ale tę naukę zastosować do praktycznych celów.

ROZDZIAŁ VIII

CZY MOŻLIWYM JEST ROBIĆ SZTUCZNIE ZŁOTO?

O co właściwie najwięcej chodziło wszystkim adeptom? Chodziło im o odszukanie t. zw. „kamienia filozoficznego". Czym miał być ten kamień?

Kamień filozoficzny miał odpowiadać następującym warunkom:

1. Przedłużać do nieskończoności życie.
2. Przywracać młodość czyli zamienić nawet zgrzybiałego starca na tryskającego zdrowiem młodzieńca.
3. Leczyć ze wszystkich chorób.
4. Dać możność komunikowania się z duchami i rozkazywania im.
5. Przetwarzać kruszce na złoto.

Dlatego tak studiowano kabałę i stare księgi, iż w nich usiłowano odnaleźć te recepty! Dlatego poświęcano życie całe, marząc, iż pod koniec młodość wróci. Dlatego poświęcano majątki, sądząc, że za te majątki uda się pozyskać wszystkie skarby świata!

Widzieliśmy próby Raymonda Lulle celem osiągnięcia eliksiru życia, lecz naprzód jego eliksir mógł tylko zatrzymać człowieka w tym wieku, jaki ten posiadał — zresztą była to tylko legenda.

Dalej w wiekach średnich twierdził mnich Fryderyk Gualdo, że przy pomocy tego środka — żyje z górą 400 lat. Inny — niejaki Atrefius — opowiadał nawet, iż jest w wieku lat — tysiąca.

Na zagadnienie „eliksiru życia" natkniemy się, gdy pisać będę o hr. St. Germain i Calgiostrze. Ale pozostaje tu jeszcze ostatnie pytanie: czy istotnie ktośkolwiek kiedykolwiek przetworzył sztucznie metal na złoto?

Z rozmysłem nie zatrzymywałem się nad alchemikami i ich skomplikowaną teorią. Zdaniem moim, teorie te nigdy nie doprowadziły do niczego, — gdyż alchemicy swe poszukiwania czynili w kierunkach nie właściwych — zresztą wykład, choćby krótki a całkowicie bezcelowy, zająłby całą księgę.

Opiszę tylko wcale ciekawy wypadek.

Jan Fryderyk Schweitzer, więcej znany pod łacińskim mianem Helvetiusa, był zaciekłym wrogiem alchemii. Dnia 27 grudnia 1666 r. zgłosił się do niego jakiś nieznajomy, z wyglądu mieszczanin holenderski, usilnie pragnący zachować incognito i odmawiający podania swego nazwiska. Nieznajomy oświadczył, iż usłyszawszy, jak zaciekłym przeciwnikiem alchemii jest Hel vetius, przybywa go przekonać.

Podczas długiej rozmowy — udowadniał możliwość istnienia kamienia filozoficznego — a gdy gospodarz z ironicznym uśmiechem zapytał czy widział ów kamień filozoficzny kiedykolwiek na własne oczy — gość wyciągnął z kieszeni małe rogowe pudełeczko, otworzył i wskazał na zawartość.

Był tam jakiś ciemny proszek. Napróżno Helvetius błagał, by nieznajomy przy nim zademonstrował cudowne właściwości substancji pierwotnej — adept na prośby pozostał nieczuły i opuścił uczonego, obiecując przybyć powtórnie za trzy tygodnie.

Jednak, w czasie rozmowy, Hevetius, gdy pudełko było otwarte, niezwykle zręcznie — ktoby przypuścił podobne zdolności u poważnego męża — zdołał uchwycić nieco tajemniczego proszku pod paznokieć.

Zaledwie pozostał sam — rozpoczął próby. Roztopił ołów w specjalnym naczyniu i nań rzucił proszek. Po-

wstał obłok dymu — a gdy się rozproszył — zauważył Helvetius, iż próba była daremną. Ołów zmienił tylko nieco barwę, i zmalał; obok znajdowała się jakby tarta i wysuszona ziemia.

Mniemając wówczas, że z szarlatanem miał do czynienia, mędrzec uśmiechnął się tylko i zapomniał o całej przygodzie. Ale po upływie określonego czasu nieznajomy istotnie przybył. Znowu odmawiał uczynienia doświadczenia osobiście, za to, po długich naleganiach — ofiarował Helvetiusowi nieco drogocennej substancji, wielkości ziarnka pszenicy. A gdy uczony powątpiewał czy podobnie mała ilość działać może skutecznie — adept odpowiedział, że ofiarował zbyt dużą dozę, wobec czego zabiera połowę i oświadcza, iż część pozostała jest dostateczna do przemiany półtorej uncji ołowiu na złoto.

Równocześnie wskazał jednak, jak postępować należy przy operacji i nacisk kładł na moment wrzucenia proszku do tygla. Należało owinąć go w wosk i tak wrzucić — w przeciwnym bowiem razie, za szybko łącząc się z ołowiem zamieniał się tylko w dym. Wtedy Helvetius pojął czemu się nie udał pierwszy eksperyment — zaniedbał tej ostrożności, nie znając dobrze przepisów postępowania przy transmutacji.

Poza tym nieznajomy obiecywał przybyć nazajutrz osobiście, celem przyjęcia udziału w operacji.

Nazajutrz oczekiwano daremnie. Oczekiwano do wieczora. Wtedy żona Helvetiusa, powiadomiona przez męża o wszystkim, nie mogąc opanować ciekawości, nakłoniła go, aby podjął próbę nie zwlekając dłużej. Przy doświadczeniu była obecną wraz z synem uczonego.

Roztopił więc Helvetius półtorej uncji ołowiu, rzucił na gotujący metal proszek owinięty w wosk, następnie przykrył tygiel i przez kwadrans jeszcze trzymał na ogniu. Po upływie tego czasu zauważył, że spław zaczyna nabierać żółtawego koloru, gdy zaś całość ostygła — w tyglu znajdowało się najszczersze złoto.

Oglądali bryłę wszyscy jubilerzy miejscowi z La Haye i jednogłośnie twierdzili, iż dawno tak czystego i szlachetnego kruszczu nie mieli w swych rękach. Parokrotnie, za pomocą płynów specjalnych czyniono próby, chcąc sprawdzić czy nie jest to tylko osad złoty na kawałku ołowiu — lecz przekonano się niezbicie, iż bryłka zawiera wyłącznie złoto próby najwyższej.

Taką jest osobista relacja powyższego faktu, uczyniona przez Helvetiusa — zbyt zaś był on poważnym człowiekiem i uczonym, aby go posądzać o chęć dopomożenia przy oszustwie, lub wprowadzenie innych w błąd. Pod świeżym wrażeniem napisał wtedy swą książkę „Vitulus aureus", w której, zmieniając całkowicie przekonania, stawał się gorącym zwolennikiem alchemii.

Przytoczę jeszcze drugi przykład z doświadczeń słynnego Van Helmont'a.

Również Van Helmont, w swym laboratorium w Vilworde koło Brukselii w 1618 r. otrzymał od jakiegoś nieznajomego szczyptę filozoficznego kamienia. Adept pojawił się tylko, aby przekonać i w tym wypadku uczonego. Zachowywał jak najściślejszą co do swej osoby tajemnicę, twarz nawet zasłaniał opończą.

Van Helmont dokonał doświadczenia. Przy pomocy proszku, nieco podobnego do merkuriusza, przemienił osiem uncji ołowiu na złoto.

Van Helmont był jednym z najsłynniejszych chemików swego czasu, ciężko było wyprowadzić go w pole, sam zaś nie miał celu rozgłaszania nieprawdopodobnych wieści.

Uczony tak zachwycił się eksperymentem, że na pamiątkę tegoż — nadał nawet swemu synowi imię — Mercuriusa!

Co mają oznaczać przytoczone przemnie przykłady?

Mają oznaczać tylko tyle, iż niewtajemniczeni alchemicy nie mogli dojść do żadnych rezultatów i dlatego

ich teorii nie przytaczam. Prawdziwi adepci posiadali sekret transmutacji — lecz zachowywali dla siebie, od czasu do czasu ukazując się tylko uczonym, aby przekonać, iż po za oficjalną nauką, jest „coś" jeszcze.

Czemu zwykli alchemicy nie odnaleźli klucza do „kamienia filozoficznego"? Na to przypomnę pierwszą zasadę magii: jeśli szukasz bogactw i potęgi — dla miłości własnej — nigdy ich nie zdobędziesz! Jeśli szukasz dla nauki i ludzkości — same do ciebie przyjdą!

Pseudo magowie, zamknięci w laboratoriach, czyniąc próby, trwające czasem całe lata wśród retort i tygli — dążyli do majątku osobistego, lub pragnęli oszukiwać innych! Czasem działali przez ciekawość!

Lecz tacy niczego nie zdobędą. Wspomnijmy smutny los malarza Glydona, pragnącego zostać różokrzyżowcem. A różokrzyżowcy posiadali sekret wytwarzania złota.

Czemu z niego niekorzystali?

ROZDZIAŁ IX

WIECZNIE MŁODY, NIEŚMIERTELNY HRABIA SAINT GERMAIN.

Doszliśmy w końcu do wieku XVIII i trójcy adeptów: hr. Saint Germain, Cagliostra i Mesmera, którzy opierając się na sekretach magów, różokrzyżowców i alchemików — starali się swe wiadomości zużytkować praktycznie i nimi pragnęli imponować współczesnym.

Czy byli wtajemniczonymi?

Owszem!

Czy wysokiego stopnia?

Najwyższych stopni nie posiadali — nie ośmieliliby się bowiem wtedy, swej mądrości demonstrować profanom.

Czy spotkała ich za to kara?

Bezwzględnie, szczególniej Cagliostra. Miast mistrzami stali się kuglarzami tłumów.

Zacznijmy od hrabiego Saint Germain.

Jednym z najbardziej tajemniczych magów świata jest bezwzględnie hrabia Saint Germain. Nic o nim nie wiadomo, ani gdzie się istotnie urodził, ani gdzie umarł.

Otacza go nimb jedynie i szereg legend, z których bardzo ciężko jest wydzielić cząsteczkę prawdy.

Działa jakiś czas na terenie Francji, Anglii i księstewek niemieckich, po czym nagle znika. Twierdził o sobie, że posiada eliksir życia i żyje od niepamiętnych czasów.

Lubił opowiadać, że znał Mojżesza, i ucztował z Sardanapalem, że był nadwornym królowej Saby, a przyjaźnił się wielce z Kleopatrą. Przytaczał przy tym tak świetną charakterystykę wspomnianych osób, iż miało się wrażenie, że żył podówczas istotnie. Późniejsi okultyści, nie wierząc, iż mógł on posiadać eliksir długowieczności i nie pomawiając go o szarlatanerię — starają się opowieści Saint Germaina wytłomaczyć w ten sposób, że zachował on poprostu pamięć swych wszystkich kolejnych reinkarnacji.

Lecz adept bynajmniej nie tak sprawę przedstawiał. Fakt faktem, iż potrafił zapanować nad ciałem, że nie starzał się wcale. Współczesny pisarz francuski Rameau, kategorycznie stwierdza, iż widział hrabiego Saint Germain w 1710 r. w Wenecji — i że miał on wtedy, na wygląd, lat 50. W roku zaś 1769, czyli w 59 lat później, inni — co go znakomicie znali, kategorycznie oświadczają, że wygląda znów — na lat 50. W końcu jeszcze inni, opi-

sując go w 1784 r. t. j. w piętnaście lat później —znowu konstatują — ma lat pięćdziesiąt!

Fakt zachowania jednakowego wyglądu w ciągu 74 lat — jest istotnie zadziwiający i nie darmo mógł hrabia imponować współczesnym.

Saint Germain żył nadzwyczaj umiarkowanie. Nie pił nigdy przy jedzeniu — często zażywał przeczyszczające środki, które sam sobie sporządzał. W skład ich w znacznej mierze wchodziło rumbarbarum. Ten tryb życia zalecał znajomym, gdy go się zapytywali co czynić, by długo żyć.

Rozmawiał chętnie i długo o hermetyzmie — lecz, o wtajemniczeniu — uchylał się od odpowiedzi, lub twierdził, że nie wie o niczym, uczni bowiem sam sobie wyszukiwał i dobierał.

W istocie Saint Germain był różokrzyżowcem.

Eliphas Lewi przytacza następujące szczegóły nieznane z jego życia. Miał się urodzić w Leutmeritz, w Czechach, pod koniec XVIII w. i był synem naturalnym czy przybranym różokrzyżowca, przezywającego się C o m e s c a b a l i c u s — towarzyszem kabalistycznym. Rzadko kiedy Saint Germain mówił o swym ojcu. W wieku lat siedmiu — opowiadał — zostałem banitą i błąkałem się z matką moją śród lasów.

Ta matka, o której wspomniał — to była wiedza adeptów, wiek siedmiu lat — to czas pracy, a lasy — świat pozbawiony prawdziwego światła.

:Widzimy więc, hrabia opowiadał dzieje swego żywota metaforycznie, stosując się do nauk przekazanych przez mistrza, lecz z tych słów paru zrozumieć możemy do jakiego kierunku wtajemniczenia należał.

Jak wspomniałem był różokrzyżowcem, a nawet założył stowarzyszenie sekretne p. n. Saint Jakin, z którego wyszedł, gdy zasady templariuszowskie krwi i zemsty poczęły opanowywać związki tajne.

Co do tego stowarzyszenia, odnajdujemy ciekawą

opowieść — doskonale charakteryzującą praktyki iluminatów przy „wtajemniczeniach".

„Na skutek pańskiego polecenia zostałem bardzo dobrze przyjęty przez M. N. Z. Był zadowolony, że zabrałem z sobą harmonijkę. Począł mi najprzód mówić o próbach szczególnych, lecz, przyznaję, wówczas nic nie zrozumiałem i teraz dopiero poczyna mi się rozjaśniać w głowiewie. Wczoraj wieczorem oprowadzono mnie po ogrodzie: pełno tam sztucznych skał, grót, kaskad i labiryntów; podziemia sprawiają duże wrażenie. Całość jest otoczona wysokim murem, niedozwalającym zauważyć, co się dzieje wewnątrz...

— — — — — — — — — — — —

Zostałem wezwany aby w czasie określonym i na dany znak grać na harmonijce. Zaprowadził mnie, po zwiedzeniu ogrodu do wielkiej sali, znajdującej się od frontu i pozostawił samego. Było dość późno. Ponieważ nie wracał z nudy i znużenia począł mnie ogarniać sen. Już przymykałem oczy, gdy posłyszałem stuk nadjeżdżających karet. Otworzyłem okno; ciemna noc była dokoła, nie widziałem nic, tylko z dołu dochodził cichy szept, wchodzących do domu osób.

Powróciłem na miejsce i wkrótce usnąłem w fotelu. Może spałem koło pół godziny, gdy raptem zbudził mnie służący, wysłany po mnie. Dał znak, bym postępował za nim. Szedł dosyć prędko, ja machinalnie podążałem. Nagle uderzył mnie głos trąb, pochodzących z piwnicy. Ponieważ straciłem przewodnika z oczu, skierowałem się w stronę skąd dźwięki pochodziły a natrafiwszy na schody, jąłem zstępować na dół. Byłem na pół drogi, gdy ujrzałem obraz straszliwy.

Proszę sobie wyobrazić moje przerażenie! W podziemiach odbywało się coś w rodzaju mszy żałobnej. Śpiewano pieśni ponure, zaś pośrodku leżał trup w otwartej

trumnie. Był ubrany w białe szaty i okrwawiony. Miało się wrażenie, że przed chwilą rozwarto mu żyły. Obecni, prócz śpiewających pieśni, ubrani byli w długie czarne płaszcze, w rękach trzymali obnażone szpady. O ile strach pozwolił mi zauważyć — przy wejściu do lochu, leżały sterty ludzkich kości i trupich czaszek, całą zaś scenę oświetlały pochodnie.

Cofnąłem się spiesznie, a u wejścia napotkałem przewodnika. On również miał minę nieswoją i z pewnego rodzaju niepokojem ujął mnie za rękę i przeprowadził do jakiegoś ogródka. Zdawało mi się, że przeniesiony zostałem w świat czarów. Nic tam nie było ponurego, ani strasznego. Ogródek oświetlał rzęsiście szereg lampionów, kwiaty pachniały aromatycznie, świergotały ptaki w poustawianych śród krzewów klatkach, cicho szumiały wodospady.

Po okropnej scenie w podziemiach, wydawał się sadzik istnym rajem.

Mój towarzysz wepchnął mnie poza altanę, przybraną bluszczem. Wewnątrz była ona urządzona z przepychem: pełno bogatych draperii i puszystych kobierców. Dał mi znak, bym rozpoczął dyskretną grę na harmonijce.

Po chwili wniesiono do altany zemdlonego człowieka — był nim ten sam, którego widziałem jako nieboszczyka w podziemiach. Lecz szaty miał czyste i nie znać na nich było śladu krwi.

Wielce wzruszony tym, co przeżyłem, być może nie kreślę wiernie wszystkich szczegółów. Pamiętam jeszcze dokładnie, iż człowiek zemdlony skoro go wniesiono, na dźwięk mej muzyki, ocknął się i zapytał.

— Gdzie jestem? Czyje głosy słyszę?

W odpowiedzi zewsząd rozległy się okrzyki radości, zabrzmiały trąby i cymbały. Pełno ludzi w czarnych płaszczach zapełniło ogród... mnie zaś wyprowadzono z altany.

Piszę cały drżący. Gdybym natychmiast nie był sobie zanotował tej sceny —przyjąłbym ją za sen fantastyczny".

Eliphas Lewi dodaje następujący komentarz:

„Dziwić się należy w jaki sposób profan mógł się znaleźć przy ceremonii inicjacji? Jak mogło stowarzyszenie narażać się na rewelacje niepowołane swych tajemnic?"

Zdaniem moim odpowiedź bardzo prosta. Sprowadzony grajek,przez nieopatrzność służącego, dostał się tam, gdzie nie powinien był dostać. Miał grać w ukryciu na harmonii, nic nie rozumiejąc z dziejącej się sceny — a przez pomyłkę znalazł się w podziemiach.

Lecz jakie tu dać ceremonii wytłomaczenie.

Związek hr. Saint Germain'a — Saint Jakin — zreformował tradycje różokrzyżowców i do ceremoniału przyjęcia nowego adepta powprowadzał zmiany.

Profanowi — jak w wielu starożytnych wtajemniczeniach — proponowano, by uczynił ofiarę życia. Zgadzał się na nią, oczywiście, a obfite puszczenie krwi przyprawiało go o omdlenie. Mówiono mu później, że omdlenie — to była śmierć prawdziwa. Gdy powracał do siebie — cymbały i fanfary witały jego zmartwychwstanie.

Różnorodne emocje, sceny ponure, lub wspaniałe i miłe — miały uczynić na nim niezatarte wrażenie, pozostać w pamięci na życie całe, uczynić go wiernym, fanatycznym członkiem bractwa. Wielu, naiwniejszych, wierzyło nawet święcie, że istotnie umarli i zmartwychwstali, za wpływem wtajemniczonych i że od tej pory są nieśmiertelni.

Wykorzystując tedy fantazję, ten najpotężniejszy czynnik zdobywał Saint Germain oddanych sobie, a otumanionych zwolenników.

— — — — — — — — — — — — —

Saint Germain był brunetem, raczej niskiego wzrostu. Chodził stale bogato ubrany, lecz z gustem, lubował

się w drogocennych kamieniach, których znaczną kolekcję posiadał.

Przez czas jakiś był niezwykle modny w Paryżu i wszyscy ludzie najwybitniejsi ubiegali się o jego znajomość. Król Ludwik XV był z nim w zażyłych stosunkach a nawet, jak fama głosi, parokrotnie używał do politycznych misji.

Saint Germain tym różni się od Cagliostra — że o ile Cagliostro występował z wielkim hałasem, jawnie, starając się wszystkich przekonać o swym wysokim posłannictwie i czynił „cuda" dla zdumiewania wiernych— o tyle Saint Germain unikał rozgłosu, działał raczej w ukryciu, leczył niechętnie i równie niechętnie demonstrował swój eliksir długowieczności.

Tu mamy różnice dwóch wtajemniczeń: Cagliostro przygotowywał Rewolucję Francuską, krew i zemstę, gdyż był templariuszem — Saint Germain trzymał się na uboczu, jako różokrzyżowiec.

Czasem tylko popisywał się alchemią.

Giacomo Casanova, w pamiętnikach (tom V, str. 485) tak opisuje wizytę u adepta.

„W pewnym momencie, gdy siedziałem u niego, zapytał mnie Saint Germain czy nie posiadam jakiej drobnej monety przy sobie: wyciągnąłem parę sztuk i położyłem na stole. Nie mówiąc ani słowa, co zamierza zrobić. wziął rozrzażony węgiel z komina i rzucił na metalową płytę.

Na węgiel położył monetę, na nią czarne ziarenko, po czym jął dmuchać w jakąś szklanną rurkę. W przeciągu paru minut moneta rozżarzyła się do czerwoności — w przeciągu paru następnych minut ostygła całkowicie.

— Proszę ją wziąść! — rzekł alchemik — należy do pana!

Wziąłem monetę — było to złoto. Podejrzewałem jednak, że Saint Germain sprytnie uczynił zamianę i miast mej sztuki zwrócił swoją, złotą, zgóry przygotowaną.

Pewności nie miałem, nic nie zauważyłem, chcąc go jednak wypróbować, odezwałem się w te słowa.

— To nadzwyczajne, panie hrabio! Lecz, by niedowiarka przekonać, winien pan, na przyszłość, uprzedzać, iż pragnie przemiany na złoto dokonać. Wtedy można dokładnie śledzić i uważnie srebrną monetę obejrzeć, zanim legnie na rozżarzone węgle!

Na to odparł mi:

— Kto wątpi we mnie, nie jest godzien mówić ze mną!

Podobnie aroganckie zachowanie typowe było dla hrabiego Saint Germain i potrafił on nawet książąt krwi traktować przez nogę".

Opis Casanovy jest złośliwy — lecz nie zapominajmy, że sądzić inaczej nie mógł, gdyż główne jego źródło utrzymania stanowiła fałszywa gra w karty i szalbierstwa na tle nauk tajemnych!

Co do dalszych losów adepta zdania są podzielone. Zwolennicy „cudowności" twierdzą, że nie umarł on wcale i żyje po dziś dzień, w Ameryce.

Więcej sceptyczni udowadniają, że zmarł w 1785 r., na dworze jednego z książąt niemieckich, opłakiwany przez szereg kobiet, które go uwielbiały.

ROZDZIAŁ X

HRABIA CAGLIOSTRO.

Cagliostro sam opowiadał o sobie, co następuje:

„Miejsce mego urodzenia oraz rodzice są mi nieznani...

Poszukiwania w tym kierunku pozostały bezowoc-

ne, aczkolwiek przekonały mnie o znakomitości mego pochodzenia. Pierwsze lata młodości spędziłem w Medynie pod imieniem Acharata. Pod tym imieniem odbyłem podróż po Azji i Afryce. W Medynie mieszkałem w domu muftego. Dobrze pamiętam tych, którzy otaczali mnie w dzieciństwie: opiekuna i troje służących. Opiekun mój mógł mieć około 55—60 lat, nazywano go Altotasem. Mówił mi, ze rodzice moi zmarli, gdy miałem trzy miesiące, że byli wysokiego rodu i chrześcijanie; bliższych szczegółów udzielać mi nie chciał. Mogłem się domyślać, że urodziłem się na Malcie.

Altotas starał się rozwijać me zamiłowanie do nauk. Sam, wydawało się, był wszechwiedzący. Największe czyniłem postępy w medycynie i botanice. Pozornie, jak i mój mistrz, zachowywałem przepisy wiary muzułmańskiej. Chodziliśmy ubrani w ich szaty. Lecz w głębi serca pozostaliśmy chrześcijanami.

Mufty, w którego domu zamieszkiwaliśmy, często mnie odwiedzał. Wykazywał niezwykły szacunek dla mego nauczyciela. Altotas świetnie władał językami wschodu i uczył mnie najważniejszych. Często wspominał o egipskich piramidach i obszernych podziemiach, wyrytych rękoma starożytnych egipcjan, s ł u ż ą c y m z a s k a r b n i c ę m ą d r o ś c i l u d z k i e j...

Gdy miałem lat dwanaście, Altotas oznajmił mi, iż opuścimy Medynę i rozpoczniemy podróże. Przybyliśmy do Mekki i zatrzymaliśmy się w pałacu szejka. Przebrano mnie w szaty niezwykle bogate i poprowadzono przed oblicze władcy. Na jego widok dziwne wzruszenie ogarnęło moje serce i łzy strumieniem zalały oblicze. Podobnej chwili nie przeżywałem nigdy więcej. I szejk wykazywał niezwykłe poruszenie. I on zdawało się siłą hamował łzy, by nie wybuchnąć płaczem...

Spędziłem w Mecce trzy lata. Przez cały czas ten, szejk otaczał mnie jaknajczulszą opieką. Czasem, gdy patrzył na mnie, cień niepokoju i smutku przesła-

niał jego twarz. Niejednokrotnie pytałem o bliższe szczegóły sługę negra, śpiącego w mej komnacie. Nie chciał udzielać żadnych wyjaśnień, w końcu kiedyś na me natarczywe prośby, powiedział tylko tyle, iż grożą mi wielkie niebezpieczeństwa, o ile opuszczę Mekkę i że winienem s i ę w y s t r z e g a ć m i a s t a T r a p e z u n d u...

Razu pewnego szejk sam, bez świty, wszedł do mego pokoju. Gdy mocno zdziwiony podobnym zaszczytem, stałem nieruchomo, przycisnął mnie do swej piersi i począł prosić, bym zawsze wierzył w Stwórcę Najwyższego, gdyż uczyni mnie szczęśliwym i ukształtuje me losy. Po czym zalewając się łzami zawołał:

— Żegnaj, żegnaj, nieszczęsny synu przyrody!

Rozpocząłem podróże od zwiedzania Egiptu. Tam zapoznałem się bliżej ze słynnymi piramidami, które dla zwykłego człowieka są tylko górą kamieni,. Zapoznałem się z kapłanami,którzy poprowadzili mnie tam, dokąd zwykli śmiertelnicy dostępu nie mają... Przez lat trzy podróżowałem po największych państwach Afryki i Azji.

W 1766 r. przybyłem na wyspę Rhodos wraz ze swym opiekunem i trzema służącymi, towarzyszącym nam nieodstępnie. Tam wsiedliśmy na okręt i udaliśmy się na wyspę Maltę, gdzie zamieszkaliśmy w pałacu wielkiego mistrza Zakonu Maltańskiego — Pinto. Przybrałem strój europejski oraz nazwisko hrabiego Cagliostro, nauczyciel mój Altotas pojawił się w szacie duchownej z krzyżem maltańskim na piersi.

Przekonany jestem, że Pinto znał tajemnicę mego pochodzenia. Parokrotnie rozmawiał ze mną o szejku Mekki i o mieście Trapezundzie, lecz nie wypowiadał się jasno w tych sprawach. Namawiał do wstąpienia do Zakonu kawalerów maltańskich. Lecz zamiłowanie do podróży zbyt silnie było zakorzenione, uchylałem się od tych propozycji.

Na Malcie straciłem mego najlepszego przyjaciela,

uczonego Altotasa. Zmarł on, a przed śmiercią polecał żyć w bojaźni Bożej i miłości bliźnich.

Po jego zgonie pobyt na Malcie stał się dla mnie zbyt smutny. Pewien kawaler nazwiskiem Aquino zaproponował wspólną podróż, której miał ponieść koszty. Zwiedziliśmy Sycylię, wyspy Archipelagu, przybyliśmy do Neapolu, ojczyzny Aquina. Tam rozstałem się z towarzyszem i zaopatrzony w list kredytowany do bankiera Bellone, udałem się do Rzymu, zdecydowany zachować jaknajściślejsze incognito.

Dnia pewnego siedziałem zatopiony w księgach, gdy służący mój oznajmił, iż przybył sekretarz kardynała Orsiniego i pragnie mnie widzieć. Kardynał za jego pośrednictwem, wzywał mnie do siebie. Zostałem przyjęty przez Eminencję jaknajserdeczniej i w jego pałacu poznałem wszystkie najwybitniejsze osobistości stolicy papieskiej. Wspomnę o kardynale Ganganelli, późniejszym papieżu, Klemensie XIV, jak również o tym, iż byłem przyjęty na specjalnej audiencji przez Ojca Świętego, papieża ówczesnego Rezonico. W 1770 r. miałem 22 lata. W tym czasie poznałem dziewicę Lorenzę Feliciani, (Seraphina Felichiani) należącą do szlachetnej rodziny. Była dzieckiem niemal, lecz pożar namiętności ogarnął nasze serca...i staliśmy się małżeństwem.

Nie będę opisywał dalszych wędrówek... wszędzie, uleczałem chorych, wspomagałem biednych..."

Tak przedstawił swą biografię Cagliostro, gdy osadzo go w więzieniu w Bastylii. Mimo wielu niedomówień i lakonizmu wynikałoby, że ojcem jego był jeden z wielkich mistrzów Zakonu Maltańskiego, zaś matką siostra szejka Mekki. Wielu było skłonnych wierzyć tym opowieściom. Kategorycznie zaprzecza im dopiero dochodzenie, przeprowadzone przez rzymską inkwizycję, które zgoła co innego powiada.

Później zobaczymy jak te dwie wersje postarał się pogodzić współczesny autor francuski w swym „Mistrzu nieznanym".

Dane inkwyzycji głoszą:

„W Palermo kupcowi i dobremu katolikowi Piotrowi Balsamo i prawnej małżonki Felicji Braconieri, urodził się 8 czerwca 1743 r. syn, który otrzymał imię Józefa. Chłopiec od wczesnej młodości wykazywał zamiłowanie do nauk i dlatego oddany został do seminarium Św. Rocha w Palermo. Był niezwykle zdolny, lecz obdarzony krnąbrnym, niesubordynowanym, niespokojnym charakterem. Parokrotnie uciekał z uczelni. Ze względu na ten charakter powierzono go specjalnej opiece ojca — generała zakonu Bonfrateli („Dobrych braci"), który go zabrał do klasztoru w Cartagirone, pragnąc uczynić zeń duchownego.

W klasztorze chłopiec, podówczas 13-letni, został przydzielony do pomocy miejscowemu aptekarzowi, który go bardzo polubił i zaczął starannie uczyć chemii i medycyny. Młody Balsamo był więcej niż pojętnym uczniem, lecz od samego zarania, usiłował zdobyte wiadomości wykorzystać dla szarlatanerii i bałamucenia innych. Prócz tego stał się nieznośny swymi figlami. Gdy razu pewnego polecono mu na głos odczytać wyjątki z świątobliwych żywotów, uczynił to zmieniając tekst swymi wymysłami, tak że cnotliwe uczynki przypisał hultajom i nierządnicom, a diabelskie postępki świątobliwym mężom. Zamierzano go za to ukarać przykładnie, lecz figlarz wymknął się niepostrzeżenie z klasztoru i uciekł do rodzinnego Palermo.

Tam, niby to począł się uczyć rysunków, malarstwa i fechtunku, lecz w gruncie, jak twierdzi inkwizycja, zajmował się sztukami prestidigitatorskimi i tumanieniem naiwnych. Jedna z jego sprawek stała się głośną.

W Palermo mieszkał zegarmistrz, niejaki Marano, człowiek wielce chciwy, nie gardzący lichwą, lecz jednocześnie zabobonny. Oddawna poszukiwał on kogoś, kto przy pomocy nauk tajemnych potrafiłby go szybko wzbogacić.

Józef Balsamo, mimo młodego wieku, miał wówczas 17 lat zdążył już był w rodzinnym mieście posiąść reputację człowieka niezwykłego. Otaczał się tajemniczością, a choć rodziców jego znano doskonale, twierdził, że jest tylko synem przybranym zaś w istocie pochodzi z wysokiego rodu. Wygląd zewnętrzny i maniery miał pańskie. Był przystojny. Zachowywał się z godnością, a nawet dumnie, mówił mało i lakonicznie a specjalny urok miały jego ogniste oczy. Twierdzono, iż może wywoływać duchy, rozmawiać ze światem niewidzialnym i czynić wiele spraw nadprzyrodzonych.

Taki człowiek staremu lichwiarzowi Marano, był potrzebny. Zgłasza się do niego i zapytuje, czy Balsamo nie dopomógłby mu do zdobycia bogactwa. Ten myśli chwilę poważnie, poczym odkłada odpowiedź do jutra. Gdy spotykają się dnia następnego prowadzi daleko za miasto i wskazując górę oświadcza: „Tam ukryte są skarby. Dla siebie zdobyć ich nie mogę. Taki jest warunek. Lecz mogę przy pomocy duchów dobrych dać je komuś innemu, choćby panu. Lecz trzeba spełnić wszystko, co rozkażę!"

— Co takiego? — pyta zaciekawiony do najwyższego stopnia skąpiec.

— Tego ja nawet nie mam prawa powiedzieć. Uklęknijmy!

Gdy uklękli i pozostali w milczeniu, nagle nad nimi rozległ się głos.

— Grota w skale zawiera niezmienione bogactwa. Szczęśliwy, kto je posiędzie. Młodzieniec może dopomóc starszemu mężczyźnie. Lecz należy przed wejściem do groty złożyć 60 uncji złota, jako odszkodowanie dla duchów złych...

Tu głos zmilkł. Balsamo powstał z klęczek.

— Sześćdziesiąt uncji złota! — zawołał Marano przerażony. — Ależ ja ich nie mam! Co czynić?

— Nic nie poradzę. Słyszał pan!

— Ale ja nie mam pieniędzy!

— Trudno... tu Balsamo spokojnie począł powracać w stronę miasta.

— Panie! panie — wołał za nim lichwiarz, w którym chciwość przemogła ostrożność i skąpstwo — teraz nie mam, ale jutro mogę przynieść!

— To dobrze — rzekł obojętnie Balsamo — niech pan będzie jutro o godzinie szóstej rano!

Jakie uczucia trawiły ich w nocy — nie wiadomo. Dość, że nazajutrz spotkali się punktualnie, Marano przyszedł nawet wcześniej o godzinę.

Obaj poszukiwacze skarbów znów klękają przed grotą i znów głos niewidzianly rozkazuje umieścić worek z pieniędzmi u wejścia. Balsamo szepcze jakieś zaklęcia, dotyka głowy chciwca trzykrotnie i mówi:

— Spełniłem moją powinność. Proszę iść odważnie. Ja nie mam tam wstępu. Zaczekam tutaj.

Siada najspokojniej na kamieniu. Marano niechętnie kładzie mieszek z uncjami na ziemi, wstępuje do podziemia i... trzykrotnie wraca szybko, by sprawdzić, czy czarodziej nie uciekł z pieniędzmi. Lecz ten siedzi nieruchomo, zatopiony w myślach. Wtedy lichwiarz wstępuje śmiało w głąb góry. Nie zdążył uczynić piętnastu kroków, gdy naraz z za węgła, wyskakuje czterech, przeraźliwych diabłów. Powalają go na ziemię i obdarzają solidną porcją kułaków. Wrzeszczy on słowo święte „adrail“, jak mu to przez czarodzieja rozkazanem było. Nic nie pomaga, a w tejże chwili rozbrzmiewa groźny głos, rozkazujący leżeć przez godzinę — a skarb odsłoniony zostanie. Diabły znikają. Marano leży nie godzinę a trzy, a gdy po tym czasie nic nadprzyrodzonego się nie objawia, wychodzi z groty... i oczywiście nie zastaje ani Balsama, ani pieniędzy: Pędzi do władz złożyć skargę, lecz w tym czasie cudotwórca zdążył się już ulotnić z miasta.

Za zdobyte w ten sposób pieniądze poczyna pędzić

żywot awanturniczy to jako hrabia de Harat, to hrabia Pheniks, lub don Fenice, markiz del Anna, markiz Pellegrini. Zichis, Belmonte, Melissa, a w końcu hrabia Cagliostro.

Marano miał szczęście raz jeszcze spotkać cudotwórcę, było to przy triumfalnym jego wjeździe do Strasburga. Lecz nie uprzedzajmy wypadków.

— — — — — — — — — — — —

Józef Balsamo z uncjami, zagrabionymi staremu skąpcowi, siada na statek płynący do Messyny. W mieście tym zamieszkiwała jego ciotka Wincentyna Cagliostro, sądził, że u niej znajdzie przystań bezpieczną. Lecz okazuje się, że zmarła przed niedawnym czasem, wobec czego awanturnik musi się zadowolnić jedynie jej nazwiskiem, które przybiera wzamian zbyt skompromitowanego własnego, dodając doń arystokratyczny tytuł.

Nowo kreowany hrabia pędzi czas w Messynie skromnie i bez rozgłosu. Dnia pewnego podczas codziennej przechadzki napotyka w porcie człowieka dziwnego i oryginalnego, który wywrze na jego życie wpływ decydujący. Jest nim Altotas, osobistość prawdziwa, a nie zmyślona, jak sądzą niektórzy historycy. Altotas żył i pojawiał się w różnych miejscowościach, lecz pobyty jego były tak tajemnicze i krótkotrwałe, że nawet inkwizycja nie mogła o nim zebrać dokładnych danych. Gdzie się urodził i gdzie umarł, pozostaje nieznane, lecz wiemy, iż był to człowiek wiedzy uniwersalnej, chemik, astrolog, fizyk, przyrodnik, lekarz i mag i że swą wiedzę na przykładzie stosował niejednokrotnie. Znajomość z Cagliostrem równie jest oryginalna. Po paru zamienionych frazesach Altotas mówi:

— Może pan mnie stale spotkać w takim, a takim

domu. A teraz radzę, co spieszniej biedź do swej oberży. Widzę, że właśnie w tej chwili, jakiś nicpoń dobiera się do pańskiego kuferka, gdzie zawarte są uncje...

Balsamo spoglądał zdumiony.

— Proszę się nie dziwić, tylko pospieszyć, bo za chwilę będzie zbyt późno!

Cagliostro pędzi, jak szalony i przybywa w sam czas, by pochwycić złodziejaszka, plądrującego w jego rzeczach, za kołnierz...

Po takim rozpoczęciu znajomości, Cagliostro staje się najoddańszym uczniem maga. Studiuje pod jego kierunkiem i zdobywa podstawy prawdziwej wiedzy. Są nierozłączni. Cagliostra dręczy myśl, kim jest jego mistrz w istocie. Stara się go wybadać, aż Altotas znudzony nagabywaniami tak dnia pewnego oświadcza.

— Nadejdzie dzień — mówi — że poznasz me życie. Dziś na to zbyt wcześnie. Jestem stary, bardzo stary, znacznie starszy, niżli sądzisz, lecz znane mi są tajemnice zachowania nietylko życia, lecz i zdrowia ciała. W ciągu całego żywota nie przestawałem pracować nad nauką. Obecnie znam dwanaście języków, umiem wyrabiać złoto i drogocenne kamienie. Znam wszystko, nic mnie nie raduje i nic nie smuci, prócz zła które czynią ludzie. Lecz zachowuję pogodę ducha. Istotnie nazywam się Altotas, choć to nazwisko wybrałem z tysiąca innych. Tyle mogę ci powiedzieć o sobie... o resztę nie pytaj, bo dowiesz się, gdy nadejdzie czas...

Wraz z Altotasem odbywa Cagliostro szereg podróży. Niezbicie jest stwierdzonym, iż bawi w Egipcie i zwiedza Aleksandrię. Zapewnie byli oni we wnętrzach piramid i zwiedzili świątynie w Luksorze, starając się zawiązać stosunki z kapłanami i wtajemniczonymi.

Z Egiptu jadą na wyspę Rhodos, stamtąd na Maltę gdzie zostają przedstawieni wielkiemu mistrzowi Pinto.

Widzimy, jak własny opis Cagliostra zgadza się z tymi szczegółami, choć oświetlenie jest zgoła inne.

Wielki Mistrz Pinto był wielkim zwolennikiem magii. Posiadał laboratoria chemiczne i święcie wierzył, że można znaleźć eliksir życia oraz kamień filozoficzny. Przyjmuje Altotasa z otwartymi ramionami, prosi by zamieszkali w jego pałacu i wspólnie z nim prowadzili hermetyczne doświadczenia. Bliższe szczegóły o tych pracach są nieznane. Dość, że bawią oni szereg miesięcy, a doświadczenia zostają nagle przerwane przez zniknięcie Altotasa.Co się z nim stało niewiadomo; wszystkie źródła zgodnie zaznaczają, że wielki alchemik i mag dnia pewnego przepadł w tajemniczy sposób. Złośliwi, jak zwykle, starali się skomentować w ten sposób, iż Pinto rozgniewany niefortunnymi próbami, sam zabił go w przystępie gniewu, zarzucając szarlatanerię. Jest to mało prawdopodobne, gdyż ten sam Pinto pożegnał bardzo czule Cagliostra i obdarzył znaczniejszą sumą przy rozstaniu. Wraz z kawalerem Aquino jedzie Balsamo do Neapolu. Tam dzięki stosunkom towarzysza, pochodzącego z wysoce arystokratycznego rodu, dostaje się do pierwszorzędnych towarzystw, gdzie, jako samozwańczy hrabia, dzięki posiadanym pieniądzom, występuje nader okazale.

Bawił wówczas w Neapolu pewien stary książę, również wielki miłośnik okultyzmu, który zaproponował Cagliostrze pobyt w jego zamku w Sycylii, celem wspólnych studiów. Warunki postawione przez magnata były tak świetne, że Caglistro, zapominając o ostrożności i sprawce z Marano, dał się skusić.

Lecz, zaraz na wstępie do swych miejsc rodzinnych, napotyka jednego z czterech diabłów, którzy tak pięknie zoperowali starego skąpca w grocie pod Palermo. Jest nim wypędzony z zakonu mnich. Proponuje on Cagliostrze otwarcie domu gry w Neapolu. Jakie były argumenty niewiadomo, dość że ten, skuszony obietnicami, porzuca sycylijskiego księcia-alchemika, a magnat rozstaje się z nim z wielkim żalem.

Zaledwie jednak towarzysze zdążyli się znaleźć na neapolitańskiej ziemi, zostają niespodziewanie aresztowani, pod zarzutem uprowadzenia kobiety. Oskarżenie było gołosłowne i nie poparte dowodami. To też po paru dniach zostają zwolnieni. Jednak Cagliostro, obawiając się niepochlebnych komentarzy, jedzie do Rzymu, gdzie jest kompletnie nieznany, pozbywając się w ten sposób towarzysza, który ze względu na różne sprawki nie miał ochoty zawierać bliższej znajomości z inkwizycją.

W Rzymie pędzi Cagliostro życie tak przykładne, iż wzbudza podziw tych wszystkich, co w owym czasie się z nim zetknęli. Baili de Breteuil, ówczesny poseł maltański przy stolicy apostolskiej, dowiedziawszy się o zażyłym stosunku Gagliostra z w. mistrzem Pinto, nie tylko sam podejmuje go serdecznie lecz wprowadza do szeregu najpierwszorzędniejszych domów.

Cagliostro w Rzymie poczyna uchodzić za maga cudownego. Przeprowadza zadziwiające kuracje, sprzedaje wprawdzie po cichu, lecznicze zioła, talizmany, nawet trunki miłosne. Dzięki temu zdobywa szereg zwolenników.

W tej epoce ma miejsce w jego życiu drugi fakt przełomowy. Razu pewnego, przechodząc koło sklepu, odlewni wyrobów bronzowych, widzi dziewczę niezwykłej urody. Jest nią Lorenza Feliciani lub Felichiani. Zakochuje się w niej od pierwszego wejrzenia a tak silnie, że nazajutrz się oświadcza. Wytworny hrabia, pozornie cieszący się znacznym majątkiem jest partią nie do pogardzenia dla dziewczęcia bez wykształcenia, niemal z ludu. Zostaje też nietylko przez pannę, lecz rodziców przyjęty z zachwytem, ślub odbywa się błyskawicznie i młody małżonek zamieszkuje w domu teściów.

Stary Feliciani, człowiek prosty, nie był bogaczem, lecz i nie był biedny. Mógł awanturnik pędzić teraz żywot dostatni i spokojny, nawet gdyby się wyrzekł swego

dość dwuznacznego handlu lekarstwami i ziołami. Wszyscy, którzy znali podówczas Lorenzę Feliciani (za chwilę podam fragment z pamiętników Casanovy) świadczą, iż było to dziewczę niezwykle skromne, uczciwe i przywiązane do męża.

Niespokojny jednak duch Cagliostra nie mieścił się w ramach jednostajnych uciech życia domowego i rodzinnego. Wkrótce poczyna żonie udzielać takich nauk, że robi się w rodzinie skandal. Uczy ją, że istotna cnota polega na tym, by spełniać wszystkie żądania męża, a wszelkie społeczne i religijne obowiązki są przesądami i należy je odrzucać, o ile chodzi o szczęście małżonka. Niewiara w takich wypadkach staje się zasługą, a jest przestępstwem — o ile pochodzi z miłości.

Lorenza z tymi naukami popisuje się przed rodzicami, a dalszy ciąg wyobrazić sobie można. Stary Feliciani nazywa zięcia rozpustnikiem, nicponiem ostatnim i przepędza z domu, żądając od córki, by zerwała z nim wszelki kontakt. Ta jednak kocha Cagliostra istotnie i idzie za nim. Odtąd rozpoczyna się tułaczka tej dziwnej pary.

— — — — — — — — — — — —

Początkowo małżeństwo mieszka w Rzymie w wynajętym domku. Towarzystwo u nich bywa dość dziwne. Najbliższe otoczenie stanowi niejaki Oktavio Nicastro, później za różne sprawki powieszony oraz marchese d'Agliata, który w chwilach wolnych od zajęć wielce kunsztownie podrabia podpisy i dokumenty. Pieniędzy jest początkowo wbród, lecz harmonia psuje się szybko. Nicastro, rozzłoszczony czymś na wspólników, denuncjuje towarzyszy przed papieską policją. Ale d'Agliata też ma stosunki. W porę ostrzeżony, przezornie ucieka

z Wiecznego Miasta, zabierając z sobą Cagliostrów, może nie tyle z poczucia solidarności, co pod wpływem pięknych oczu pani.

Uciekają do Wenecji, zatrzymuje się w Bergamo. Lecz policja papieska zdążyła rozesłać listy gończe i w Bergamo zostają zatrzymani. Wprawdzie tylko Cagliostro z żoną, gdyż d'Agliata zdążył się ukryć.

Że był on duszą wszystkich sprawek, wraz z nim znikają dowody. Uwięzionych zwalniają, z rozkazem natychmiastowego opuszczenia miasta, co jest równoznaczne katastrofie, gdyż markiz dla pewności zabrał szkatułkę, stanowiącą wspólną kasę.

W takim położeniu bez wyjścia, Cagliostro chwyta się myśli udania się z pielgrzymką do św. Jakuba z Kompostelli. Przebierają się w szaty pielgrzymów i pieszo wędrują przez Sardynię, Antyby do Barcelony w Hiszpanii, żyjąc z jałmużny.

W drodze powrotnej widział ich słynny Casanova w Aix i w ten sposób w swych pamiętnikach opisuje (t. VI, str. 338—342).

„Dnia pewnego wspomniano podczas obiadu o pielgrzymach mężczyźnie i kobiecie, którzy tylko co w oberży stanęli. Byli włochami, wracali pieszo z San Jago di Compostella i musieli należeć do ludzi wysokiego urodzenia, gdyż ofiarowali w mieście hojne jałmużny.

Opowiadano, że pielgrzymka jest czarująca, ma 18 lat i natychmiast po przybyciu, znużona, położyła się do łóżka. Wszyscy pragnęli ich poznać, ja, oczywiście, na czele. Mniemałem o wędrowcach. iż lubo są fanatycznie nabożni, lubo uprawiają szalbiercze sztuczki.

Złożyliśmy wizytę. Siedziała w głębokim fotelu, trzymając w ręku spory krucyfiks z żółtego metalu. Na nasz widok odłożyła krucyfiks i powstała, by zgiąć się w wytwornym ukłonie; pielgrzym, który w kącie na czarnym płaszczu porządkował jakieś muszle, nie poruszył się nawet, jakby dając do zrozumienia, iż mamy się

tylko jego żoną zajmować. Mógł mieć dwadzieścia cztery, albo dwadzieścia pięć lat. Był niskiego wzrostu, dobrze zbudowany a na jego twarzy można było odnaleźć ślady: śmiałości, arogancji, przenikliwości i szalbierstwa. Był rażącym przeciwieństwem swej żony, z natury szlachetnej, skromnej i łagodnej. Ponieważ oboje zaledwie władali francuskim, z ulgą odetchnęli, gdy przemówiłem po włosku.

Pątniczka oświadczyła, że pochodzi z Rzymu; poznać to było po jej wymowie. On był neapolitańczykiem, lub sycylijczykiem. Paszport opiewał na nazwisko Balsamo. Ona nosiła nazwę Serafiny Feliciani, którą od tej pory zachowałą stale. Jego za dziesięć lat spotkamy pod nazwiskiem Cagliostra.

Opowiedziała: „Powracamy do Rzymu z pielgrzymki do Santiago di Compostello oraz od naszej kochanej Madonny de Pilar. Całą drogę przebyliśmy pieszo i żyliśmy z jałmużny, aby Bóg zesłał nam swą łaskę. Stale prosiłam tylko o jednego sou, tymczasem zawsze rzucano srebrne nawet złote pieniądze, że musieliśmy nadmiar w każdym mieście między biednych rozdawać.

Mąż mój jest silny i nie wiele cierpiał, ja jednak wiele cierpiałam, idąc tyle czasu na piechotę, sypiając na słomie, lub złych łóżkach, stale ubrana, by nie zapaść na jaką chorobę, której się wyzbyć trudno". To mówiąc oglądała obnażone ramiona.

Uważałem, za wielce prawdopodobne, iż czyniła tak by nas zachęcić do podziwiania czystości jej ciała w innych jeszcze miejscach niż na ramionach i rękach, które za darmo wystawiała na pokaz.

— Jak długo zamierza tu zabawić, Madame?

— Sądzę, że zmęczenie zmusi do spędzenia tu trzech dni, potem przez Turyn idziemy do Rzymu...

Pożegnaliśmy nader zadowoleni piękną pątniczkę, w której świętobliwość mało wierzyliśmy. Osobiście zbyt osłabiony byłem po niedawnej chorobie, aby mieć

jakie zamiary, reszta jednak panów, co wraz ze mną wizytę złożyli, tylko marzyli, by z nią spożyć kolację i ją zdobyć.

Następnego dnia przyszedł do mnie mąż pięknej rzymianki i zapytał, czy wolę zejść do nich na śniadanie, czy też oni mogą przyjść do mnie. Ponieważ nie mogłem, bez niegrzeczności, odpowiedzieć: ani jedno, ani drugie poprosiłem, by zaszczycili mnie swą obecnością.

Podczas jedzenia zapytałem pątnika o zawód. Odparł, że jest rytownikiem.

Sztuka jego polegała na kopiowaniu miedziorytów, nie zaś tworzeniu nowych sztychów. Zapewniał, że kopia od oryginału jest nie do odróżnienia.

— Szczerze winszuję — powiedziałem — z takim talentem można być spokojnym o kawałek chleba, gdziekolwiek się znajdzie.

— Zewsząd to pawtarzają, lecz niestety tak nie jest. Najwyżej można z głodu nie umrzeć. W Rzymie lub Neapolu zarabiam pół franka dziennie, za to żyć trudno.

Pokazał mi wachlarze, przyozdobione piórkowymi rysunkami. Nic piękniejszego nie można było sobie wyobrazić i były w istocie lepsze od wielu pierwszorzędnych sztychów.

Aby mnie całkowicie przekonać, przyniósł kopię Rubensa, która niemal piękniejszą była od oryginału. Mimo wszystko zaklinał się, że jego talent nie daje środków utrzymania. Niezbyt wierzyłem zapewnieniom, uważając go za jednego z tych próżniaków, co wolą włóczyć się po świecie, niżli wieść pracowite życie.

Zaproponowałem za jeden z wachlarzy ludwika. Oświadczył, iż może dać tylko w prezencie, prosząc, bym jednocześnie przy stole, zainicjował dla nich składkę, gdyż pragnie na trzeci dzień wyruszyć.

Przyjąłem podarek i obiecałem zająć się składką.

Zebrałem paręset franków, które otrzymała pątniczka, gdy siedzieliśmy jeszcze przy obiedzie.

Młoda kobieta wyglądała niezwykle cnotliwie. Kiedy ją poproszono o jej podpis, oświadczyła, iż jest niepiśmienna. Tłumaczyła, że dziewczęta, chowane na dobre żony w Rzymie, nie są uczone sztuki pisania.

Wszyscy zaśmieli się z tego wyjaśnienia, prócz mnie. Czułem dla niej litość i niechętnie widziałem ją poniżoną. Stało się dla mnie jednak jasne, że musiała należeć do najniższej klasy ludu.

Następnego dnia odwiedziła mnie w mym pokoju pątniczka, prosząc o list polecający do Avignonu. Napisałem natychmiast dwa: jeden do bankiera Audifret'a, drugi do właściciela oberży pod „Świętym Homerem". Wieczorem odniosła list adresowany na imię Audifret'a, nadmieniając, iż mąż uznał go za zbędny. Jednocześnie dodała, bym dobrze sprawdził czy to ten sam list, który jej dałem w południe; odparłem twierdząco.

Na to zawołała ze śmiechem „Myli się pan, wszak to odpis!"

— Niemożebne!

Zawołała męża, który nadszedł trzymając mój prawdziwy list w ręku. Ponieważ nie mogłem dalej wątpić, odezwałem się:

— Pański talent jest niezwykły... lecz... lecz... źle zastosowany, łatwo może przyprawić o utratę życia!

Następnego dnia odjechała para. Spotkałem go w dziesięć lat później pod nazwiskiem hrabiego Pellegrini, towarzyszyła mu nieodstępnie żona, dobra Serafina.

W chwili, gdy to piszę, znajduje się on w więzieniu, którego zapewne nie opuści, ona w klasztorze i może, tam jest szczęśliwa".

Tyle Casanova.

Mimo zapowiedzi, pątnicza para nie udała się do Rzymu. Cagliostro zapoznaje się z jakąś angielką, studiuje ten język i wpada na myśl udania się do Londynu.

W stolicy Anglii małżonkowie nawiązują stosunki

z paru kwakrami i Włochem, niejakim Weroną. Jeden z kwakrów zakochuje się w Lorenzie. Cagliostro, po naradzie z Weroną, poleca żonie wyznaczyć spotkanie Gdy nieco podstarzały purytanin zdjął już szaty, wpada wraz z rodakiem do pokoju i wszczyna awanturę. Cała sprawa została pono zatuszowaną za sto funtów, którymi mąż uczciwie podzielił się z Weroną.

Mimo podobnych sprawek, w Londynie awanturniczej parze tak źle się powodzi, iż zostają wyrzuceni z mieszkania i rychło znów widzimy ich na kontynencie. W Duwrze zawierają znajomość z bogatym Francuzem, panem Duplaisire; jest nimi, raczej panią, tak zachwycony, że proponuje na swój koszt podróż do Paryża. Wedle własnych słów Balsamo, podróż ta odbywała się w następujący sposób. Kupiec wraz z Lorenzą jechał wewnątrz w karecie, Cagliostro podążał za nimi konno. W Paryżu Francuz przez parę miesięcy utrzymuje małżonków. W końcu, znudzony naciąganiami męża, proponuje pani, by go porzuciła, a zabezpieczy ją całkowicie. Lorenza ucieka i zamieszkuje oddzielnie. Wtedy Cagliostro składa skargę i niewierną osadzają w klasztorze Św. Pelagii.

Po paru miesiącach zgoda następuje. W czasach późniejszych, gdy Cagliostro w całym blasku swej chwały, był pierwszą osobą w Paryżu, zaprzeczał kategorycznie aby pomieniony incydent odnosił się do jego osoby. Twierdził, że zachodzi podobieństwo nazwisk i że nie ma nic wspólnego z awanturnikiem, którego żona osadzoną została w klasztorze, wszak najlepszym dowodem, że żona jego ma na imię Serafina a nie Lorenza.

Lecz w aktach sądowych odnaleziono dokumenty, niezaprzeczone i stwierdzające tożsamość Serafiny z Lorenzą Feliciani oraz jej męża hr. Cagliostro. Dokumenty te były wydrukowane w broszurze „Korespondencja hr. Cagliostro". Między innymi znajduje się tam zeznanie Duplaisire'a, że przez przeciąg trzech miesięcy pła-

cił za wszystkie wydatki pary i że zostali winni za różne towary pobrane na kredyt około 220 ludw. fryzjerowi, mistrzowi tańców Lioné etc. Na bal wydany przez tegoż pojawił się Balsamo ubrany nader bogato, w kosztownych szatach, wycyganionych od różnych kupców.

Po wyjeździe z Paryża mażonkowie jadą do Włoch. Cagliostro miał odwagę nawet zjawić się w Palermo, za co o mało drogo nie zapłacił, gdyż Marano, powiadomiony o pobycie natychmiast złożył najpoddańszą prośbę, aby go powiesić. Zdążył jednak mag uciec i oparł się aż w Neapolu, gdzie począł udzielać wykładów kabalistyki, zyskując szereg uczni.

Bawią jednak niedługo i wkrótce widzimy ich w Marsylii. Poznaje tam Cagliostro pewną starszą damę, która zakochuje się w nim i obsypuje podarunkami. Pani ta ma przyjaciela, niezwykle bogatego księcia, rozmiłowanego w alchemii. Cagliostro zaprzyjaźnia się z nim i rozpoczynają wspólne doświadczenia. Dzięki temu Balsamo od razu porasta w pierze, a cała trójka jest ze siebie wysoce zadowolona.

Lecz Cagliostro wyznaczył dzień na wykonanie „dzieła". Jak wybrnąć? Oświadcza księciu, iż musi wyjechać na dni parę, by zakupić niezbędne zioła, przyjaciółce, iż teść jest umierający i do niego śpieszy. Dają mu znaczną sumę pieniężną na drogę, nawet obdarzają wygodną karocą.

Oczywiście karoca zostaje sprzedana na najbliższym postoju a za w ten sposób zdobyte pieniądze małżonkowie zwiedzają Hiszpanię, mianowicie Walencję, Alicante i Kadyks. W Kadyksie Cagliostro nabiera na tysiąc talarów jakiegoś szanownego zwolennika alchemii... wsiada na statek i powtórnie znajduje się w Londynie.

Drugi pobyt w Londynie jest przełomowy. Cagliostro przeradza się jakby na zupełnie innego człowieka. To zapewne dało asumpt Mare Havenowi, autorowi „Maitre inconnu" do twierdzenia, że istniało dwóch różnych

Cagliostrów. Stara się on wmówić w swej książce, że Cagliostro i Balsamo stanowili dwie różne osoby i że Cagliostro ponosił później odpowiedzialność za czyny niepopełnione, czyli szalbierstwa Balsama. Niestety, zbijają to całkowicie dane historyczne.

Ale powróćmy do tematu. Tedy Cagliostro ze zwykłego szarlatana i awanturnika zmienia się na dziwnego człowieka, o którym mówić pocznie cały świat. Opowiada wyłącznie o swych podróżach na Wschód do Mekki, Egiptu. Staje się naogół małomówny, a na liczne zapytania, czasem ogranicza się li tylko do naszkicowania swej cyfry: węża, dzierżącego w paszczy jabłko, przeszyte strzałą —obowiązek mędrca zachować w tajemnicy posiadane sekreta.

Zmiana ta następuje z chwilą przyjęcia go do masonerii. Masoneria w połowie XVIII wieku stała się potęgą. W jaki sposób dostał się tam Cagliostro bliżej nie jest wiadome, lecz musieli bracia zwrócić uwagę na jego niezwykłe zdolności i wcignęli do lóż. Cagliostro skoro tylko znalazł się w związku tajemnym wnet zamyśla o odegraniu pierwszorzędnej roli i przeprowadzeniu zmian t. j. założeniu t. zw. masonerii egipskiej.

W jednej z broszur, wydanej w r. 1788 w Strasburgu czytamy. „Inicjowany w tajemnice wolnomularstwa, Cagliostro gorliwie odwiedzał loże w Londynie, przez cały czas swego pobytu. Na krótki czas przed odjazdem ze stolicy Anglii udało mu się zakupić u jakiegoś antykwariusza rękopis niejakiego George‘a Cofston‘a. Był to traktat o masonerii egipskiej, lecz pisany wysoce tajemniczo i niezrozumiale. Rękopis ten przerobił Cagliostro i na jego zasadzie stworzył nowy rytuał „rite maçonique“, ritus latomorum“, usunąwszy poprzednio wszystko wybitnie sprzeczne z religią i rażące. W ten sposób

stworzył związek, który rozpowszechnił się po całym świecie i wiele swemu założycielowi dopomógł do osiągnięcia szczytu sławy".

Bardzo trudno określić ile jest prawdy w tym twierdzeniu i czy nie jest to zwykła plotka. Lecz od tej chwili Cagliostro poczyna występować w charakterze cudotwórcy. Nietylko ogłasza, iż posiada tajemnicę przedłużenia życia ludzkiego za pomocą kamienia filozoficznego, ale leczy wszystkich, którzy doń się zwracają.

Wszystkie te szczegóły odnajdziemy w broszurze jednego z sędziów inkwizycji, zatytułowanej: „**Vie de Joseph Balsamo, connu sous le nom de Cagliostro, extraite de la procedure instruite contre lui á Rome en 1790, traduite d'apers l'original italien, imprimée á la chambre Apostoliene; anrichié de notes curieuses et ornée de son portrait**".

Autor tej książki twierdzi, że głównym źródłem bogactwa Cagliostra oraz sum przez niego rozrzucanych, były hojne subsydia masońskich lóż. Jest to wysoce możliwe. Cagliostro, w drugiej połowie swego życia, występował wszędzie z wielkim przepychem, otoczony liczną switą. Każda z liberii jego służących kosztowała 20 luidorów. Masoni uważali go za świetnego agitatora i nie skąpili na propagandę.

Wraz z mężem zmienia się całkowicie Lorenza. Nabiera manier wielkoświatowych, stale zwie się Serafiną i wciąż wysuwa swe arystokratyczne pochodzenie.

Z Londynu, przez Holsztynię Cagliostro jedzie do Kurlandii, gdzie zakłada parę loż egipskiej masonerii. Tam już rozpoczyna się ta jego sława maga, którą od tej chwili cieszyć będzie. Lorenza swą pięknością szerzyła niebywałe spustoszenie śród tamtejszej arystokracji, to też kosztowności i drogie prezenty sypały się do jej stóp. Cagliostro sprawił takie wrażenie, że jeśli wierzyć słowom inkwizycji, miejscowa szlachta zupełnie poważnie zamierzała wysunąć jego kandydaturę na

kurlandzki tron. W Mitawie wiele opowiadano o cudach maga. Miał przepowiedzieć illuminatowi Siffart'owi, iż ten się zastrzeli co się sprawdziło. Przeważnie popisywał się w lożach wolnomurarskich.

Dnia pewnego sprowadził małego chłopca, syna jednego z szlachty. Postawił go przed stołem, na którym stała karafka z wodą, za nią zaś parę zapalonych świec. Zrazu rozpoczął zaklęcia, trzymając rękę na głowie chłopca. Potem rozkazał patrzyć w wodę. Zaledwie dziecko polecenie wykonało, krzyknęło z radości i poczęło opowiadać, iż widzi piękny ogród a w nim aniołów. Efektowne to doświadczenie nie dawało jednak bezpośredniego sprawdzianu, to też ojciec chłopczyka poprosił cudotwórcę, czy nie może dziecko ściśle dojrzeć, co robi jego starsza córka, zamieszkała w majątku pod Mitawą. Po nowych zaklęciach, chłopiec oświadcza, iż widzi siostrę, schodzącą ze schodów i obejmującą starszego brata. Wylało się to obecnym niemożebnym, gdyż większość wiedziała, że starszy syn bawi daleko, poza granicami kraju. Cagliostro jednak ostrą uczynił uwagę, że najprzód należy sprawdzić a później krytykować. Posłano umyślnego i... okazało się, że najstarszy syn barona istotnie przybył przed paru godzinami niespodzianie i że siostra witała go na schodach. Nie dziwmy się, — po podobnym eksperymencie cała Mitawa grzmiała sławą maga...

W „Gazette de Santé" z tej epoki możemy czytać. „Powiadają, iż hr. Cagliostro posiada wszystkie cudowne tajemnice wielkiego adepta i że odkrył sekret sporządzenia eliksiru życia. Cała jego postać nosi znamię nietylko rozumu, lecz geniuszu. Mówi wszystkimi niemal europejskimi i wschodnimi językami, niezwykle porywająco. Przeważnie stale nosi wschodni strój, sypia nie na łóżku, a w fotelu i nie używa innego jadła, prócz małej porcji makaronu, raz na dzień. Przyniósł on do nas nieznaną medycynę Indian i Egipcjan i nie stojąc w żad-

nym związku z lekarzami, kuruje darmo każdego, kto doń przybywa." Tak pisały poważne pisma.

Z Mitawy Cagliostro udaje się do Petersburga, gdzie szybko dostaje się do kół dworskich. Specjalnie opiekuje się nim Potemkin, a mag w dalszym ciągu czyni cuda.

Najgłośniejszym z nich jest uleczenie synka ks. Gagarina. Dnia pewnego zostaje zawezwany do pałacu magnata rosyjskiego, którego synek leży w agonii, a lekarze zrzekli się już dalszych zabiegów, uważając je za bezowocne. Cagliostro przybywa i zaznacza, iż podejmuje się sprawy niechętnie, nie lubiąc robić konkurencji zawodowym lekarzom, lecz gdy ci oświadczają, że o konkurencji mowy być nie może, bo wszelka nadzieja stracona — powiada, że podejmie próbę kuracji, wskrzeszenia raczej dziecka, lecz pod warunkiem, że zabierze go do siebie, do domu i że nikomu, nawet ojcu, nie będzie wolno widzieć go przez trzy dni. Zrozpaczony książę zgadza się na wszystko.

Na pół umarłe dziecko zabiera Cagliostro — i istotnie — po upływie trzech dni zwraca rodzicom — jak najzdrowsze!

Książę ubóstwia cudotwórcę, cały Petersburg pędzi, by złożyć mu hołd — Cagliostro jest pierwszą osobą — niestety na czas krótki — gdyż rozchodzi się wieść, iż dzieciak został zamieniony. Aczkolwiek nic nie zdołano udowodnić magowi, jednak caryca Katarzyna II uważała za wskazane udzielić czarodziejowi rady, aby jak najszybciej opuścił Petersburg i Rosję. Z niewdzięcznej nadnewskiej stolicy przybywa Cagliostro do Warszawy. Tu rychło zawarł znajomość z ks. podkomorzym Kazimierzem Poniatowskim, bratem króla, wielkim zwolennikiem nauk taejmnych, kabały, magii i alchemii. Ks. podkomorzy tak zachwycił się się naszym magiem, iż ten zamiesz-

kał nawet w jego pałacu. Złośliwy twierdzą, że główną rolę tu odegrały piękne oczy Lorenzy, która niedwuznacznie uwodziła ks. podkomorzego, czułego na wdzięki niewieście.

Początkowo Cagliostro cieszył się w Warszawie wielką sławą i założył swą lożę egipskiej masonerii. Ale, gdy naciągnął zbyt wielu na rzekome alchemiczne wyrabianie złota, a ks. Kazimierzowi Poniatowskiemu nie mógł przydzielić „przybocznego czarcika“, o co ten nastawał, grunt począł mu się palić pod nogami.. Szczególniej, że wszyscy zaczęli przbąkiwać o oszustwie.

Uciekł więc w nocy po cichu z Woli, gdzie miał swe laboratorium alchemiczne, a Lorenza w kilka dni później z bogatym łupem w postaci klejnotów i pieniędzy, podążyła w ślad za nim.

Przygody maga w Warszawie opisał Moszyński w swej broszurze p. t. „Cagliostro, zdemaskowany w Warszawie“ (1786 r.).

Porzuciwszy niegościnną Polskę, aczkolwiek z nabitym trzosem kieruje się w 1780 r. Cagliostro przez Niemcy do Francji. Dziwne przeczucie kazało mu wierzyć, iż tam osiągnie zenit swej sławy. Nie jedzie bezpośrednio do Paryża. By tym większy wywołać efekt, zatrzymuje się w Strasburgu, a samo przybycie do tego miasta urządza z teatralnym przepychem.

Przytoczę opis:

Przybycie cudotwórcy oznajmione było na szereg dni z góry. Wszyscy pragnęli ujrzyć tego, o którym krążyło tyle dziwnych opowieści.

Orszak Wielkiego Kopty, czyli Wielkiego mistrza egipskiej masonerii, był wielce wspaniały. Sam hrabia zajmował miejsce w kosztownym otwartym powozie, obok zasiadła, obsypana brylantami Lorenza, obecnie Serafina. Za powozem kroczył orszak liczny, krzykliwie, a bogato przybrany.

Fakt jeden o mało nie zmącił uroczystości. Nagle pewien starzec o semickim typie, uważnie dotychczas

wpatrujący się w twarz hrabiego, zaryczał nieswoim głosem.

— Mam cię łajdaku! Mam! Oddawaj moje sześćdziesiąt uncji! Po czym, zwrócił się do tłumu — „Słuchajcie, to nie żaden hrabia Cagliostro to Józef Balsamo, oszust, który wyciągnął mi sześćdziesiąt uncji w Palermo.

Scena poczynała przybierać obrót niebezpieczny. Słychać było pomruki. Lecz sam bohater nie stracił na chwilę zimnej krwi. Siedział, jakby te słowa nie do niego były skierowane. I słusznie. Bo zamiast niego, głos niewidzialny zagrzmiał z niebios.

—Zabierzcie szaleńca, ogarniętego przez złego ducha!

Wielu padło na kolana, wołając, iż stał się cud. Policja pochwyciła nieszczęsnego starca, sądząc, że istotnie ma z szaleńcem do czynienia a sam triumfalny wjazd zakończył się przez przeszkód, uczyniwszy tym silniejsze wrażenie. Starcem był oczywiście nasz stary przyjaciel Marano, który ujrzawszy ex Balsama nie mógł powstrzymać swych uczuć.

Lecz Cagliostro czuł, że aby podbić wszystkich, należy uczynić jeszcze coś niezwykłego.

Pochód zatrzymuje się przed wielką salą, w której zebrani byli liczni chorzy z różnych części miasta. Wprawdzie agenci, którzy ich sprowadzili, dostarczyli tylko lżej chorych, cięższi otrzymywali pieniężne wsparcie i winni byli w domu oczekiwać przybycia lekarza cudotwórcy. Współcześni świadczą, iż wszyscy chorzy, zebrani w sali, zostali uleczeni przez maga: jedni wprost przy pomocy dotknięcia, inni lekarstwem uniwersalnym Cagliostra. Złośliwi twierdzili, że wielu było takich, którzy oznajmili o swym wyzdrowieniu, dzięki tajemnie wręczonym pieniądzom... Sic!... Jak tam było — mniejsza, ale Cagliostro uleczył wszystkich i wyszedł z sali śród gromkich okrzyków wdzięczności zebranych. Cały tłum towarzyszył mu w drodze do wynajętego domu.

Wieczorem tegoż dnia urządził ucztę dla szeregu zaproszonych dostojnych gości, a podczas tej uczty popisywał się eksperymentami z dziedziny jasnowidzenia, znów przy pomocy dzieci.

W ogóle zauważyć należy, że najchętniej operował Cagliostro przy ich pomocy, zwąc dzieci „gołąbkami prawdy".

Rola owych gołąbków polegała na tym, iż były one, jak już wspomniałem, rodzajem medium maga, który przy ich pomocy udzielał przepowiedni na przyszłość oraz dawał odpowiedzi na najbardziej skomplikowane zapytania. Podczas podobnych ceremonji występował Cagliostro w stroju, jakby kapłańskim. Przywdziewał białą szatę, tkaną złotem i ściągniętą złotym pasem. Na głowie nosił złotą, wysadzaną ciemnymi kamieniami opaskę, kształtu korony, czy tiary. Taż sama scena nastąpiła podczas kolacji w Strasburgu, a że dzieci dawały bez wyjątku trafne odpowiedzi na postawione pytania, zbytecznym jest pisać, jaki powstał entuzjazm.

Przez cały czas pobytu w Strasburgu, był Cagliostro otoczony niezwykłym podziwem i szacunkiem najwyższego towarzystwa. Duchowni, szlachta, dygnitarze prześcigali się w pogoni o jego względy. Miał uleczyć około piętnastu tysięcy osób, a nawet najzawziętsi wrogowie przyznawali, iż w tym okresie, w jego praktyce, naliczono zaledwie trzy śmiertelne wypadki. Nietylko leczył za darmo, lecz również obdzielał chorych bezpłatnie lekarstwami, a niejednokrotnie wspomagał pieniężnie.

Żył niezwykle wystawnie, rozrzucając niemal pieniądze, płacąc za wszystko natychmiast. Niejednokrotnie zachodzono w głowę jakie było źródło materialne, skąd tak obficie czerpał Cagliostro — i jedynem wytłumaczeniem byłyby fundusze dostarczane przez loże masońskie na szeroką, a skuteczną propagandę.

Sława Cagliostra zataczała tak wielkie kręgi, że do Strasburga zjeżdżano się, by móc podziwiać maga. Mię-

dzy innymi odwiedził go słynny fizjonomista Lavater, lecz czarodziej przyjął gościa więcej niż ozięble.

— Jeśli pan posiada więcej wiadomości — powiedział doń — ode mnie, to nie jestem panu potrzebny. Jeśli zaś ja posiadam więcej wiedzy — wtedy pan mi jest zbyteczny.

Lavater, który umyślnie przybył z Zurichu do Strasburga jedynie dla Cagliostra, był zdumiony powitaniem, ale nazajutrz wystosował list z zapytaniem, na czym polega jego wiedza.

Na to otrzymał lakoniczną odpowiedź:

„In verbis, in herbis, in lapidibus" („W słowach, trawach i kamieniach").

Słynny fizjonomista i wielki zwolennik cudowności, pastor Lavater, zasługiwał bezwzględnie na lepsze przyjęcie i gdyby Cagliostro potraktował go inaczej, zdobyłby sobie dozgonnego przyjaciela Lecz zdaje się mag obawiał się nieco przenikliwości twórcy fizjonomistyki.

Z innych wybitnych osobistości zaprzyjaźnił się w Strasburgu Cagliostro z późniejszym kardynałem de Rohan, który tak wybitną rolę odegrał w historii „naszyjnika królowej". Kardynał był podówczas arcybiskupem Strasburga, cierpiał na duszności i leczył się u cudotwórcy, a w czasie kuracji zadzierzgnął się ich przyjacielski stosunek. Lecz o tym później.

Tak pędził sławny żywot Wielki Kofta, aczkolwiek od czasu do czasu spotykały go przykrości. Sam wspomina o nich głucho i zapewnie polegały one na rewelacjach Marano i innych wrogów, wyciągających fakty z przeszłości.

W połowie 1783 r. opuszcza Cagliostro Strasburg i po krótkim pobycie we Włoszech, przez Bordeaux, udaje się do Francji. W Bordeaux został wyzwany przez ojca Hervieux na ciekawy pojedynek zmierzenia z nim siły magnetycznej, z którego oczywiście wyszedł zwycięsko, a miejscowe Towarzystwo Magnetyczne uczyniło swe-

mu członkowi surową wymówkę, iż śmiał on mierzyć się z Cagliostrem. Z Bordeaux jedzie do Lionu, tam bawi 11 miesięcy, a 30 stycznia 1785 r. staje w Paryżu.

W Paryżu Cagliostro wynajmuje oddzielny dom przy ulicy Saint Cloud i wydawałoby się ma zamiar żyć spokojnie. Zaprzestaje nawet leczenia, a to ze względu, iż na kuracje magnetyczne rzucili się wszyscy. Zagłębia się za to w magię i specjalnie pracuje nad e w o k a c j a m i.

Wrażenie z tych seansów jest takie, iż poczynają go nazywać d i v o C a g l i o s t r o, boski Cagliostro, i cała arystokracja stara się pozyskać jego względy. Pałacyk maga, tego samego który przedtem jako drobny szalbierz tułał się po Paryżu, jest teraz oblężony.

Słynnym i po dziś dzień pozostał opis kolacji, urządzonej przez niego, do której przy pełnym świetle zasiąść miało 6 żywych i 6 zmarłych osób.

W „Memoiress authenttiques pour servir a l'historie de Cagliostro" czytamy:

„O północy zebrali się zaproszeni. Sześciu magnatów francuskich zasiadło do stołu wspólnie z Cagliostrem. Służby nie było. Każdy z gości napisał na karteczce imię zmarłego, z którym pragnął rozmawiać. Cagliostro włożył kartki do kieszeni i oświadczył, że na jego rozkaz zmarli się zjawiają. Stawić się mieli ni mniej ni więcej: Voltaire, d'Alemhert, ks. Choisenil, Diderot, ksiądz Voisin i Montesquieu. Te sześć imion powoli i dobitnie wymówił czarodziej. Nastąpił moment przerażającej ciszy. Światło przyciemniło się na chwilę — a gdy rozwidniło się na sześciu niezajętych miejscach siedziało sześciu wyżej wymienionych zmarłych. Rozpoczęła się rozmowa.

— Tamtego świata wcale nie ma — mówili umarli. — Śmierć nie jest niczym innym, jak zakończeniem naszych cielesnych cierpień. Po drugiej stronie bytu nie ma żadnych rozkoszy, lecz nie ma i przykrości.

Tak mniej więcej przemawiali zmarli.

Fakt ten opisany we wszystkich paryskich pismach,

wywołał sensację. Stawiły się duchy, w obecności sześciu przytomnych osób — widziano je przy pełnym świetle — rozmawiano z nimi. I my nie wiedzielibyśmy, co sądzić o tym, gdyby późniejsze badania nie dały klucza do rozwiązania zagadki. Zmarli nie byli przebranymi żywymi ludźmi, jakby w pierwszej chwili przypuszczenie się nasuwało — w tym wypadku rzecz się miała inaczej. Nazwiska żywych uczestników trzymane były w jaknajwiększej tajemnicy i niemożebnym było sprawdzić, kto był na seansie w istocie, gdyż osoby, które o to zapytywano, potwierdzały fakt, celem osobistej reklamy i przez snobizm. Z tego względu, w następstwie ustalono, iż wyżej opisany fakt był zapewnie humbugiem, lub dobrze płatną dziennikarską reklamą.

— — — — — — — — — —

Zajmując się gwoli rozgłosu eksperymentami z dziedziny magii, nie pomijał Cagliostro najważniejszego swego zadania — propagandy wolnomularstwa.

Już przedtym gdziekolwiek przebywał, zakładał loże. W Paryżu umyślił stworzyć lożę centralną, główną, którąby kierowała pozostałymi. Wciąż oznajmiał, że przywiózł ze Wschodu tajemnice Izydy i Anubisa i że na ich zasadzie pragnie reformować istniejącą masonerię. A zainteresowanie bractwami tajnymi było tak wielkie, że sam Paryż owego czasu liczył do 72 lóż, rozmaitych rytuałów. Wkrótce też zdobył szereg zwolenników wśród mężczyzn, a wtedy panie zazdrosne uprosiły żonę jego, obecnie Serafinę, by zorganizowała specjalną lożę kobiecą, gdzie byłaby wykładana magia.

Serafina Feliciani zgodziła się na to, lecz pod warunkiem, iż ilość członków nie będzie przekraczała 36

osób i że wpis od każdego wyniesie 100 luidorów. Zaciekawienie było tak wielkie, że skoro stało się to wiadome napływ chętnych przekraczał dwukrotnie liczbę 36.

W ten sposób stała się Lorenza wielką mistrzynią masonerii kobiecej. Od swych uczenic żądała bezwzględnego posłuszeństwa oraz powstrzymania się od wszelkich stosunków cielesnych przez czas trwania nauki.

Wynajęto oddzielny dom przy ulicy Verbe, Faubourg, Saint Honoré, samo zaś otwarcie odbyło się w następujący sposób:

Przy wejściu każda z pań musiała się przebrać. Przywdziewała długą białą szatę z kolorową szarfą. 36 dam podzielono na 6 grup wedle koloru szarfy: 6 czarnych, 6 niebieskich, 6 różowych, następnie — fioletowe, pąsowe, a u ostatnich 6 — koloru zwanego „impossible" (niemożebny).

Następnie weszły do świątyni, sporej sali oświetlonej od góry. Ustawiono tam 36 krzeseł, obitych czarnym aksamitem, dla Lorenzy zaś, również w taki strój przybranej — tron na wzniesieniu. Koło tronu stały dwie dziwaczne figury tak fantastycznie ustrojone, iż ciężko było odgadnąć czy żywy człowiek to, czy rzeźba.

Gdy zajęto miejsca, światło przyciemniono z trudem rożróżniano obecnych. Lorenza poleciła paniom obnażyć lewe nogi po biodra a prawe ręce oprzeć o kolumny. Po czym do sali weszły dwie młode kobiety z mieczami i powiązały damy wstęgami za ręce i nogi.

Śród głębokiej ciszy poczęła Lorenza:

„Pozycja w jakiej się znajdujecie, to symbol waszej pozycji w towarzystwie. Jesteście całkowicie zależne od mężów. Jesteście skrępowane. Gdybyśmy umiały walczyć o wasze prawa, mężczyźni byliby u naszych stóp.

Wstęp był wiele obiecujący, lecz dalszy ciąg mniej srogi.

— Pozostawmy im — mówiła — prowadzenie krwawych wojen. Naszym zadaniem, stwarzać opinię publiczną i łagodzić obyczaje. To nasze obowiązki!

Tu rozwiązano panie. Lecz oczekiwały je inne próby.

— Zwracam wam wolność, abyście ją odnalazły w społeczeństwie, śród którego żyjecie. Swoboda to najcenniejsza rzecz! Lecz czy potraficie ją zdobyć? Na to trzeba siły charakteru, adeptki! Oczekuje was próba! Rozdzielcze się na sześć grup wedle koloru waszych szarf i udajcie się do sześciu oddzielnych pokoi!

Damy spełniły rozkaz. Nikt im nie towarzyszył, gdyż same winny były dać dowody odwagi i woli. Wyjścia prowadziły do ogrodu, a w ogrodzie oczekiwały je wrażenia niezwykłe. Otaczali ich mężczyźni i albo drwili z nich, albo w najczulszych słowach błagali o znak wzajemności. Wiele adeptek sądziło, iż ma ze zjawami do czynienia, bo towarzysze byli przeważnie identyczni z wybrańcami ich serc. Lecz, pomne przysięgi, odrzucały bezlitośnie zaloty — zjawy kochanków spotkały się z rekuzą i musiały od kuszonych odejść zawstydzone.

Gdy więc 36 adeptek, po zwycięskiej próbie, powróciło do sali, powitała ich tymi słowy Lorenza:

Dostojne jesteście ujrzyć jego oblicze!

Wtedy strop sali rozwarł się a na złocistym tronie opuścił się człowiek, dzierżący w ręku żmiję. Był nim sam boski, nieśmiertelny Cagliostro.

Wielki Kofta przemówił:

— Córki moje! Magia, którą tak zwalczają, w czystym ręku jest tylko środkiem czynienia dobra. Magia jest inicjacją w tajemnice przyrody i spożytokwaniem tych tajemnic. Widzieliście już jeden fenomen w ogrodzie, gdzieście rozmawiały z osobami drogimi waszemu sercu, ujrzycie i inne... Poznacie całkowitą prawdę. Odsłonię ją wam, lecz stopniowo. Dziś tylko powiem, że istotny cel egipskiej masonerii zasadza się na szczęściu ludzkości. Dla osiągnięcia tego celu uciekamy się do sekretów natury t. j. do magii. Więcej nie dodam. Pomyślcie nad mymi słowami!

Właściwie myśleć nie było nad czym, bo był to tyl-

ko stek pustych i dźwięcznych frazesów, lecz snać Wielki Kofta uważał, że i tak wlał damom dość rozumu do głowy, bo po tej mowie niknął w ten sam sposób jak przybył.

Teraz sala zabłysła tysiącem świateł i damy nie zdążyły jeszcze ochłonąć z wrażenia, gdy nagle rozwarła się podłoga, z niej wysunął stół, przybrany wykwintnymi potrawami.

W tejże chwili pojawili się i kawalerowie dam, a ceremonia zakończyła się wykwintną ucztą, trwającą do 3-ej w nocy, o której to godzinie rozjechano się do domów, z zachwytem wspominając wrażenia fantastycznego wieczoru.

* *
*

Wspomniałem wyżej o zażyłym stosunku Cagliostra z kardynałem de Rohan. Aczkolwiek mag w Paryżu zasadniczo nie leczył, gdy zachorował brat kardynała, książę de Soubise, na usilne prośby cudotwórca incognito, jako nieznany lekarz, udał się do niego i w ciągu 2 dni ze stanu niemal beznadziejnego, postawił go na nogi. Narobiło to takiej wrzawy w Paryżu, że magowi poczęto składać cześć jako osobie nadprzyrodzonej. Wszędzie sprzedawano jego portrety i ustawiano posągi, rzeźbione w marmurze. Wprawdzie lekarze twierdzili że książę wyzdrowiał sam przez się, lecz na te komentarze nie zwracano uwagi. Cagliostro był u szczytu sławy.

Postanowił olbrzymią popularność wykorzystać dla zadań wolnomularstwa. Wprawdzie kandydatów miał wielu, lecz w wyborze był trudny i stale mawiał „gdzie wiele powołanych — mało wybranych". Zamyślił otworzyć radę najwyższej egipskiej masonerii „radę trzynastu", w skład której wchodziliby ludzie istotnie niezwykli czy z rozumu, czy nauki, czy bogactwa.

Cagliostro aby zachęcić dawał do zrozumienia, że w stopniu tym najwyższym jest w stanie obdarzyć adeptów nieśmiertelnością i eliksirem życia.

Recepta miała polegać na następującym.

Aby dojść do wieku 5557 lat należy:

Z zaufanym przyjacielem udać się na wieś i tam nie widywać z nikim. Przez 32 dni zachować b. ścisłą dietę, żywić się wyłącznie lekkim rosołem i jarzynami, 17 i 32 dnia puścić krew oraz przyjąć 6 kropel białej mikstury (skład mikstury pozostał tajemnicą Cagliostra) 33 dnia pacjent kładzie się do łóżka na tydzień i otrzymuje pierwsze ziarenko pierwotnej substancji, stworzonej przez Pana Boga, utraconej przez grzech pierworodny, a odzyskanej dzięki zasługom masonów.

Połknąwszy to ziarenko, człowiek traci dar słowa i przytomność na trzy godziny, podczas których występują poty oraz wydzieliny wszelkiego rodzaju.

Następnego dnia znów zażywa jedno ziarenko. Przykre objawy powtarzają się i w czasie tego ataku traci on zęby, włosy i skóra schodzi mu z ciała.

Następnego t. j. 35 dnia kuracji, otrzymuje pacjent ciepłą kąpiel! — 36 dnia zaś połyka w kielichu mocnego wina trzecie i ostatnie ziarenko — po czym zapada w sen głęboki, podczas którego odrastają zęby i włosy.

37 dnia, po przebudzeniu, bierze kąpiel z traw aromatycznych, a następnie zwykłą kąpiel.

39 dnia zażywa 10 kropel specjalnego balsamu w dwóch łyżkach czerwonego wina, a dnia 40 jest odmłodzony i odrodzonym, jak gdyby po raz wtóry przybył na świat.

Taką jest recepta Cagliostra.

W związku z tym czarodziej wszędzie rozpuszczał wieści o swej długowieczności. Wspominał o wypadkach dziejów starożytnych, jak gdyby przy nich był obecny.

Pewna markiza u której mag często obiadował zapytała w jakim jest wieku.

— Urodziłem się w dwa stulecia po potopie! — odpowiedział najpoważniej.

Zaufany kamerdyner, ciekawskim, takich samych dostarczał wiadomości. Snać nauczony — twierdził, iż począł służyć u swego pana w tym samym roku, kiedy Juliusz Cezar został zasztyletowany w senacie.

Cagliostro dzięki swej wymowie, manierom, towarzyskiej zręczności tak umiał zafascynować wyższe paryskie towarzystwo, że w jego „cenacle'u" zebrało się nie trzynastu a paruset najbogatszych i najbardziej znanych ludzi tej epoki. Zamierzał nawet powiększyć ilość rady, nie mogąc wielu odmówić tytułu „mistrza". Egipska masoneria przybrałaby zapewne olbrzymie rozmiary i potęgę, gdyby pewien wypadek nie był położył kresu dalszej świetnej we Francji karierze maga i uczynił jego pobyt w tym kraju niemożliwy.

Wypadkiem tym była sprawa „naszyjnika królowej".

* *

*

Wiemy, że Cagliostro cieszył się wielkim zaufaniem kardynała de Rohan. W domu zaś Cagliostra, bywała pewna intrygantka, hrabina de la Motte, która twierdziła że pochodzi z królewskiego rodu Va lois, poprzednio panującego we Francji. Jej mąż, choć utytułowany, był niebieskim ptakiem i oboje żyli przeważnie z oszustw. Nasz Way nigdy jej nie lubił, ale tolerował jej obecność w swym domu, nie chcąc sobie z niej czynić jawnego wroga.

Przez Cagliostra poznała de la Motte kardynała, który ponoć zachwycił się z jej wdziękami i z którego zdążyła w krótkim względnie czasie wyciągnąć kilka tysięcy liwrów.

Kardynał był wielkim jałmużnikiem (grand aumonier) Francji t. j. zwierzchnikiem nadwornego duchowieństwa. Było to stanowisko wysokie, lecz na de Rohan'a krzywym okiem spoglądano na dworze, bo publiczną było tajemnicą, że królowa jest mu więcej, niż niechętna. Niechęć ta miała się datować z czasów, gdy kardynał był ambasadorem francuskim w Wiedniu i w tym charakterze przeprowadzał pertraktacje w sprawie małżeństwa ówczesnej arcyksiężniczki z Daufin'em, późniejszym LudwikiemXVI. Mówiono nawet o stosunku kardynała, jednego z najpiękniejszych mężczyzn epoki z Marią Teresą i scysjach, które na tym tle z córką zachodziły. Ile prawdy zawierały plotki — trudno ustalić, lecz faktem jest, że Maria Antonina usilnie podkreślała swój nieprzyjazny do de Rohan'a stosunek, a całą sprawę komplikowało, że kardynał po cichu się kochał w królowej. Jeśli dodać tu niepomierną dumę i ambicję potomka najwybitniejszego rodu francuskiego, który na swej tarczy pisał „królem nie jestem — księciem być nie chcę" — zrozumiałem jest, że uczyniby on wszystko, celem pozyskania sympatii Marii Antoniny i nasycenia swej próżności.

Z tych okoliczności postanowiła skorzystać de la Motte, aby z kardynała wyciągnąć bajońską sumę, która na długo zapewniłaby jej wystawne życie oraz możność hulanek mężowi, osobnikowi z pod ciemnej gwiazdy.

Oto co wymyśliła.

Nadwornym jubilerem był Boehmer. Swego czasu, gdy faworytą Ludwika XV była pani Dubarry, przyszykował on dla niej naszyjnik z niezwykle pięknych i dużych brylantów. Ponieważ faworyta sama dobierała kamienie, robota trwała długo, a pod jej koniec król umarł, samą zaś madame Dubarry zesłano. Wobec tego jubiler pozostał z naszyjnikiem, oszacowanym na 2 miliony liwrów, bez nabywców, gdyż na tak olbrzymią sumę, sta-

nowiącą fortunę, mógł sobie jedynie pozwolić monarcha. Lecz i monarchom pod koniec XVIII w. poczęło się gorzej powodzić. Przymierzała wprawdzie naszyjnik Maria Antonina, ale posłyszawszy o cenie, wiedząc, że dość pusta szkatułka królewska nie jest w stanie zdobyć się na taki wydatek, czy chcąc pozyskać popularność oświadczyła, iż za te pieniądze woli zbudować pierwszorzędny bojowy okręt, co na pożytek prędzej wyjdzie królowi i Francji. Patriotyczne odezwanie się Marii Antoniny, wywołało ogólny zachwyt i szeroko było kolportowane przez dworaków, celem zwiększenia, tak podówczas koniecznego, przywiązania do tronu.

Z tych, ogólnie znanych okoliczności postanowiła skorzystać de la Motte.

Udaje się do kardynała i poczyna mu tłumaczyć, iż królowa z prawdziwym żalem zmuszona była się rozstać z pięknymi klejnotami. Chętnie nabyłaby ona z własnej szkatuły pomienioną kolię, lecz uczynić to może jedynie po cichu, by nie wzbudzić oburzenia. Uczynić zaś to może, spłacając sumę ratami w pewnych odstępach czasu, lecz ktoś inny musi działać, i występować, by nie domyślano się iż ona naszyjnik nabywa. Otóż, gdyby kardynał przyjął na siebie tę misję, może być pewien wielkiej wdzięczności królowej, która potrafi w odpowiedni sposób mi się zrewanżować.

Ambitny, a jednocześnie łatwowierny de Rohan przyjął propozycję z zachwytem i prosił awanturnicę, by zechciała sprawę doprowadzić do końca.

W parę dni później de la Motte znów pojawia się u kardynała i mówi, że królowa zgadza się na jego pośrednictwo. Kardynał weźmie od jubilera Boehmer'a naszyjnik na własny rachunek, zaś wzamian wystawi mu zobowiązania na różne terminy. Przed każdym z terminów Maria Antonina za pośrednictwem de la Motte dostarczy sumę, potrzebną na spłatę Boehmera. (Inaczej sprawy nie można było załatwić, gdyż awanturnica wie-

działa, że wielce rozrzutny kardynał nigdy większych sum w gotówce nie posiadał). O ile kardynał się zgadza, królowa odręcznym pismem układ potwierdzi. De Rohan, z radości stracił głowę. Pieniędzy nie żądano od niego, lecz tylko tak drobnej przysługi, jak podpis, w terminach płatności będzie się wywiązywała królowa... a za to honory, władze, nawet może miłość Marii Antoniny.

De la Motte była w zażyłych stosunkach z notorycznym szubrawcem i fałszerzem Retaut de Vllette, więcej niż artystycznie podrabiającym pismo. Dzięki tej znajomości istotnie wręczyła kardynałowi bilet królowej, w którym ta upoważniała go do nabycia kolii, na warunkach podanych przez de la Motte.

Kardynał, nie tracąc chwili, posłał po Boehmer'a, ten zaś ujrzawszy list, uszczęśliwiony z tranzakcji, jak najchętniej przyjął porękę de Rohan'a.

Lecz przystępując do zakończenia sprawy kardynał uważał za konieczne zasięgnąć rady niezrównanego, boskiego, Wielkiego Kofty. Ten czy czując, że sprawa nie jest wyraźną, czy wogóle nie mając zaufania do wszelkich tranzakcji, pochodzących od pani de la Motte, długo wykręcał się i unikał spotkania. W końcu uległ naleganiom Lorenzy. Magiczna konsultacja miała miejsce w pałacu Eminencji, w obecności paru wtajemniczonych osób, przy pomocy oczywiście „gołąbków prawdy". Odpowiedź brzmiała w ten sposób: „przedsięwzięcie jest godne tak szlachetnego męża; zakończy się pełnym sukcesem i łaski królowej obsypią Ludwika de Rohana, pod którego rządami Francja dojdzie do najwyższego szczeblu rozkwitu".

Na tej to zasadzie postawiono później maga w stan oskarżenia, twierdząc, iż musiał być w całej sprawie zainteresowany materialnie i, że gwoli ostatecznego skłonienia kardynała, zorganizował wyrocznię.

Chcąc być jednak ścisłym, zaznaczyć należy, że ogromnie jest trudno sprecyzować w całej tej sprawie rolę

Cagliostra i że wątpliwym jest, czy przy swej ostrożności, dałby się dobrowolnie uwikłać w tak niepewne towarzystwo, jakim była de la Motte i Retaut de Villette. Przypuszczać raczej należy, że albo sam padł ofiarą sfałszowanego listu, albo też zależało mu na skompromitowaniu królewskiej rodziny, jako przywódcy masonerii już podówczas przygotowującej Wielką Rewolucję.

Fakty dalej potoczyły się następująco:

Kardynał otrzymał od jubilera naszyjnik, który doręczył w obecności de la Motte jej wspólnikowi, przebranemu w liberię służby królewskiej. Wprawdzie nieco był zdziwiony, że w parę dni później, nie widział go na wielkim przyjęciu dworskim, na szyi Marii Antoniny, jak również, że ta nie zmieniła swojego względem niego oziębłego postępowania. Wszystkie te fakty zdążyła jednak wytłomaczyć de la Motte, twierdząc, że zbyt szybka zmiana postępowania, jak również pokazywanie kolii mogłyby zwrócić uwagę i wywołać zbyteczne komentarze.

Kardynał uspokoił się.

W tymże samym czasie mąż awanturnicy, hrabia de la Motte wraz z Retaut de Villette przeprawili się do Anglii, gdzie wyjąwszy kamienie z oprawy, starali się je sprzedać oddzielnie. Przedsięwzięcie ze względu na wielkość kamieni było trudne, niebezpieczne i wymagało czasu. Dlatego w Paryżu należało grać na zwłokę.

Tymczasem...

Tymczasem królowa nietylko nie nakładała naszyjnika, lecz i nie zmieniała swego postępowania wobec kardynała, co poczynało go silnie niepokoić, mimo wykrętnych tłomaczeń hrabiny de la Motte. Ta widząc, że sprawa się wikła, co rychlej zawezwała Villetta z Londynu... i kardynał znów otrzymał list, który przeczytał ze łzami radości. Wprawdzie w tym liście nie było ani słówka o pierwszej racie wysokości 300 tys. liwrów, lecz de

la Motte tłomaczyła, że winien on sumę tę sam zapłacić, za co Maria Antonina tym wdzięczniejszą mu będzie.

Aczkolwiek de Rohan nie miał pieniędzy, gdyż mimo olbrzymiego majątku, stale siedział w długach, lecz licząc na pożyczkę od bogatego Anglika, odpisał, znów za pośrednictwem de la Motte królowej, że z radością pierwszą ratę zapłaci, za co otrzymał serdeczną odpowiedź, sfabrykowaną przez Villet'a, w której królowa chętnie przejmowała jego pomoc, zaznaczając, iż dzieje się to wyjątkowo, a następne sumy wpływać będą punktualnie.

W ten sposób de Rohan miał trzy listy. Celem, zdaje się, ostatecznym szantażystów było możliwie długo ciągnąć sprawę i tak go w nią wplątać, by zapłacił wszystko a później nie mógł się skarżyć w obawie śmieszności i gniewu króla.

Dla tego celu należało otumanić go do ostatecznych granic. Listy, przy oziębłości królowej, były zbyt małym dowodem. Wówczas de la Motte wymyśliła łajdactwo genialne.

Wynalazła w Paryżu młodą dziewczynę, nazwiskiem Legay, podobną ze wzrostu i twarzy do Marii Antoniny. Dziewczyna ta, jako baronowa Oliva, często bywała w salonach hr. Cagliostro. Postanowiono z niej uczynić narzędzie a jakimi argumentami ją oplątano — nie wiadomo, gdyż z wyroku wynikałoby, że dobrze nie wiedziała, jaką rolę odgrywa. Otóż de la Motte powiadamiał kardynała, że królowa pragnie się z nim spotkać w nocy w ogrodzie Trianon.

Kardynał szaleje z radości, stawia się o wyznczonej godzinie na miejscu spotkania. Noc jasna, księżyc świeci blado. Zbliża się doń Oliva, którą kardynał przyjmuje za królowę i mówi:

— Mogę poświęcić panu tylko chwilę! Przybyłam, by powiedzieć, iż jestem z niego zadowolona...

Nagle słychać z oddali pospieszne kroki. Rzekoma królowa przerażona mówi:

— Szuka mnie hrabina d'Artois! Muszę już, niestety, pożegnać pana...

Gdy nazajutrz de la Motte znów przyniosła „własnoręczny" list Marii Antoniny, ze słowami żalu, z powodu przerwanego spotkania, czyż mógł biedny kardynał przypuszczać, iż padł ofiarą wyrafinowanego oszustwa?

Lecz termin płatności nadszedł. Bogaty Anglik z pożyczką się cofnął. Kardynał błagał Boehmera, by zaczekał nieco, lecz ten, będąc w wielkiej pieniężnej opresji i sądząc, że kardynał nie śmie napomnieć królowej o długu, postanowił uczynić to sam przy pierwszej okazji.

To też, gdy wezwano go do dworu w jakiejś błahej sprawie, podał list tej treści:

„Winszuję Waszej Król. Mości najpiękniejszego naszyjnika w Europie i błagam by nie zapominała o mnie".

Królowa, gdy to przeczytała, w pierwszej chwili zawołała: „Boehmer zwariował", lecz później, zaintrygowana, wysłała p. de Campan, chcąc rzecz całą bliżej wyjaśnić. Ta posłyszawszy opowieść wykrzyknęła.

— Panie Boehmer! Ograbiono pana! Królowa nic nie wie o tej sprawie!

Wybuchnął skandal. Ludwik XVI zawezwał natychmiast kardynała i począł mu w obecności Marii Antoniny robić ostre wymówki. Kardynał zmieszał się nieco, lecz po chwili podał monarsze listy, podpisane „Marie Antoinette de France".

— To nie charakter królowej — zawołał król — i nie jej podpis. Jakto de Rohan i kardynał nie wie, że królowe podpisują się imieniem jedynie?

Kardynał oniemiał, a król w najwyższym wzburzeniu powtarzał:

— Znajdę winowajców!

Gdy kardynał opuszczał królewski gabinet został aresztowany i odstawiony do Bastylii. Tegoż dnia uwięziono hrabinę de la Motte, a w parę dni później Villet'a i Olivę.

Również tego dnia aresztowano Cagliostra i odstawiono do Bastylii.

Nie pominięto Lorenzy, ale rychło ją zwolniono. Sprawie przywiązano taką wagę, że aresztowanych sądził parlament. Adwokat de la Motte gwałtem chciał całą winę zwalić na Cagliostra, lecz usiłowania te były bezskutecznie.

Wyrok zapadł następujący:

Podpis królowej jest sfałszowany.

Nieobecny de la Motte zostaje skazany na wieczne galery.

Żona jego de la Motte na publiczną chłostę i bezterminowe więzienie.

Retaut de Villette zostaje wypędzony z królestwa.

Cagliostro uniewiniony.

Oliva uniewiniona.

Kardynał padł ofiarą szantażu.

Kiedy miano wykonać wyrok na de la Motte wyrwała się swym oprawcom i długo się broniła, nim zdołano ją obezwładnić.

Osadzona w więzieniu, zbiegła po 10 mies., zapewne przy pomocy męża, który dzięki brylantom, mógł rzucić pieniędzmi i uciekła do Anglii, gdzie po paru latach zginęła — wyrzucona przez okno, podczas jakiejś orgii.

Wracajmy do Cagliostra.

Uniewinnienie jego zostało przyjęte z entuzjazmem nietylko przez jego adeptów, lecz ogół paryżan. Niezliczone tłumy towarzyszyły mu do domu, wydając na cześć maga gromkie okrzyki. Wieczorem wiele domów zostało iluminowanych. San Cagliostro wyszedł na balkon i miał krótką mowę do zebranych, dziękując za dowody współczucia.

Nazajutrz jednak, po uwolnieniu — Wielki Kofta, otrzymał rozkaz królewski opuszczenia Paryża w ciągu 24 godzin. Zastosował się do tego i wyjechał do Passy odprowadzony przez olbrzymie tłumy, pośród których nie brakowało i dworzan Ludwika XVI.

Nie czuł się jednak we Francji bezpieczny. Spędziwszy w Passy trzy tygodnie i przyjąwszy moc osób do egipskiej masonerii, wyjechał do Anglii, nie tracąc swej władzy nad umysłami paryżan. Wyjazd Cagliostra z Francji upodobnić by można do narodowej klęski. Wielu przywdziało żałobę, a gdy statek w Boulogne oddalał się od brzegów, pięciotysięczny tłum padł na kolana, błagając maga o błogosławieństwo.

* *
*

W Londynie Wielki Kofta również został przyjęty z wielkim respektem. W ślad za nim do Anglii przybył szereg jego adeptów. Założył w swym domu lożę wolnomurarską, w której sam przewodniczył, a najwybitniejsze osobistości wstępowały do grona braci. Lecz Cagliostro nie zapominał o paryżanach.

Będąc oddzielony od Bastylii kanałem La Manche, wydał on swe słynne pismo „Lettre en peuple français". (List do narodu francuskiego), przetłomaczony niemal na wszystkie języki europejskie i rozsprzedany w setkach tysięcy egzemplarzy.

Był to pamflet, wymierzony przeciw wersalskiemu dworowi, parlamentowi, a nawet królowi. Zrozumiano go w zupełności dopiero w parę lat później, kiedy wybuchła Wielka Rewolucja francuska, ściśle w piśmie Wielkiego Kofty przepowiedziana.

Pismem tym zakończył Cagliostro swą burzliwą i pełną przygód karierę. Jak gdyby wykonał misję włożoną na niego przez bractwa tajne, skończył się i był już więcej niepotrzebny. Od tej chwili zaczyna się jego upadek, który miał doprowadzić do tragicznego końca.

Cagliostro z Anglii udaje się do Rzymu.

Już Casanova, gdy go widział po raz pierwszy ostrzegał, by miał się na baczności przed tym miastem, gdyż będzie mu ono fatalne.

Gdyby Cagliostro nie był się tam udał, nie byłby go spotkał los, jaki go spotkał.

Przybywszy do Wiecznego Miasta, rozpoczął tam, jak zresztą wszędzie, propagandę wolnomularstwa egipskiego, mimo że najwięcej się tam narażał. Masoneria zabroniona była przez papieża Klemensa XII pod grozą nawet kary śmierci a jego następca, ówczesny papież Benedykt XIV nietylko potwierdził bullę poprzednika, lecz i rozszerzył jej zakres działania.
Mimo rad przyjaciół, Wielki Kofta rozpoczął swą propagandę. Szła dość opornie. Na początek zdobył tylko trzech członków... a w tej liczbie — był jeden zdrajca, który się zapisał do masonerii egipskiej jedynie w celu, by sprzedać mistrza.

Na zasadzie jego rewelacji 27 września 1789 r., inkwizycja wydała rozkaz aresztowania Cagliostra, zabrania wszystkich jego papierów i osadzenia w więzieniu.

Śledztwo w sprawie egipskiej masonerii było niezwykle długie, drobiazgowe i staranne.

Akt oskarżenia przygotowano dopiero 21 marca 1789 r. Przede wszystkim wyciągano w nim wszystkie sprawki Cagliostra, popełnione poprzednio pod nazwiskiem Balsama. Te zarzuty, co prawda mniej były groźne, gdyż popełnił on je poza granicami państwa papieskiego, albo uległy one przedawnieniu. Ale chodziło o rzecz poważniejszą.

Oskarżono Cagliostra o propagandę masońską oraz poważniejsze uprawianie magii. Mimo obrony Wielkiego Kofta, skazano go 7 kwietnia 1791 r. na śmierć. Pod tym wyrokiem trybunału czytamy rezolucję papieża:

„Józef Balsamo, przekonany w wielu przestępstwach, jako to masonerii, magii i herezji — zasłużył na śmierć. Lecz wedle specjalnego naszego miłosierdzia, darujemy mu tę karę, zamieniając na dożywotne więzienie, bez nadziei na prawo ułaskawienia. Po uroczystym wyrzeczeniu się herezji, przypisaną mu zostanie specjalna pokuta“.

Wielkość historyków twierdza, że w więzieniu torturowano Cagliostra, a gdy nieszczęsny ryczał z bólu, kazał go gubernator zamku Św. Anioła smagać kijami, twierdząc, że zwariował.

Istnieje wprawdzie legenda, że Cagliostrowi udało się uciec zamieniwszy ubranie ze spowiednikiem, lecz mimo, iż wielu w nią wierzy, należy opowieść odnieść do kategorii legend.

Lorenza podczas procesu zachowała się brzydko. Starała się całą winę zwalić na męża, twierdząc, iż trzymał ją w stanie hypnozy. Doświadczenia z „gołąbkami prawdy“ nazywała oszustwem i twierdziła, że dzieci uczono, jak mają na pytania odpowiadać. Mimo całej bezsensowności tego twierdzenia, gdyż z góry nie można było przewidzieć, jakie dzieciom zostaną postawione pytania — oparto się na tych zeznaniach. Zdrada Lorenzy dałaby się tym wytłomaczyć, iż przedtem już nienawidziła i zdradzała męża.

Dzięki tej podłości Lorenzę osadzono tylko na krótko w klasztorze, później zwolniono, a nawet wyznaczono niewielką rentę.

Cagliostro spędził w więzieniu około sześciu lat. Data jego śmierci nie jest ściśle wiadoma,.

Wszystko to są rzeczy zbyt poczciwe, by pisać o nich w tym szkicu obszernie. Kto ciekaw bliższych szczegółów o Cagliostrze i jego pobycie w więzieniu, niech przeczyta obszerną moją książkę p. t. „Cagliostro, król awanturników“,

Wszystkie papiery Wielkiego Kufty zostały spalone przez inkwizycję. Pozostały zaledwie fragmenty, zawarte w aktach sprawy sądowej. Z tej przyczyny tak mało posiadamy istotnych danych o życiu Cagliostra.

Takimi były dole i niedole tego, którego nazwano wielkim awanturnikiem XVII w., choć życiem swoim nie zasłużył on wcale na ten szczytny tytuł.

ROZDZIAŁ XI

MESMER I MESMERYZM

Artykuł p. H. Wardęskiego zamieszczony w piśmie „Rzeczy Ciekawe".

W roku 1733 w Itrnang nad Jeziorem Bodeńskim w rodzinie leśniczego ujrzał światło dzienne Franciszek Antoni Mesmer. Początkowo Mesmer kształcił się w klasztorze i rodzice przenaczyli go do stanu duchownego. Później Mesmer przerzucił się na wydział prawny w Wiedniu, jednakże po sześcioletnich studiach przeniósł się na medycynę i w roku 1766 otrzymał dyplom doktora medycyny za pracę naukową pod tytułem: „De influxu planetarum in hominem".

W dziele tym Mesmer staje się naśladowcą Paracelsa i stara się potwierdzić jego teorię o wpływie ciał niebieskich na ciało i życie ludzkie. Wpływ ten ujawnia się świecie, dzięki czemu wszelkie planety i istoty żyjące wzajemnie ku sobie ciążą. Ta dziwna właściwość wzajemnego ciążenia ku sobie ciał i wywieranie wpływu na

otaczające te ciała przedmioty, można porównać do właściwości przyciągającej magnesu i dlatego też właściwość tą Mesmer nazwał „zwierzęcym magnetyzmem".

„Ciało ludzkie", twierdził Mesmer, można porównać do magnetyzowanego żelaza, lub stali. Posiada siłę przyciągającą i dwa bieguny, dzięki którym może działać na odległość i rozwijać całkowitą siłę magnesu". Mesmer posiadał bardzo wiele magnetyzmu osobistego, wywierał potężny wpływ na otoczenie, dzięki czemu, w krótkim przeciągu czasu, zasłynął w Wiedniu, jako znakomity lekarz cudotwórca.

Jego system leczenia magnetyzmem nie zawsze dawał dodatnie rezultaty, gdyż nie wszystkie choroby ludzkie można leczyć systemem tego rodzaju, to też Mesmer musiał walczyć z kohortą przeciwników, starających się zdyskredytować i ośmieszyć Mesmera.

Istotnie w roku 1779 Mesmer opuszcza Wiedeń i zjawia się w Paryżu.

Paryż był dla Mesmera kopalnią złota i źródłem wielkiej sławy. Gromady pacjentów w tłoku i ścisku oczekiwało lekarza, który uzdrawiał często za pomocą dotknięcia i kilku słów otuchy.

Mesmer musiał wtajemniczyć w system swego leczenia paru pomocników i wspólnie z nimi przyjmował pacjentów.

Wkrótce Mesmer nie był w stanie obsłużyć wszystkich cisnących się do jego kliniki, zmuszony więc był skonstruować tak zwany „baquet", czyli cebrzyk z wodą. Cebrzyk ten był zaopatrzony w żelazne drążki, lub łańcuchy. Obok cebrzyka zasiadali pacjenci i brali do rąk drążki. Mesmer magnetyzował wodę i krążył obok cebrzyka z harmonijką w ręku, na której umiał grać znakomicie. Gdzieś za krzakami palm i krzewów, egzotyczne snuły się melodie niewidzialnych fletów, senne i łagodne. Pod wpływem tych dźwięków, fantastycznego otoczenia i elektryzujących spojrzeń magnetyzera, pac-

jenci zasypiali, lub doznawali napadów histerii. — Takie ataki histerii Mesmer nazywał „kryzysami".

Najczęściej „kryzysy" zdarzały się u kobiet.

Mesmer śledził uważnie za rozwojem wypadków u cebrzyka. Gdy która z pacjentek wpadła w szał śmiechu, lub spazm płaczu, połączony z drgawkami ciała, Mesmer chwytał ją i unosił do specjalnego pokoju, zwanego „komnatą kryzysów", lub „piekłem konwulsji". Podłogi i ściany tej komnaty były obite miękkimi materacami. Kobiety, które się tam znalazły, rozbierano do bielizny i puszczano swobodnie. Pacjentki skakały, krzyczały, czołgały się po pokoju, spazmowały, łkały lub śmiały do utraty przytomności. Mimo wszystko, pacjentki po przyjściu do stanu normalnego błagały Mesmera, aby je powtórnie uśpił, gdyż stan w jakim się znajdowały podczas tak zwanego kryzysu, był stanem niezwykłej błogości.

Trzeba dodać, że obok wypadków cudownego wyleczenia przy „cebrzyku", zdarzały się również wypadki śmierci. Takie zdarzenia musiały zwrócić uwagę ówczesnego rządu francuskiego, który wydelegował dwie komisje rzeczoznawców w celu zbadania istoty praktyk Mesmera. Obie komisje przyszły do przekonania, że Mesmer nie posiadał żadnej tajemnicy o istnieniu siły magnetycznej, że wypadki uzdrowienia pacjentów były rezultatem wyobraźni chorych i manią naśladownictwa. Komisje uznały praktyki Mesmera, jako przeciwne obyczajności publicznej. Magnetyzer zwykle siadał naprzeciw pacjenta, ściskając mu kolana własnymi kolanami; wpatrywał się badawczo w oczy i jednocześnie głaskał za pomocą „pasów" ramiona, piersi i biodra pacjenta. Takie zbliżenie magnetyzera z wrażliwymi i nerwowymi zwykle pacjentkami, działało pobudzająco na nie, rozpalało namiętności i stawało się szkodliwe dla całego organizmu. W trakcie badań komisji, Mesmer zaproponował rządowi francuskiemu nabycie tajemnicy magnetyz-

mu i założenia towarzystwa akcyjnego, tak zwanego „towarzystwa harmonii". Bardzo wiele bogatych osób wpisało się na akcje Mesmera i lekarz zebrał solidną sumę.

Wreszcie widząc, że wnioski komisji rzeczoznawców obaliły jego teorię, że pacjenci porzucili go, że wreszcie w Paryżu zaczęły się preludia rewolucji, Mesmer w roku 1875 porzucił stolicę Francji i z uciułanymi kapitałami wyemigrował do Szwajcarii, gdzie, w pełni dostatku dokonał żywota w roku 1805.

Mesmer zmarł, lecz nie przestała istnieć jego teoria o magnetyźmie zwierzęcym.

Nad teorią Mesmera nie można przejść do porządku dziennego, jak to uczynili jego współzawodnicy w Paryżu, zawistni z powodu wielkiego powodzenia Mesmera.

Cały szereg uczonych badaczy tajemnic przyrody do dnia dzisiejszego zajmuje się rozwiązaniem tej siły, która jest w naszym organiźmie, a którą nazwał Mesmer magnetyzmem.

Chociaż Mesmer wszędzie i zawsze twierdził, że on był wynalazcą magnetyzmu zwierzęcego, to zapewne twierdzenie to mogło mieć powodzenie wśród ludzi słabo orientujących się w historii medycyny i filozofii. Teoria Mesmera była przedmiotem prac wielu autorów XVI, XVII i XVII stuleci. Już w XVI wieku znany lekarz i filozof Paracelsus Teofrast przypuszczał, że między planetami, a istotami żyjącymi na ziemi jest jakiś związek i istnieje jakaś materia, pochodzenia której uczony wyjaśnić nie potrafi. Jeszcze wcześniej o magnetyźmie pisali Ficinus w roku 1460, Gilcert, lekarz królowej Elżbiety (De magnete), Pomponecius i wielu innych.

Po śmierci Paracelsusa Teofrasta, teorie jego rozwijali Bettray, Digby, Loysel Dolè, Gaffard, Goèten i inni.

Magnetyzowanie drzew, wody, roślin już od wie-

ków nie było nowością i wielu lekarzy siłę magnetyczną eksploatowali z powodzeniem.

Mesmer podczas swego pobytu w Paryżu namagnetyzował parę drzew w parkach publicznych. Do drzew tych przywiązywano liny i pacjenci chwytali się owych lin, wierząc w dodatnie skutki tej manipulacji. Istotnie bardzo wielu chorych doznawało ulgi. Przez samo dotknięcie liny, wrażliwi ludzie doznawali wstrząsów nerwowych, lub wili się w konwulsjach.

Wiara w cudowną właściwość namagnetyzowanego drzewa i niezwykła wrażliwość powodowały te dziwne zjawiska.

Dziś w dobie realizmu i niewiary, magnetyzm jednak istnieje, tylko nie każdy wie o tej sile i nie umie z niej korzystać.

W obcowaniu z ludźmi musimy nieraz zaobserwować zjawisko sympatii lub antypatii.

Są ludzie, obecność których sprawia nam wielką przyjemność. Zjawienie się takiego człowieka w towarzystwie można porównać do promyka słońca, który wdarł się do celi wieziennej i biednemu więźniowi sprawił wiele przyjemności. I naodwrót są ludzie, którzy swą obecnością sprawiają przygnębiające wrażenie. Obcowanie z takim człowiekiem jest męczące. To są wampiry w ciele ludzkim. Do pierwszych wszyscy się chętnie garną, od drugich stronią. Pierwsi mają wiele magnetyzmu osobistego, gdy drudzy są pod tym względem ubodzy i czerpią ten magnetyzm od innych.

Ten wielki zasób magnetyzmu osobistego jest potężną siłą, dzięki której ludzie mają przewagę normalną nad innymi.

Niektórzy posiadają ten magnetyzm osobisty od urodzenia, inni mogą go rozwinąć za pomocą odpowiednich doświadczeń.

Siłę magnetyczną można przenieść na przedmioty. Człowiek wschodu obwieszony jest talizmanami. Czło-

wiek zachodu wierzy w cudowne obrazy, cudowne figury, w cudowne groty, a wszędzie króluje wiara w rzeczy nadprzyrodzone i ta wiara właśnie jest tą siłą, o której pisali uczeni przed Mesmerem i o której do dziś piszą współcześni.

Mesmeryzm ma powodzenie tam, gdzie istnieje wiara w skuteczność mesmeryzmu. Nie obraz, lub relikwia sprawia cuda, lecz wiara w siłę nadprzyrodzoną, w boskość i wszechmoc utajoną w tych przedmiotach. I dziś nawet, w wieku niewiary, zdarzają się wypadki takich uzdrowień. Lekarze współcześni nie wierzą w istnieniu fluidu życiodajnego, o którym pisał Mesmer, lecz wierzą w siłę sugestii i wielu z nich leczy tą metodą z zadowoleniem. Przede wszystkim mesmeryzm może mieć zastosowanie we wszystkich chorobach nerwów lub chorobach woli, naprzykład przy nerwowych bólach głowy, newralgii, neurastenii, bezsenności, blednicy, chorobach żołądkowych i kiszek, reumatyzm i t. p.

Zapewne, że nie w każdym wypadku zastosowania magnetyzmu zwierzęcego można liczyć na poprawę zdrowia, ale czyż przy zastosowaniu innych środków leczenia, te środki są niezawodne.

Gdyby nawet leczenie magnetyzmem przyniosło ludzkości minimalną korzyść, należy tę korzyść osiągnąć.

Nikt nie może zaprzeczyć, że tak zwani sławni lekarze, leczą tymi samymi środkami, co i ich przeciętni koledzy, jednak pacjenci wierzą bezwzględnie w doświadczenie i wiedzę pierwszych, a powątpiewają co do drugich. W tym jest cała tajemnica powodzenia.

Przytoczę tutaj znaną anegdotkę:

Pewien lekarz przepisał kobiecie, skarżącej się na bóle w boku receptę i oddając ją pacjentce, dodał:

— Więc pani przyłoży to sobie do boku i potrzyma przez całą noc.

Po pewnym czasie lekarz spotkał kobietę i spytał, czy lekarstwo poskutkowało.

Kobiecina podziękowała lekarzowi, gdyż bóle istotnie ustąpiły. Później się wyjaśniło, że kobieta, nie zrozumiawszy lekarza, przyłożyła do boku receptę, zamiast lekarstwa i recepta odniosła ten sam skutek. Magnetyzer przystępując do leczenia pacjenta, musi mieć na względzie przede wszystkim pragnienie poprawy jego zdrowia pacjent musi wierzyć w siłę magnetyzera. Wtedy sprawa leczenia pójdzie gładko. Jeżeli nie pomogą zabiegi zwykłe, to jest pasy, należy pacjenta pogrążyć w sen hypnotyczny, a wtedy pacjent bezwarunkowo będzie łatwiej reagował na metodę leczenia. Najnowsze badania w dziedzinie magnetyzmu zwierzęcego posunęły się dalej poza sferę leczenia chorób nerwowych.

Ponieważ mesmeryzacja niektórych części ciała ludzkiego powoduje zupełnie odrętwienie i znieczulenie ich, więc zaczęto stosować tę metodę przy bolesnych operacjach, a nawet przy porodach, i doświadczenia zostały uwieńczone doskonałym skutkiem. Przy tępieniu złych skłonności i przyzwyczajeń, szczególniej u dzieci, można uciekać się do zabiegów hypnotycznych systemem D-ra Liecheault'a lub Bernheima.

W połowie wieku dziewiętnastego mesmeryzm przeistoczył się w hypnotyzm i pierwszy raz tą nazwą zjawiska magnetyzmu zwierzęcego ochrzcił dr. James Braid. Dzisiejszy hypnotyzm polega na zmuszeniu pacjenta do zaśnięcia. Sen hypnotyczny właściwie niczym się nie różni od snu normalnego, jednakże w śnie hypnotycznym pomiędzy hypnotyzerem a pacjentem istnieje tak zwany „raport", czyli taki sen pacjenta, gdy ten ostatni słyszy tylko wyłącznie głos magnetyzera i czuje tylko jego dotknięcia, nie reagując zupełnie na dźwięki otoczenia, ani na dotknięcie osób obcych.

W stadium takim snu hypnotycznego, pacjent jest pozbawiony własnej woli, a istnieje dla niego wola magnetyzera. Wola magnetyzera może cudownie podziałać na zdrowie, lub umysł pacjenta, może jednak być wielce

szkodliwą, zwłaszcza, jeżeli magnetyzer jest człowiekiem nieuczciwym i zmusi pacjenta do czynów nieetycznych, a nawet zbrodniczych.

Kroki sądowe nieraz wspominają o zbrodniczych magnetyzerach, którym wymierzono zasłużoną karę. Hypnotyzm, który po większej części dzisiaj jest zabawką towarzyską, lub treścią seansów różnych domorosłych „yogów", ma bezwarunkowo przed sobą przyszłość, musi być jednakże badany i oceniany przez ludzi nauki, pragnących ulżyć ludzkości, a nie być przedmiotem eksploatacji szarlatanów.

Przytoczyłem w całości artykuł p. H. Wardęskiego, zamieszczony w redagowanych przeze mnie „Rzeczach ciekawych".

Czy mam podkreślać więcej?

Mesmer adeptem nie był. Podświadomie opanował siłę, kierowania która stanowiła właśnie tajemnice różnych magów, poprzednio przezemnie wyliczonych. Tylko kierowali oni tą siłą świadomie i na tym polegało ich „wtajemniczanie". Stąd wniosek się nasuwa, że klucza do zjawisk mesmeryzmu i hypnotyzmu szukać należy właśnie w magii.

ROZDZIAŁ XII

BIOGRAFIE NAJSŁYNNIEJSZYCH LUDZI, KTÓRZY ZAJMOWALI SIĘ WIEDZĄ TAJEMNĄ

Ze względu, iż w książce niniejszej pragnąłbym Czytelnika zapoznać z tymi, którzy w dziedzinie hermetyzmu odegrali pewną rolę, szczegółowo zaś, z braku miejsca, uczynić tego nie mogę — przytaczam w skróceniu biograficzne dane, tyczące się najsłynniejszych, na samym zaś końcu pomieszczam najwybitniejszych polskich spirytystów, okultystów i badaczy zjawisk nadprzyrodzonych.

Agrippa von Nettesheim (Henryk Korneliusz). Urodzony w Kolonii 1486 r., został przezwany Trismegistą. Był jednym z najbardziej wykształconych ludzi swej epoki. Z wykształcenia lekarz, poświęcił się całkowicie naukom tajemnym. Prześladowano go, oskarżając o czarownictwo — jednak wielu wybitnych mężów utrzymywało z nim zażyłe stosunki. Zmarł w nędzy w 1535 r. w Grenobli. Uważano Agrippę za wielkiego czarownika, a czarnego psa, nieodłącznie mu towarzyszącego — za zaprzyjaźnionego demona. Dalej twierdzono, że gdy Agrippa płacił złotem, później to złoto zamieniało się na łupiny. Nie wiele mu się to przydało — jak zaznaczyłem, zawsze był biedny, a podobne wieści świadczyły o głupocie współczesnych.

Z dzieł jego są najsłynniejsze: „De occulta philosophia“ i „O niepewności i próżności nauk“. W filozofii tajemnej daje teorię ewokacji duchów, na której to teorii opierają się współcześni okultyści, między innymi Papus.

Albert Wielki — znany również pod nazwami A l b e r t u s T e u t o n i c u s, F r a t e r A l b e r t u s, A l b e r t u s d e C o l o g n a, A l b e r t u s R a t i s b o n e n s i s, A l b e r t u s g r o t u s, biskup z Ratysbony ur. 1193 r. lub 1205. Wielce uczony dominikanin, prócz księgi magicznej, którą napisał, stworzył jeszcze słynny automat t. zw. a n d r o i d ę. Pracował nad tą maszyną trzydzieści lat i miała ona nie tylko się poruszać, lecz dawać nad wyraz mądre odpowiedzi na postawione pytania. Legenda głosi, iż Tomasz z Akwinu wstąpił z nią w dysputę i rozgniewany, że martwy przedmiot lepiej rozumuje od niego — porwał za kij i potłukł ją na kawałki.

Allan Kardec — twórca we Francji ruchu, zwanego spirytystycznym. Pierwszy publicznie wystąpił z teorią przeradzania się — reinkarnacji. Swego czasu pozyskał popularność olbrzymią. Ogłosił książki „L e l i v r e d e s E s p r i t s“, „L e l i v r e d e s m e d i u m s“ etc., które miał napisać pod wpływem dyktującego ducha. Urodził się w 1803 r. — prawdziwe nazwisko brzmiało: Hipolit Rivail.

Aksakow — znakomity rosyjski spirytysta końca XIX w. Napisał „Spirytyzm i animizm“.

Amphiarius (VI w. p. N. Chr.) — słynny komentator snów.

Apollonius z Tyany, patrz pop. rozdz.

Piotr z Apony, ur. 1250 r. koło Padwy, wielki czarnoksiężnik, którego portret, za czarownictwo, został spalony publicznie.

D'Arpantigny — twórca nauki o kształtach ręki — chirognomii.

Apuleusz — poeta i filozof grecki w II w. po N. Chr. Uchodził za wtajemniczonego, a różne misteria przedstawił w swym utworze „Metamorfozy“, lub „Osioł złoty“.

Bacon (Roger) — doctor mirabilis — zmarł w 1292

czy 1294 r. Jeden z największych uczonych średniowiecza. Napisał: „O p u s m a j u s“, „A l c h e m i c z n e z w i e r c i a d ł o“, „O c u d o w n e j p o t ę d z e s z t u k i i n a t u r y“ — w którym opisuje kamień filozoficzny.

Barlet (F—Ch.) znany francuski, współczesny okultysta. Napisał szereg ciekawych i cennych prac.

Bazyli Valentinus — żyjący w XIII lub XIV w. — pozostawił po sobie niezwykle rzadkie dzieło p. t. „A z o t h s i v e a u r e l i a e p h i l o s o p h o r u m“.

Dr. Bernheim (współcz.) twórca teorii o sugestii.

Bodinus Jan, słynny prawnik XVI w. Wsławił się specjalnie walką z czarownictwem. Napisał „Demonomanię“.

Besant Annie — przywódczyni, po Bławackiej, współczesnego ruchu teozoficznego. Autorka licznych dzieł teozoficznych.

Boehme Jakób (1576—1624) — z zawodu szewc, poświęcił się studiom nad iluminizmem i okultyzmem. Bóg był dlań potężnym alchemikiem, stwarzającym wszystko za pomocą dystylacji. Ogłosił w 1612 r. „Wschodzącą aurorę“ i inne pisma po łacinie, przetłomaczone później przez St. Martina.

Bozzano Ernest — (współcz.) autor spirytystyczny.

Borri Józef Franciszek, urodzony 1627 r. w Milanie. Alchemik królowej Krystyny i czarownik, skazany na śmierć zmarły w więzieniu, napisał b. ciekawy „K l u c z d o g a b i n e t u k a w a l e r a B o r r i“.

Bosc Ernest (współczesny), badacz misteriów starego Egiptu, napisał „Isis odsłoniona, lub „Święta egiptologia“.

Bławatska Helena Petrowna, patrz „Magia i Czary“.

Bricaud — głowa kościoła gnostyckiego. Patrz pop. rozdz.

Cagliostro, patrz poprz. rozdział.

Cahagnet (współcz.) autor „Magii magnetyczej“.

Conan Doyle — znakomity pisarz i głowa spirytystów Anglii

Calmet Dom, zmarły w 1757 r., uczony opat benedyktyński, napisał ciekawy traktat „O ukazywaniu się duchów".

Cardan Jeremi, ur. 1501 r. Zajmował się wywołaniem duchów, specjalnie złych. Jego dzieła: „O snach", „O subtelności demonów", „Metoposcopia" zawierają wiele cennych danych.

Crepieux (współcz.) napisał jedno z najlepszych dzieł o grafologii: „L'ecriture et le caractere".

Crookes Wiliam (współcz.). Jeden z twórców współczesnej szkoły badań psychicznych. Najwybitniejsze dzieła: „Badania nad spirytystycznymi zjawiskami" i „Siła psychiczna".

Delaage Henryk (współcz.). W książce „Wiedza o prawdzie" przedstawia starożytne wtajemniczenia.

Delancre (XVI w.). Słynny demonolog, spalił na stosie setki czarownic. Zmarł w 1630 r. Pozostawił po sobie dwa głośne dzieła: „Niewiara w czarownictwo pokonana" i „Obraz niewierności złych duchów i demonów".

Delanne Gabriel (współcz.). Jeden z najwybitniejszych francuskich spirytystów. Napisał: „Le Spiritisme devant la raison" i „La doctrine spirite".

Delrio Marcin Antoni (ur. w Anvers 1551 r.). Uczony jezuita, demonolog i prześladowca czarownictwa. Napisał: „Poszukiwania magiczne".

Desbarolles — ojciec współczesnej chiromancji. Napisał: „Des mysteres de la main" (tajemnice ręki) i szereg innych dzieł.

Durville Henryk. Współczesny okultysta. Napisał szereg książek m. inn. „La science secrete" (Wiedza tajemna).

Eckartshausen — pisarz okultystyczny XIX w.

Eliphas Levi, patrz „Magia i czary".

Etteila — pseudonim od Aliette, gdyż tak zwał się istotnie. Pierwszy usiłował dać klucz do Tarota. Lecz mało inteligentny, z zawodu fryzjer, poprzestał na banalnych i dowolnych komentarzach, choć sam z kart przepowiadał znakomicie.

Fabre D'Olivet. Jeden z ojców współczesnego okultyzmu, cieszący się olbrzymią powagą. Pracował specjalnie nad kabałą oraz oddawał się studiom języka hebrajskiego; z dzieł wybitniejszych: „La langue hebrajque restituée" (język hebrajski odbudowany) i „Katechizm zasad kabały".

Faria — słynny magnetyzer, autor „Studiów o naturze człowieka" i „Sen sztuczny" 1819 r.

Faust Jan XV w. Postać legendarna — miał być jednym z największych niemieckich czarnoksiężników.

Figuier Ludwik (współcz.) — popularyzator nauk tajemnych, specjalnie alchemii. Nap. „Alchemia i alchemicy".

Flammarion Kamil — (współcz.) słynny astronom i spirytysta, um. 1925 r.

Flamel Mikołaj XIV w. patrz „Magia i Czary". Jeden z najsłynniejszych alchemików średniowiecza. Zdobył tak wielkie skarby, iż własnym kosztem wybudował cztery szpitale i dwa kościoły. Pozostawił po sobie dzieła ciemne i niezrozumiałe.

Franck Ad. (współcz.) jeden z najlepszych komentatorów kabały. Por. rozdz. „O kabale".

Gall — twórca nauki o frenologii.

Gaffarel Jakób, jeden z najsłynniejszych kabalistów i uczonych erudytów okultyzmu. Specjalnie ciekawe są jego książki, tyczące się opisu sprzętów, używanych przy ceremoniach magicznych.

Gaufridi por. rozdz. „Słynne procesy".

Geley — (współcz.). Jeden z przywódców kierunku badań psychicznych. Zmarł tragicznie, na lotnisku mo-

kotowskim w Warszawie, podczas katastrofy samolotowej, wyruszając w drogę powrotną do Paryża.

Gibier, spirytysta współczesny. Napisał „Spirytyzm" i „Fakiryzm zachodni".

Guibourg — por. dalsze rozdz.

Grandier — por. „Słynne procesy".

Greatrakes Valentinus (XVII w.). Jeden z najsłynniejszych lekarzy cudotwórców. Cieszył się sławą tak wielką, że w 1667 r. był zawezwany na dwór króla angielskiego, lecz przerażony zaszczytami, jakie go spotkały, uciekł stamtąd do Wateford w Irlandii, gdzie żył w osamotnieniu. Leczył za pomocą nakładania rąk, posługując się, jakby współczesnym magnetyzmem.

Gregorius, niemiecki czarnoksiężnik, żyjący w XVII w., który dowolnie wywoływał zjawy umarłych, nawet w biały dzień. Najczęściej czynił to jednak w nocy na cmentarzach, w starych opuszczonych domostwach etc. Jak głosi podanie, czart w czasie takiej ewokacji go zadusił, a prościej będzie rozumieć, że nagle zmarł na serce.

Guaita Stanisław. Jeden z najsłynniejszych pisarzy okultystycznych doby współczesnej, uczeń Eliphasa Levi. Por. „Magia i Czary".

Hermes Trismegistos (Trzykrotnie wielki Merkury). Odpowiada bogowi Thot, lub egipskiemu Merkuremu — ma być ojcem wszech nauk XX w. do Chr. Przypisują mu nieskończoną ilość dzieł z zakresu okultyzmu — co nasuwa słusznie przypuszczenie, iż nie istniał w ogóle, a księgi napisane przez różnych ludzi, noszą, jako zbiorowość jego nazwisko. Klemens Aleksandryjski podaje katalog jego dzieł. Wśród nich najsłynniejszy: „Pimandes", przetłomaczony w 1574 r. w Bordeaux na język francuski.

Home. Słynne medium XIX w. i cudotwórca. Por. St. A. Wotowskiego „Duchy i zjawy".

Hipokrates (V w. do Nar. Chr.). Słynny lekarz, wielki miłośnik hermetyzmu. Leczył nieznanymi środkami, pozostawił traktat „O snach".

Jakób I, król angielski XVI w., wielki erudyta; znawca nauk tajemnych. Napisał „D e m o n o l o g i ę", w której udowadniał, iż czarownicy utrzymują kontakt z czartem. Prócz tego „Komentarz do Apokalipsy" — wielce naiwny.

Jamblicus — komentator i pisarz okultystyczny pierwszych wieków chrześcijaństwa. Podaje sposoby zaklęć i wywoływania duchów.

Krisznamurti — współczesny prorok hinduski i wedle teozofów, inkarnacja nowego mesjasza.

Kircher Anastazy. — Jezuita urodzony 1602 r. w Niemczech — zmarły 1680 r. w Rzymie. Zajmował się siłami niewidzialnymi, alchemią i hieroglifami. Przeczuł, przed Mesmerem, potęgę magnetyzmu, napisał „Magnes, magneticum seu de triplici in natura magnete".

Lowski Wincenty (zm. w Gdańsku r. 1488) — słynny alchemik polski.

Lavater — twórca nauki o fizjonomistyce.

Lenormand — słynna wróżka z kart, początku XIX w.

Lucas (współcz.) — starał się zgłębić metody okultystycznego leczenia. Z zawodu znakomity chemik, oficjalną naukę zestawia z hermetyzmem.

Lombroso — znakomity kryminolog i spirytysta.

Leadbeater — współczesny pisarz okulistyczny, twórca teorii o aurze, otaczającej człowieka.

Loyer Piotr, ur. 1550. Słynny demonograf. Zadedykował Bogu swój „Traktat o widmach i duchach".

Des Mousseaux i Mirville — demonolodzy końca XIX w., tłomaczący zjawiska mediumiczne współdziałaniem szatana.

Merlin — Czarownik francuski V w., w rodzaju Fausta i Twardowskiego, często wspominany. Postać legendarna.

Mesmer, patrz poprz. rozdziały.

Michelet Emil (współczesny) — napisał szereg dzieł, między innymi „Ezoteryzm w sztuce", „Czarownicę" etc.

Mickiewicz Adam zajmował się wielce sprawami nadprzyrodzonymi i sam („Pisma Odyńca") robił doświadczenia z zakresu telepatii.

Molay W. Mistrz Zakonu Templariuszy — patrz poprz. rozdz.

Moreau (XIX w.), chiromanta, który przepowiedział Napoleonowi I jego klęskę.

Naudè Gabriel — Historyk i bibliograf francuski XVII w., usiłował w swych pismach, daremnie przeciwstawić się prześladowaniom czarownictwa i czarownic, co tylko miało za rezultat, iż sam został ogłoszony za czarnoksiężnika. Napisał: „Apologię wielkich ludzi, posądzonych o magię".

Nostradamus (1503—1566). Jasnowidz, przepowiadający przyszłość. Ogłosił w 1555 r. swe słynne „Centuries", w których wówczas wieścił Wielką rewolucję francuską i przewroty w Europie.

Nus Eugeniusz (współczesny). Spirytystyczny pisarz, autor książek: „Wielkie tajemnice", „Sprawy z tamtego świata", „Nowe dogmaty" etc.

Olcott — towarzysz Bławackiej, wybitny teozof.

Ochorowicz Julian — słynny polski uczony, zmarły przedwcześnie, twórca naukowego badania zjawisk medialnych. Za życia znosił ciągłe napaści prasy, dziś uchodzi u nas i zagranicą za jedną z największych powag. Do dzieł najwybitniejszych Ochorowicza należą: „Zjawiska mediumiczne", „Wiedza tajemna Egiptu" etc.

Papus — słynny współczesny okultysta francuski. Por. „Magia i czary".

Paracelsus, patrz poprz. rozdz.

Pasqualis Martinez lub Martines Pasqually. Twórca odłamu wtajemniczenia, w 1757 r., nazwanego „marty-

nizmem". Uczniem jego był Saint Martin. Długi czas Martinez Pasqualis zamieszkiwał w Lyonie, gdzie poświęcał się organizacji związków tajnych. Wyjechał w sprawach majątkowych na Martynikę, tam umarł. Najlepszą jego biografię napisał Papus.

Peladan Józefin, współczesny pisarz okultystyczny i założyciel Katolickiego Związku Rożokrzyżowców. Romanse Peladana dla wtajemniczonych budziły namiętne dyskusje. Najwybitniejsze: „Jak zostać magiem", „Jak zostać czarodziejką", „Jak zostać artystą" etc.

Pic de la Mirandole Jan — uczony wszechstronny, XV w., napisał „Conclusiones philosophicae, cabalisticae, teologicae".

Postel Wiliam — patrz poprz. rozdz.

Du Potet baron (współczesny) słynny magnetyzer i okultysta, autor „Magii odsłonionej", „Kursu magnetyzmu" etc.

Pytagoras (500 r. do Chr.). Słynny wtajemniczony, odsłonił swym uczniom ezoteryczne tajemnice. Wykładał zapomocą liczb.

Rais Gilles de la Laval — satanista. Patrz „Magia i czarv".

Richet Karol — jeden z najwybitniejszych współczesnych badaczy zjawisk psychicznych.

Rugieri Cosma XVI w., nadworny astrolog Katarzyny Medici, autor licznych ksiąg okultystycznych, skazany w 1574 r. na śmierć, za czarnoksięstwo.

Rajmond Lulle patrz poprz. rodz.

Rochas pułkownik, współczesny, znakomity eksperymentator starający się przy pomocy magnetyzmu, ustalić możliwość średniowiecznych praktyk magicznych. Por. „Magia i czary".

Saint Germain patrz poprz. rozdz.

Saint Martin Ludwik Klaudiusz, margrabia, lub „filozof nieznany" ur. 18 stycznia 1743 r. zmarły 1783 r. Po-

święcił się na początku karierze wojskowej, lecz zetknąwszy się w Lyonie z Martinesem de Pasqualis — zarzuca służbę i całkowicie oddaje się studiom nad hermetyzmem. Aczkolwiek tak samo, jak mistrz czyni ewokacje i zna ich teorie — idzie drogą więcej teoretyczną i mistyczną. Jest istotnym założycielem wraz z Willermozem „martynizmu", wskrzeszonego w dobie ostatniej przez Papusa. Z dzieł Saint Martina są najwybitniejsze: „Tableau entre Dieu, l'homme et l'univers" („Obraz naturalny stosunków, zachodzących pomiędzy Bogiem, człowiekiem a wszechświatem"), De l'Esprit des choses" („O duchu rzeczy"). „l'Homme des desris" („Człowiek pożądań") etc.

Saint Ives d'Alveydre. Historyk-okultysta, twórca t. zw. „teorii synarchii", który w swych pismach przedstawia utopijne idealne ustroje, oparte na rządach wtajemniczonych. Z dzieł najgłośniejsze: „Misja Żydów", „Misja Indii w Europie". „Misja monarchów" etc.

Sedir — francuski pisarz okultystyczny, współczesny, nieco mistycznego kierunku.

Schrenck Notzing bar. — eksperymentator i pisarz współczesny. Wraz z Karolem Richetem, Geley'em i innymi — twórca naukowego systemu badania zjawisk mediumicznych. Seansował z polskim medium Stanisławą Popielską.

Schroepfer — jeden z najpotężniejszych „wywoływaczy" duchów XVIII w. Ewokacje swoje czynił Schroepfer magicznym sposobem, przy pomocy kadzideł, zaklęć i kół. Przeważnie pojawiały się istności przerażające i złośliwe. Po jednym z takich seansów, pod wpływem ujrzanych widziadeł — Schroepfer — niezwykle zdenerwowany, — wystrzałem z pistoletu, odebrał sobie życie.

Swedenborg Emanuel. — Słynny jasnowidz i iluminat szwedzki XVIII w. Por. moje „Tajemnice życia

i śmierci“. Początkowo wysoki urzędnik, koniec życia poświęcił całkowicie badaniom zaświatów i utrzymywał, iż odbiera stamtąd komunikaty. Dawał liczne dowody jasnowidzenia. Napisał szereg dzieł. Z nich najciekawsze: „O niebie, jego cudach i o piekle“, „Prawdziwa religia“, „Apokalipsa odsłoniona“ etc.

Steiner Rudolf — zmarły przed paru laty mistyk niemiecki, lekarz cudotwórca i pisarz, nieco zbliżony do teozoficznego kierunku.

Sędziwoj — alchemik polski XVI w. Żywot jego został opisany przez Dziekońskiego w powieści p. t. „Sędziwój“.

Sinnet — pisarz teozoficzny doby współczesnej.

Trętowski — uczony i pisarz polski XIX w., autor „Demonologii“.

Twardowski — legendarny czarnoksiężnik polski. Por. nast. rozdz.

Towiański — polski mistyk XIX w., twórca t. zw. „mesjanizmu“; wywarł olbrzymi wpływ na Mickiewicza.

Villiars — znakomity kabalista i wtajemniczony autor „Hrabiego Gabalisa“, za odsłanianie tajemnic niedozwolonych, zamordowany rzekomo przez nieznanych sprawców, na drodze do Lyonu w 1673.

Wallace. — Współczesny spirytysta, autor książki „C u d a i s p i r y t u a l i z m w s p ó ł c z e s n y“.

Vintras — założyciel sekty okultystyczno-religijnej końca XIX w. Czynił „cuda“ — specjalnie, gdy ujmował hostie w swe dłonie — poczynała z nich płynąć krew.

Vurgey — współczesny rożokrzyżowiec, autor książki „Trzy zastosowania microcosmu“.

Wierus Jan — okultystyczny pisarz XVII w. Uczeń Korneliusza Agrippy, pierwszy począł występować przeciw walce z czarownicami i przesądom. Pozostało po nim wiele ciekawych i cennych dzieł z zakresu magii.

Hoene-Wroński — słynny uczony i filozof polski połowy XIX w., autor licznych dzieł z zakresu filozofii transcedentalnej. Pisał niezwykle ciemno, zawile i mglisto. Wiele ustępów po dziś dzień pozostało niezrozumiałych. Ścisły spis jego utworów podaje Papus w „Traité methodique des sciences occultes". Wroński wytworzył całą szkołę, która w dobie dzisiejszej stara się go skomentować.

ROZDZIAŁ XIII

OKULTYZM WSPÓŁCZESNY POLSKI

Obecnie w Polsce okultyzm jakby zamierał, a największy jego rozkwit datuje się pomiędzy 1924—1928 r. Wówczas istniał szereg Towarzystw naukowych w Warszawie i Polsce, badających zjawiska nadprzyrodzone— lub jak określa to inny kierunek zjawiska psychiczne. Wybitni ich członkowie, którzy położyli wiele zasług w tej dziedzinie poumierali, a niektóre Towarzystwa uległy likwidacji..

Z Towarzystw, jakie w badaniu zjawisk psychicznych odegrały swego czasu znaczną rolę, należy wymienić następujące:

Polskie Towarzystwo Badań Psychicznych (prezes ś. p. Piotr Lebiedziński, prof. Gravier etc.).

Towarzystwo Metapsychiczne w Warszawie (prezes ś. p. dr. Habdank Watraszewski, p. Pawlikiewicz etc.).

Warszawskie Towarzystwo Psycho-Fizyczne (prezes p. Prosper Szmurło, autor wielu książek treści okultystycznej).

Wszystkie te trzy Towarzystwa złączyły się obecnie w Tow. Metapsychicznym, którego prezesem jest p. dr. Tadeusz Sokołowski.

Prócz tego działają: Tow. Metapsychiczne w Krakowie, Tow. Badań Psycho-Fizycznych ziemi Piotrkowskiej, Tow. Metapsychiczne im. Jul. Ochorowicza we Lwowie i Wileńskie Tow. Badań Psychicznych.

Zaznaczyć jednak należy, że wszystkie wyżej wymienione Towarzystwa nigdy nie miały ściśle okultystycznego charakteru, i jak już nadmieniłem, szły wy-

łącznie w kierunku psychicznego, lub też spirytystycznego badania supra normalnych objawów.

Natomiast, ściśle okultystyczny kierunek reprezentowało **Towarzystwo Studiów Ezoterycznych** (zlikwidowane w 1927 r.), idące drogą zachodniego wtajemniczenia, w którym wygłaszano liczne odczyty z dziedziny ezoteryzmu i magii. Pod egidą Towarzystwa istniał „Instytut wiedzy hermetycznej“, wzorowany na paryskim instytucie tejże nazwy — prowadzonej przez ś. p. Bogdana Filipowskiego i ś. p. Henryka Blocha.

Obecnie zaś istnieją tylko:

Polskie Towarzystwo Teozoficzne — reprezentujące wschodni kierunek wtajemniczenia, które ze swego punktu widzenia oświetla w publicznych wykładach (p. Wanda Dynowska, p. Karasiówna etc.) sprawy okultyzmu.

Poza tym: **Instytut mesjaniczny w Warszawie** — opierający się na nauce Hoene Wrońskiego (p. Paulin Chomicz), **Synarchiści polscy** w Warszawie, propagujący ideę synarchii i starający się odegrać polityczną rolę, wreszcie **Loża Rycerzy Ducha** — okultystyczno-filozoficzne towarzystwo w Hucie Królewskiej.

SPIS GŁÓWNIEJSZYCH AUTORÓW POLSKICH

doby ostatniej, ściśle okulistycznych, lub piszących o magii i czarownictwie ze stanowiska historyczno-prawno-obyczajowego:

Berwiński. — „Studia o gusłach, czarach i przesądach ludowych" (hist.-obycz. 1862 r.).

Dr. S. Breyer. — „Z pogranicza zaświatów", Kraków.

W. Chłopicki. — Wybitny przedstawiciel ruchu spirytystycznego w Polsce. Redaktor „Dziwów życia", autor — „Z teki spirytysty" etc.

Dr. Czyński Czesław — (Puhar Bhava) — uczeń Papusa, mag zachodniego kierunku, autor — „Wycieczki astralne", „przepowiednie" etc.

Domańska Jadwiga. — Znane polskie medium rewelacyjne, autorka „Dziwów życia" etc.

I. B. Dziekoński. — „Sędziwój" — w formie powieściowej przedstawione dzieje znanego alchemika polskiego.

Dr. Habdank F. — zebrał i ułożył rewelacje J. Domańskiej, zawarte w książkach: „Karta z zamkniętej księgi bytu", „Rewelacje Grzegorza VII, papieża", „Z tajnych dziedzin ducha'", „Z zaświatów" i „Żyjemy".

J. Jankowski. — „Zjawiska psychiczne i ich badanie".

Jastrzębska Natalia. — Zjawiska spirytyzmu".

Kraushar Aleksander. — „Czary na dworze Batorego".

Inż. F. Libański. — „Tajemnice zjawisk spirytystycznych".

Matuszewski Ignacy. — „Czarnoksięstwo i mediu-

mizm", 1896 r., — znakomite studium z dziedziny magii oraz „Diabeł w poezji" (lit.-obycz.).

Ks. M. Nitecki. — „Zjawiska spirytystyczne w świetle nauki i objawienia" — właściwie studium demonologiczne, starające się zjawiska spirytystyczne wytłumaczyć współdziałaniem szatana.

Myrtha Noel. — jasnowidząca i okultystka, autorka „Tajemnic amuletów", „Bajek wschodnich" etc.

Dr. Julian Ochorowicz. — Znakomity uczony polski, zwolennik mediumistycznego traktowania zjawisk seansowych, autor licznych pism w tym kierunku, specjalnie zaś w zakresie okultystycznym książki „Wiedza tajemna Egiptu".

Przybyszewski Stanisław. — Znakomity autor polski, niejednokrotnie w swych powieściach zajmujący się magią i czarownictwem. Z utworów niepowieściowych wymienić należy „Synagogę szatana" — opis sabatów, czarnych mszy i satanistycznych praktyk oraz niewydany odczyt „Tajemnice kart do gry", w którym St. Przybyszewski dawał znakomite komentarze kabały i tarota.

Smoleński Władysław. — Znakomity historyk polski napisał studium hist.-obycz., zatrącające o czarownictwo p. t. „Wiara w życiu społeczeństwa polskiego w epoce Jezuickiej" (1883 r.).

Szmurło Prosper. — Prezes Tow. Psycho-Fizycznego, red. „Zagadnień Metapsychicznych", autor „Świata nadzmysłowego" oraz całego szeregu artykułów treści okultystycznej.

Świętochowski Aleksander. — „O prześladowaniu diabła w Polsce" — studium historyczno-obyczajowe („Przegląd Tygodniowy" 1877 r., № 2—5).

Magister Trojanowski Stefan, autor szeregu książek treści okultystycznej m. in. „Parapsychologii" etc.

Tuwim J. — Współczesny wybitny poeta polski, niejednokrotnie piszący dzieła ściśle okultystyczne: „Cza-

ry i czarty polskie“, „Czarna msza“, „Tajemnica amuletów i talizmanów“ etc.

Reymont W. St. — Wielki pisarz polski, napisał powieść okultystyczną p. t. „Wampir“. Był członkiem redakcji „Zagadnień Metapsychicznych“.

Dr. Rothe Adolf. — „Rys dziejów psychjatrii w Polsce“, 1893 r. — traktujący o czarownictwie z punktu lekarskiego.

Dr. Rosenblat. — „Czarownica powołana“, 1883 r. — studium obyczajowo-historyczne o czarownictwie w Polsce.

Wawrzeniecki Marian. — Art. malarz, opisał, na zasadzie starych akt, parę wypadków procesów czarownic.

Wójcicki Bolesław. — Okultysta zachodniego kierunku, napisał studium p. t. „Diabeł“ — rozpatrujące, ezoterycznie, istnienia szatana, jako osoby.

Wojciechowski W. — „Mesjanizm polski“ — studium historyczno-okultystyczne o mesjanizmie i mistykach polskich.

Wyczałko K. — Nauka a okultyzm“, 1926 r.

Wysocki Antoni. — „Zabawy mędrców“ — w powieściowej formie przedstawione dzieje magii w Polsce w XVI w., specjalnie studia nad magią, czarownictwem i wiarą w diabła w Akademii Krakowskiej.

Wydawnictwa Książnicy Wiedzy Duchowej (Katowice, red. Aleksander Borys, wydawca J. Chobot) — cały szereg dzieł okultystycznych, jako to: „Wiedza Tajemna“, „Wstęp w światy nadzmysłowe“ I. A. S., „Królestwo ducha“ — Kołodzieja, „Pod znakiem wodnika“ — Kołodzieja, „Życie na ziemi w zaświecie — czyli wędrówka dusz“ — A. P., Książki dr. Zubrzyckiego etc.

Wydawnictwa Instytutu mesjanicznego w Warszawie — część dzieł znakomitego filozofa i okultysty polskiego Hoene-Wrońskiego.

ROZDZIAŁ XIV

KULT CZARTA I SABATY

Stanisław de Guaita tak opisuje sabat.

„Zapadła noc. Sierp księżyca rzuca słabe światło na równinę. Wkrótce zaczynają się zbierać straszliwe potwory nocne: ledwie dostrzegalne oku larwy, fruwające żaby, krokodyle o błyszczących, jak węgle oczach, smoki o skrzydłach nietoperza, koty olbrzymy — o długich, miękkich wężowych łapach.

Oto krążą w powietrzu, na miotłach, nagie postacie kobiet. Z rozwianym włosem, śród krzyków i pisków, opuszczają się na polanę.

Jedna z wiedźm powtarza zaklęcia tajemnicze; w ręku trzyma pochodnię z suchego zielska, drugę ręką miesza w tyglu i krzyczy chrapliwie: „aje — saraje, aje saraje!"

Z głębi tygla, śród iskier, wyskakuje jakaś istota niewielka. To szatan — „maitre Leonard!"

Czarownica ze czcią wita szatana. Szatan rośnie w oczach i zmienia się w olbrzymiego kozła, z ogromnymi, zakręconymi rogami. Kozioł otoczony jest aureolą światła, wstrętny smród rozchodzi się od jego cielska.

Tysiące błędnych ogników pokrywa równinę. Jeden ognik osiada między rogami szatana, niby gwiazda. Ze wszystkich stron zlatują się na miotłach czarownicy, wiedźmy i demony.

Śród krzyków „har, har, Sabat!" — przybyli na ucztę gromadzą się dookoła kozła — gospodarza sabatu a ten podaje wszystkim łapę... do pocałunku.

Jednak, podczas pocałunku, każdy czarownik doznaje wrażenia, iż całuje czarowne usta kobiety, jakie namiętnie pocałunek oddają. Wrzosy i cyprysy goreją różnobarwnymi ogniami na polanie. W powietrzu dźwięczą melodie, zagłuszone wrzaskiem zebranych.

Maitre Leonard zasiada na złocistym tronie i rzutem oka opanowuje obecnych. Staje przed nim marszałek dworu, z laską rzeźbioną w ręku i sprawdza listę przybyłych.

Nagle zrywa się huragan, a śród wichru, spada na równinę czarny baran z gorejącymi ślepiami, niosąc na sobie nagą cud dziewicę. To królowa sabatu! Dziewica płacze, ze wstydem zakrywa twarz lasem rozpuszczonych włosów.

Szatan wita dziewicę. Zaczyna się czarna msza. Wiedźmy kopią dołek. W dołek ten szatan leje wstrętną, tajemniczą ciecz. Jest to woda do pokropienia wiernych.

Na ołtarzu złożono królowę sabatu. Zebrani obchodzą uroczyście ołtarz, na którym czart — dokonywa poświęcenia dziewicy i innych piekielnych ceremonii. Następnie królowę nacierają maścią. Dziewica może teraz tu wznieść w powietrze.

Tymczasem rozpoczyna się taniec sabatu. Mężczyźni i niewiasty tańczą plecami do siebie, złączeni rękoma. Wczasie zabawy i tańca, krążą dokoła ołtarza, w takt piekielnej sarabandy... później następuje orgia. Z wyżyn swego tronu czar przygląda jej się złośliwie. Wszystkie te dusze już należą do niego i panuje nad nimi niepodzielnie. Maleńkie ptaszyny krążą nad głowami zebranych i szczebiocą pieśń — na cześć Lucyfera!

Na piersiach królowej sabatu przyrządzają symboliczny placek. Wszyscy obecni spożywają placek, śród zaklęć i śpiewu.

Następnie zasiadają do uczty. Wiedźmy przygotowały zupę z ziela o tajemniczych własnościach z... trupów dzieci, zmarłych bez chrztu. Dziwaczne potwory roznoszą potrawy i napoje. Wszyscy jedzą i piją, a śród uczty rozlega się straszny, ochrypły głos:

— Zemsty, zemsty, lub śmierci!

Z ust czarta sypie się jakiś pył, spadają jakieś ziarnka — zbierają je skrzętnie czarownice, chowają do worków i toreb. Z proszków tych można przygotować lubczyk — napój miłosny — krople do otrucia, lub odebrania rozumu.

Tymczasem na horyzoncie zjawiają się pierwsze blaski jutrzenki. Potworny kozioł zmienia się nagle w olbrzymiego koguta o płomienistym grzebieniu. Kogut pieje — zebrani spiesznie znikają. Sabat się skończył!“

Tak opisuje, wedle danych ze średniowiecznych procesów, Stanisław de Guaita sceny potworne sabatu. Również w literaturze polskiej odnajdujemy podobny opis — w „Synagodze Szatana“ St. Przybyszewskiego, może jeszcze straszliwszy.

Zestawiwszy te opisy — zadać musimy pytanie: czyż sabaty były czymś realnym i czy czarownicy na nich bywali istotnie?

Tu rozróżnić należy dwa wypadki.

Jednym wydawało się tylko, iż na sabacie byli, pod wpływem odurzających maści, którymi się przedtym natarli — inni zaś istotnie przyjmowali udział w satanistycznych zgromadzeniach, lecz, oczywiście, pozbawionych fantastycznych dekoracji.

Więc...

Lekarz przyboczny papieża Juliusza III, Andreas de Lagune (1498-1565) opisuje następujące doświadczenie, jakiego dokonał w 1546 r. W pewnym miasteczku aresztowano męża i żonę pod zarzutem uprawiania kultu szatana. Podczas rewizji, w ich mieszkaniu, znaleziono sło-

ik napełniony jakąś maścią. Lagune przedsięwziął analizę maści i stwierdził, że składała się ona z mięszaniny mandragory, szaleju i innych roślin, zawierających narkotyki. Jedna z jego pacjentek cierpiała na bezsenność. Lekarz kazał jej natrzeć członki ową maścią. Spała potem trzy godziny, spałaby i dłużej, gdyby jej nie zbudzono za pomocą środków leczniczych. Zbudzona, skarżyła się i żałowała bardzo, że jej przerwano rozkoszny sen — wyrwano ją z objęć pięknego mężczyzny.

Jeszcze ciekawsze doświadczenia nad maściami czarownic, czynił niedawno zmarły, uczony badacz okultyzmu, Niemiec Kiesewetter. W Bawarii rozwalono starą turmę, w której więziono wiedźmy i znaleziono w niej szereg słoików. Dostarczono je Kiesewetterowi — a ten począł czynić eksperymenty na samym sobie i opisywał potworne wizje jakich doznawał.

Więc natarł proszkiem z nasienia szaleju t. zw. dołek pod klatką piersiową. Doznał uczucia lotu powietrznego w górę, gdzieś pod niebiosa. Uczucie nieznanej lekkości owładnęło jego członkami.

Po natarciu inną maścią, przeżywał we śnie, podróże po morzach i krajach podzwrotnikowych — kiedyindziej zdawało mu się, że uczestniczy w jakichś szatańskich zgromadzeniach. Rezultat doświadczeń był smutny. Snać Kiesewetter nie umiał należycie obchodzić z narkotykami, gdyż dnia pewnego, znaleziono go w gabinecie, martwym.

Mamy więc rozwiązanie pierwszej części zagadki — pod wpływem narkotyków czarownikom zdawało się, iż istotnie przyjmowali udział w sabatach — i dlatego z takim realizmem, podczas procesów, opisywali fantastyczne sceny. Pod wpływem środków podniecających, wpadali oni w histerię i życie prowadzili, jakby w półśnie.

Lecz to nie wszystko. Zebrania odbywały się istotnie. Nie zasiadał na nich wprawdzie mistrz Leonard i larwy nie podawały potraw i napojów. Baran z dzie-

wicą nie spadał z nieba i czart nie prezydował na tronie. Ale w głębi lasów, w ukryciu, tańczyły satanistyczne bandy. Wzywano głośno szatana, aby przybył, a że w zepsuciu i głupocie sądzili, iż najpewniejszym sposobem przyciągnięcia czarta, jest popełnianie tysięcznych występków, sabaty zamieniały się w potworne orgie.

Kim byli ci ludzie?

Odpowiedź łatwa. Degeneraci, na pół obłąkani, lub otumanieni nędzarze, którzy sądzili, że czart za cenę potwornego kultu, da im niezmierzone bogactwa.

— — — — — — — — — — — —

W jaki sposób wchodził czarownik w bezpośredni kontakt z diabłem?

Wywoływał czarta magicznymi sposobami, o których mówiłem w mojej książce „Magia i czary“, a gdy książe piekieł się zjawiał, zawierał z nim pakt: za tyle lat szczęśliwości — sprzedaję ci moją duszę. Wedle podań i legend, czart rozkazywał podobny cyrograf podpisać krwią własną... i sprawa była załatwiona. Odtąd sprzedający duszę, przez czas pewien, był najszczęśliwszym człowiekiem, o ile nie gryzły go wyrzuty sumienia — później zaś z wielkim łoskotem i śród dymu siarki — leciał do piekła.

Czy pakty takie były zawierane? Zdaje się przeważnie w fantazji ludowej, mimo że czasem demonolodzy z wielkim triumfem, pokazywali podobne, jakoby autentyczne, cyrografy. Wiemy o dwóch wypadkach, wprawdzie z legend, gdzie diabeł poszukiwał swych wierzycieli, pragnących uniknąć w terminie, wykonania umowy: jednym z nich miał być niemiecki czarnoksiężnik Faust, zaś drugim — nasz rodzimy Twardowski.

ROZDZIAŁ XV

O CZARACH W DAWNEJ POLSCE

Nim przejdę do opisu żywota pana Twardowskiego i czynionych przezeń dziwów, słów parę poświęcić muszę sprawie czarownictwa w dawnej Polsce.

Historia magii w Polsce nie znalazła swego dziejopisa.

Cała trudność polega na tym, iż nie było u nas magów wybitniejszych, którzyby potrafili skupić na sobie uwagę współczesnych. Nie mieliśmy, ani polskiego Agrippy, ani polskiego Paracelsa, ani Cagliostra — z nazwisk zaś, które się przechowały — alchemika Sędziwoja i czarownika Twardowskiego — pierwszy stale działał zagranicą, zaś drugi jest raczej legendarną osobistością.

Tymczasem w Polsce istnieć musieli adepci i to wcale wybitni. Jeśli dotychczas pozostali nieznani — winą temu brak należytych poszukiwań śród archiwalnych dokumentów.

Wszak wszechnica Krakowska, narówni Toledańską i Salamancką, słynęła jako główne ognisko badań czarodziejskich w Europie. Stara biografia Fausta powiada, że doktór niemiecki udał się do Polski, do Krakowa „sławnego z czarnoksięstwa przed laty uniwersytetu", a Górnicki w „Dworzaninie" wspomina o pewnym miłośniku wiedzy tajemnej, który wielce żałował „iż się na ten czas nie urodził, kiedy jej w krakowskich szkołach jawnie uczono".

Z dzieła z r. 1570 p. t. „Postępek prawa czartowskie-

go przeciwko narodowi ludzkiemu" dowiadujemy się, że „wielu jest w Polsce takich, co się w tych naukach czartowskich obierają, szkodzą duszy i ciału i znałem takich w i e l e, zwłaszcza tych, którzy się wizjami nikczemnymi zwierciadłem parali (katopromancja), szukając skarbów, albo wiertunków kruszcowych w ziemi (str. 116). W innym miejscu czytamy: „Druga nauka czarnoksięstwa jest, którą zwą t e o r g i ą (magia biała). Jej mistrz był Amaldel. Tę to sobie mają za pobożną, gdyż w niej jest wiele imion i karakterów boskich i anielskich. Ta chce wielkiej chędogości i dobrego żywota wiedzenia w swoich sprawach, aby im dobry duch był posłuszen, chce chędostwa na umyśle, w domie, szaciech, w naczyniu, ubierze, piciu etc."

Dalej niektóre szczegóły wyłowić możemy z dziełka, poświęconego magii p. t.

Thesaurus Magicus domesticus, sive aprobatus niger libellus I. E. R. S. in extrema necessitate dicendu. Cracovia post partem salutis A. 1637.

Bezimienny autor powiada, że treść tego dzieła wyciągnął z ksiąg dawnych i w ł a s n e g o d o ś w i a d c z e n i a i że mimo p r z e ś l a d o w a ń, ogłasza je drukiem, pragnąc przysłużyć się bliźniemu wiadomościami, których w p r z e c i ą g u 3 7 l a t p r a k t y k i c z a r o d z i e j s k i e j n a b y ł. Napomina ludzi, pragnących z jego nauki korzystać, aby się z sobą porachowali i rozważyli, czy mają dosyć odwagi obcować z duchami, czy mają czyste sumienie i są ludźmi bez zmazy i zapewnia, że jeśli odpowiedzą tym warunkom, mogą bezpiecznie oddać się czarodziejskiemu rzemiosłu i wiele przezeń nagromadzić skarbów. (Matuszewski. „Czarnoksięstwo" str. 214). Potem idą przepisy identyczne niemal zupełnie z tymi jakie odnajdujemy w Philosophia Oculta, Clavicula Salomonis, Ars Almadel, Opus majus, Magia ceremonialis, Pseudomonarchia daemonum etc. —skąd wniosek wyciągnąć na-

leży, iż bezimienny autor, mimo zapewnienia o swym doświadczeniu — po prostu skomplikował najbardziej znane zachodnie hermetyczne księgi.

Znajdujemy takie uwagi:

Duch pokazuje się najczęściej w postaci ludzkiej, to jako strzelec, to chłop, młynarz, nawet satyr leśny. Bywa niekiedyś, że jego przybycie, poprzedza wicher, lub skrzypienie zawiasów u drzwi i okien.

Dobrze jest przed rozpoczęciem ewokacji, zwierzyć się księdzu (?) i wysłuchać Mszy Św., tym bowiem sposobem uniknie się łatwiej niebezpieczeństw, grożących duszy i ciału zaklinacza. Tyle możemy powiedzieć o Thesaurus magicus domesticus i o bezimiennym jego autorze.

Wszystko to jednak potwierdza fakt, że u nas kwestią magii i okultyzmu zajmowano się. Wszak na dworze Stefana Batorego („Czary na dworze Batorego" Aleksander Kraushar) słynny angielski mag XVI w., John Dee, w obecności króla, Olbrachta Łaskiego i innych magnatów czynił cuda niemałe, całkowicie zbliżone do produkcji dzisiejszych mediów. „Nad głową Johna Dee formowała się spora kula, złożona z białej pary, z której wyłaniała się duchowa istota, mianująca samą siebie aniołem Ilem." W zdumienie wprowadzały fenomeny dwór cały — nikomu jednak do głowy nie przychodziło oskarżyć maga — medium ... o stosunki diabelskie. Z tego jednak nie wynika, aby prześladowanie czarodziejstwa nie istniało w Polsce, o czym powiem na osobnym miejscu.

Skoro więc grunt tak był przygotowany — czemu nie miał się pojawić Twardowski? Rozpatrzmy bliżej sprawę.

ROZDZIAŁ XVI

CZARNOKSIĘŻNIK TWARDOWSKI

artykuł K. Wł. Wojcickiego pom. w 1862 r. w „Tyg. Ilustrowanym.“

Hulaj dusza, bez kontusza
Kiedy dają jeść i pić;
Niech honoru nikt nie rusza
Jakiem szlachcić, będą bić.
Przez łeb kresa, w mieczu szczerb,
A na czole z wina pąs
To mojego rodu herb
Golę brodę, wara wąs.
Przyjdą djabli, ja do szabli
Czapka na bok, poły w pas
Gdy się zbliżą, chlust dwa krzyże...
Gdzież są djabli? — nie ma was.
(J. N. Kamieński)

W bogatym wieńcu podań narodowych, które nam przeszłość na drogę żywota naszego rzuciła, wydatnieje szczególną bujnością fantazjji podanie o Twardowskim czarnoksiężniku.

Sława jego śmierci brzmi dotąd po całym obszarze ziemi naszej; znany jest zarówno pomiędzy szlachtą, jak i ludem wiejskim. Zasługuje to na uwagę, że tylko jedynego tego szlachcica pamięć zachował lud nasz w swoim podaniu. Maksymowicz w zbiorze pieśni Małoruskich mówi, że lud nawet w okolicach Kijowa śpiewa dotychczas pieśni o Twardowskim.

Lud mówiący narzeczem polskim nie przechował o nim pieśni, ale krążą o tym czarnoksiężniku dotąd rozliczne podania. Skąd był rodem Twardowski, niewiadomo.

Stara tradycja podaje, że się rodził pod Krakowem Był prawdziwy karmazyn, to jest szlachcic herbowy, po mieczu i po kądzieli. Chociaż lubił pohulankę, pomimo to od lat młodych pilnie się uczył i ślęczył szczególniej

przy długich wieczorach i nocach zimowych nad księgami. W przeszłym jeszcze roku pokazywano w Krakowie dom, niedaleko bramy Grodzkiej, w którym Twardowski zamieszkiwał, gdzie czytywał nocami i gdzie przy połysku kagańca, jak wieść niesie, widziano go nie raz kreślącego czarodziejskie znaki. Już wtedy w tej kamienicy były ściany popękane i nad oknem urwany kawał muru. Mieszkańcy Krakowa utrzymywali, że to zniszczenie części domu powstało od owej chwili, gdy djabeł, z niego, na mocy cyrografu, pozwał Twardowskiego, co jednak sprzeciwia się podaniu ludowemu .

W ogromnej, a starej księdze, tak mówi podanie, już w wiosennej porze, wyczytał Twardowski sposoby jak diabła przywołać można i zrobić go zarazem posłusznym na wszelkie swoje rozkazy. O północnej przeto porze skrycie wychodzi do Krakowa, ażeby go nikt nie spostrzegł (a znali go prawie wszyscy mieszkańcy, bo słynął jak doktór, darmo lecząc biedotę) i podążył na podgórze za Wisłą. Tam, między skałami wapiennymi wybrał sobie miejsce odpowiednie, które dotąd nosi nazwę katedry Twardowskiego, i zakreśliwszy wokoło siebie krąg czarnoksięski, zaczął wymawiać tajemne słowa zaklęcia, przywołujące diabła. Po nie długim czasie od mogiły Krakusa powstała na chwilę straszna z poświstem wichura, nagle nastała cisza, i wśród nieopadłej jeszcze kurzawy piasku, stawił się diabeł. Miał na głowie trójgraniasty kapelusz, z tyłu głowy wyglądał harbajtel, pod frakiem z dużymi guzikami wisiała mu kamizela haftowana na brzuch; pluderki spadały obwisło do kolan, nogi ubrane były w pończochy jedwabne i trzewiki z dużymi, lśniącymi sprzączkami; z prawego trzewika wyglądał mu pazur zakrzywiony od wielkiego palca. Stanął w kornej postaci i zapytał czego sobie życzy i co mu rozkaże? Twardowski wymienił swoje żądania. Diabeł przystaje, ale chce cyrograf. Twardowski zgadza się na to i podaje swoje warunki; między tymi było, że wszelkie je-

go rozkazy diabeł bez odwłoki i szemrania wykona, a dopóty ani do jego ciała ani do duszy żadnego prawa mieć nie będzie, dopóki Twardowskiego w Rzymie nie ułapi. Diabeł na kawale pergaminu całą umowę na kolanie skreślił, którą nasz szlachcic — własnoręcznie podpisał, umoczywszy pióro we krwi swojej, z serdecznego palca wyciśniętej.

Na mocy tego kontraktu, rozkazał diabłu, jako już teraz słudze swemu, żeby zaraz z całej Polski srebro naniósł w jedno miejsce i grubo piaskiem przysypał. Wskazał mu w tym celu równinę Olkusza. Posłuszny sługa przez trzy dni i noce sypał piaskiem, a przez dzień i noc jedną piaskiem tym przydeptał naniesione srebro. Tak w dni siedem skończył robotę i stąd powstała później sławna kopalnia srebra w Olkuszu.

Kiedy diabeł spocony, zmęczony nadbiegł z doniesieniem, że wszystko zrobił podług rozkazu, Twardowski podkręcając wąsa, rzekł do niego:

— Chwat z waszeci, lubię waść za to; ale ja muszę zobaczyć czyś tak zrobił, jak rozkazałem. Dlatego wymyśl mi waszeć takiego wierzchowca, coby nie był ani koniem, ani osłem, kopyta nie miał, a przeniósł mnie do Olkusza, jakby bachmat turecki.

Diabeł zdjął trójgraniasty kapelusz, poskrobał się po rogach i nie za długo przyprowadził mu osiodłanego koguta. Jakieś spojrzał, był to zwyczajny kur, miał na sobie cienki i wązki munsztuczek złocisty, a siodełko, by pięść mała, ale gdy Twardowski się zbliżył, podrósł zaraz, jak na drożdżach, do wysokości chłopskiego konika. Z radością więc dosiadł tego rumaka i popędził tak szybko z Krakowa, że dobiegł do Olkusza w małą godzinę. Przebiegłszy wzgórza krakowskiej ziemi z cudnymi krajobrazami, nagle się zasępił, ujrzawszy szerokie piasków morze, otoczone pustynią. Wśród ław piaszczystych, gdzie niegdzie krzywak sosnowy, nie wyrastał drzewem, ale rozcielał się tylko na wydmie małym krzakiem. Kogut

biegł chyżo po twardej drodze; wszakże w piaskach olkuskich lgnęły mu nogi i zasapał się akuratnie. Otworzył dziób, a grzebień na łbie strasznie mu krwią nabiegł.

Twardowski kiwnął głową na znak zadowolenia, a diabeł się nisko ukłonił. Czarodziej zwrócił koguta w inną stronę i już wolniej pojechał do Piaskowej skały. Jedzie doliną Prądnika i patrzy na zamek. Przychodzi mu myśl osobliwa, woła swego diabła i mówi:

— Gracko się waszeć spisałeś w Olkuszu; ale to nie koniec.

Tu mi zaraz przynieś waść skałę i na tej dolinie przy zamku, postaw na dół cieńszym końcem, grubszy zaś wynieś w górę, ażeby stała tak wiecznie. Ja tu poczekam, a mój kogutek odsapie się trochę.

Nie długo czekał, to zaraz wichura zadęła i w miejscu oznaczonym stanęła owa skała, podziw dotąd wędrowników, grubszym końcem do góry, zwana przez lud okoliczny skałą Sokolą, bo na niej wkrótce gnieździć się te ptaki zaczęły.

Twardowski ciągle łamał sobie głowę nad tym, żeby coraz cięższe zadawać diabłu roboty; ale ten wszystko spełniał ochoczo.

To szlachcic nasz jeździł na malowanym koniu, wyjętym z szyldu karczmarza, którego diabeł ożywił i dał mu dziarskość tureckiego bieguna, to latał po powietrzu bez wiosła i żagli, a jak jakoweś szkło wziął do ręki, zapalał wioski na granicy niemieckiej, o sto mil odległe od Krakowa.

Pieniędzy Twardowskiemu nigdy nie brakło, bo ile zażądał, tyle mu diabeł przyniósł. Kiedy sobie na świecie tak dokazuje, raz zaszedł w bór cienisty bez narzędzi czarnoksiężkich i usiadłszy na pniu obalonego dęba, zaczął dumać zamyślony. Wtem nagle napada go diabeł i żąda ażeby niezwłocznie udał się do Rzymu. Rozgniewany czarownik, potęgą zaklęcia zmusił go do ucieczki. Wtedy wściekły bies, zgrzytając zębami ze złości wyrywa sosnę

z korzeniami i tak silnie uderza Twardowskiego po obu nogach, że jedną mu zgruchotał. Musiał zanieść wprawdzie czarodzieja do domu, ale Twardowski leżał długo w łóżku, zanim pozrastały się kości. Od owej pory pozostał kulawy i odtąd zwano go powszechnie: pan Twardowski, kuternoga.

Leżąc czas długi w tej niemocy, trafił na jedną księgę osobliwą. Na pierwszej karcie była wypisana przestroga, że chociaż wiele niesłychanych wiadomości zawiera, ten, kto ją będzie czytał, za odczytaną każdą kartę straci rok życia, a przy ostatniej karcie musi bez zwłoki skonać. Ta groźba nie odstraszyła Twardowskiego, tym chciwiej ją czytał, a na przedostatniej stronicy wyczytał, jak człowiek może się odmłodzić. Zaśmiał się z radości, bo mu już i lata ciążyły i noga krzywa dokuczała. Oddawna miał na usługach wiernego klechę, który go bardzo starannie i w tej chorobie opatrywał. Wypróbowawszy jego wierność starannie, odkrył mu tajemnicę i przepisał sposoby jak ma sobie postąpić, ażeby czarownik odżył z całą siłą i rzeźwością młodzieńczą. Dla większej pewności odebrał od niego straszną przysięgę, że wykona wszystko, jak mu przykaże.

Przed zachodem słońca chodził Twardowski z wiernym klechą po Krzemionkach. Smutnie patrzył na ślicznie zachodzące słońce, które jakby w kąpieli przeglądało się w kryształach Wisły. Pomimo całej ufności, jaką miał w słudze, lękał się jednakże, czy dotrzyma na pewno słowa, czy spełni przepis, jak należy.

O północy klecha porąbał go na mak, nasmarował każdą cząstkę maścią ze słoju przygotowanego, włożył zwłoki Twardowskiego do małej trumienki, poszedł na pobliski cmentarz, wykopał dół i zasypał pana w mogile. Od tej chwili siedział przy niej na krok nie odstępując, przez 7 dni, nocy i 7 godzin. Noc ostatnia straszną była: z wieczora okropna dęła wichura; daleki grzmot huczał głucho ;błyskawice rozświecały ciemne chmury. Dopiero

przed północą pogoda zajaśniała i na czyste niebo, zasiane gwiazdami, wypłynął w pełni cały księżyc.

Północ. Zegary Krakowa uderzyły 12. Więc chwila naznaczona nadeszła; po 7 dniach, 7 nocach i 7 godzinach. Zrywa się siedzący klecha, chwyta łopatę i zaczyna odkopywać mogiłę. Za pierwszym dotknięciem wilgotanej rosą ziemi, puhacz smutno zakwilił Dreszcz wiernego klechę przejął; ale pomny na przysięgę, nie żałuje pracy.

Tak odkopywał ziemię przez całą noc; zorza zajaśniała, a potem słońce pogodnie zeszło, gdy dostał się do samej trumny. Zaledwie pierwsze promienie słońca padły w mogiłę i ogrzały zimne jej ściany, wieko trumny spadło, a klecha z radością ujrzał postać młodą, czerstwą i pełną życia swojego mistrza, jak przecierał oczy, niby ze snu smacznego, spojrzał w niego z uśmiechem i uścisnął krzepką ręką dłoń wiernego ucznia. Rzeźwo wyskoczył z mogiły, przeciągnął się na słonku a rzuciwszy się w objęcia klechy z radości zapłakał.

Wróciwszy do domu, zaczął odtąd hulaszcze życie, na Ochocie — pierwszy w tany, w kłótni przy puharze pierwszy do swady i szabli; a tak krzyżową znał sztukę, że wielu wprzód szlachty i mieszczań krakowskich okrzesał, zanim jedną kresę przez czuprynę otrzymał.

W gospodzie na Ochocie poznał ładną pannę, zaczął więc do niej smalić cholewki. Panna rada była zalotom, bo urodny i młody był szlachcić Ale drożąc się nieco, pokazała we flaszce chowanego robaka i ten warunek położyła, że wtedy odda mu swą rękę, jak zgadnie co to za robak.

Twardowski, w ciemię nie bity, przebrał się za dziada w łachmany, wypatrzył tajemnicę i przyszedł potem do swej bohdanki. Ta pyta go zaraz, ukazując zdala flaszkę.

— Co to za zwierzę? Robak czy wąż?

Twardowski odrzekł na to:

— To jest pszczółka, mościwa panno.

Zgadł w istocie, że była to pszczoła i wnet się z ową panną ożenił.

Pani Twardowska na rynku w Krakowie ulepiła z gliny domek i w nim sprzedawała garnki i misy, a Twardowski za bogatego przebrany pana, przejeżdżając z licznym dworem we wspaniałej karocy, tłuc je kazał swoim dworzanom. Kiedy żona ze złości wyklinała w pień co żyje, on nasunął czapkę na bakier i śmiał się ochoczo, a potem rzucał jej pod nogi trzos, złota pełny.

Diabeł długo czekał na duszę Twardowskiego, a kiedy już był pewny, że pochwyci ją w swoje szpony, czarnoksiążnik zawsze zręcznie umiał się wykręcić. Odmłodzenie Twardowskiego zniecierpliwiło do reszty diabła: wziął się więc na pewniejszy sposób.

Przed dom gdzie mieszkał szlachcic, zajeżdża bogata kareta, z licznym orszakiem dworzan; najstarszy z nich wiekiem i znaczeniem, przychodzi i zaprasza Twardowskiego, jako sławnego doktora, do swego pana, który gwałtownie zachorowawszy, wzywa jego pomocy, a leży w pobliskiej wiosce. Nic nie podejrzewając, siada Twardowski do karety i jedzie. Przybywa przed karczmę zamyślony, nie patrząc, co się dzieje w około niego. A tu nad jej dachem krąży stado wron, kawek, gawronów i kruków, które złowieszczym krakaniem, zapowiadały jakieś nieszczęście. Na szyldzie karczmy gorejącymi literami jaśniał napis: „Rzym“, bo nazwę tę nosiła. W dymniku wielki puhacz stał z płomiennymi oczyma, niby dwie pochodnie i kwilił żałobnie. Twardowski wysiadł z karety, wchodzi do izby — ale nie znajduje chorego pana. W miejscu jego powstało gospodarstwo, co siedziało przy kołysce niemowlęcia, świeżo ochrzczonego.

Ów dworzanin poważny zmienia się nagle we właściwą swą postać; i Twardowski z przerażeniem poznał w nim diabła z Krzemionek, któremu dał cyrograf na swoją duszę. Stanął we drzwiach, ażeby mu już pewnie zdobycz nie uszła i rzekł z radosnym uśmiechem:

— A co, nie poznajesz mnie wasz mość? Długo nosił wilczek, teraz poniosą wilczka.

Twardowski aż spotniał od wielkiego strachu: to już nie przelewki. Widząc ostatnią godzinę życia, a w wieczności piekło, nie traci jednak głowy, porywa na ręce niemowlę i nim się zasłania. Diabeł, jak oparzony odskoczył, bo ne miał prawa do tylko co ochrzczonej dzieciny; usunął się ku drzwiom i rzekł pokornie: Jesteś waszeć dobry, szlachetny, czysty karmazyn, zatem werbum nobile debet esse stabile.

Twardowski po tej przemowie widział, że już nie ma dla niego ratunku, bo nie mógł złamać szlacheckiego słowa. Włożył więc w kołyskę dziecię a diabeł porwał go wpół, uniósł i wraz wylecieli kominem w górę.

Zawrzało radośnie stado wron, kruków i kawek, przeciągłym kwileniem ozwał się puhacz z dymnika, a diabeł unosi coraz wyżej w powietrze.

Twardowski nie stracił ducha. Spojrzy na dół, widzi jeszcze ziemię ojczystą, ale tak wysoko podleciał, że wsie wydały mu się, jak małe komary, miasta jakby muchy, a sam Kraków, by dwa pajki razem. Żal mu okrutny ścisnął serce, kiedy przypomniał sobie, że przychodzi mu pożegnać na wieki wieków wszystko co polubił i ukochał; z wysokości więc, gdzie ani sęp, ani orzeł karpacki nigdy nie doleciał, chciał się przeżegnać — ale diabeł trzymał go w objęciach jak w żelaznych kleszczach; chciał pacież mówić — ale go zapomniał. Wtedy wzniósł zapłakane oczy w niebo i zaraz przypomniał sobie pieśń pobożną. Była to jedna z kantyczek, którą dawniej w dniach młodości ułożył na cześć Najświętszej Marii i śpiewał co rano i wieczór, zanim diabłu duszę zaprzedał.

Dobywa więc ze zmordowanej piersi drżącego głosu i zanucił pieśń pobożną. Głos jego z początku słaby nabiera mocy i potęgi brzmi niezwykłą siłą; choć nie bije w niebiosy, spada jak rosa na ziemię.

Pasterze góralscy podnieśli głowy, bo ją dosłyszeli i każde słowo doniośle im brzmiało.

Patrzą, chcąc widzieć skąd pieśń uroczysta im spływa.

W uniesieniu pobożnym, zaśpiewany cały, Twardowski spostrzegł dopiero gdy całą pieśń skończył, że już w górę nie leci, ale zawisnął w powietrzu tam, gdzie pierwsze słowa pieśni zanucił. Czuje jakąś swobodę, ciało wolne od żelaznego uścisku. Patrzy, a jego diabeł zębami i pazurami drze cyrograf i ucieka, tylko głos straszny zabrzmiał z sinawej chmury: „Zostaniesz do dnia sądnego zawieszony tak jak teraz“.

Opuścił smutnie głowę na piersi i serdecznymi łzami zapłakał. Kiedy się nieco utulił, słyszy, że coś szepce mu znajomym głosem: I ja tu z tobą, mój mistrzu.

Odwrócił głowę i widzi pająka, a poznaje w nim wiernego klechę, którego w gniewie przed wyjazdem do Rzymu, zaklął w pająka.

Z jakąż go radością powitał, jak dziękował Bogu za tę wielką łaskę! Zawieszony tak wysoko patrzał na ojczystą ziemię, poznawał wsie, miasta i pola, lasy i rzeki; ale ludzi nie widział, nie słyszał ich głosu, nie wiedział, co się dzieje. Teraz, co dnia wierny klecha spuszcza się na swojej przędzy, to do wsi tej i owej, to do jednego i drugiego miasta na przemian, to patrzy na urodzaj w polach, a co zasłyszy, co zobaczy, powróciwszy, siedząc na ramionach Twardowskiego, opowiada mu wiernie.

Klecha przypomniał mu pacierz, modlitwy i wszystkie pieśni pobożne; Twardowski wie kiedy się modlić, bo za łaskę Bożą każdy najmniejszy dzwonek wiejski dosłyszy, czy dzwoni na mszę poranną, czy na Anioł Pański; a kiedy zabrzmi sławny z Krakowa na Wawelu dzwon Zygmuntowski, to mu się serce z radości rozpływa, płacze szczęśliwy, a wtoruje mu w modlitwie, w pieśni, czasem w żałobnej skardze, cichy głos pająka.

Za jego też pośrednictwem łączy się dusza Twar-

dowskiego z tą Bożą ziemią — wie, co się dzieje na niej, co ludzie robią, co myślą, i czy Bóg dobrze otacza ją swoim błogosławieństwem, darząc plonem obfitym, spokojem i szczęśliwą dolą.

Na pogodnym niebie, gdy księżyc w pełni zabłysnie, po prawej jego stronie, widną bywa czarna plamka. Starcy nasi, co dawne pamiętają lata, ukazywali dziatwie tę plamkę, jako ciało Twardowskiego, zawieszone w powietrzu.

Takie są podania narodowe o życiu i losach Twardowskiego.

II

Poznawszy ustne podania ludu o Twardowskim, przejrzymy teraz zabytki piśmienne, które o tym sławnym czarodzieju mówią.

Że już nie żył, kiedy w Tykocinie dnia 18 lipca 1565 roku. skończył swego „Dworzanina Polskiego“, Lukasz Gornicki, mamy dowód wyraźny w opowieści tego pisarza.

„Dworzanin króla starego (Zygmunta I), pisze Gornicki, znając w towarzyszu swym defekt rozumu, iż miał wielką chęć ku czarnoksięstwu, zmówił się z babą, która pod zamkiem Krakowskim garnce sprzedawała, i zapłacił jej wszystkie, aby je do jednego, kij wziąwszy, potłukła wtenczas, kiedyby on na zamku stojąc, znak pewny uczynił. I ukazał jej okno, w którym stać chciał, a znak ten miał być; chustka rozpostarta i wisząca z ręki. Gdy to wtedy sprawił, szedł na zamek i chodził sobie po wielkiej sieni, czatując już na tego swego towarzysza, który rychło potem przyszedł. Tak, że skoro po daniu dobrego dnia jeden drugiemu, począł pytać ten, co później przyszedł, czemu by on tak chodził, a do izby wejść nie chciał. Ten mu odpowiedział: Nie masz, prawie, po co, bo król

jegomość jeszcze w komnacie, ani tak prędko z niej wyjdzie; ale o to chodzimy tu sobie radziej, albo pójdźmy do okna.

I zaraz szedł w owo zaznaczone okno, a towarzysz też widząc, iż nie miał co w izbie sam czynić, szedł z nim pospołu. Tak mówiąc to i owo przyszli w rozmowie do czarnoksiężstwa, i jął ów, komu to czarnoksięstwo smakowało, wychwalać tę naukę, powiadając, iż na świecie nie masz nad nią, a żałując tego, że się natenczas nie urodził, kiedy jej w krakowskich szkołach jawnie uczono.

A ten słuchający powiedział: „Co byś dał, kiedy by się kto obrał, a chciał cię jej nauczyć?

A ów zasię rzekł: Dałbym prawie, sto i drugie sto złotych, ba i dalej by ode mnie wyciągnął.

Odpowiedział ten: Kiedy byś to żyścić chciał, a był tajemnym, powiedziałbym ja tobie o jednym, który się u Twardowskiego uczył, i też tak wiele, jako on umiał, umie. Wnet ów na Bóg żywy przysiągł i dał mu rękę, obiecując poczciwym słowem nikomu na świecie o tym nie powiedzieć, ani także człowieka wydać.

— A to ja, prawi, uczeń Twardowskiego; więcej niż mniemasz nauczyć cię mogę, jedno mi dotrzymaj słowa, jakieś obiecał.

— A umiesz ty — odpowiedział zatem ów, — zabić śmierć. Nie tak byś się ty miał, gdybyś co rozumiał w tej nauce.

Rzecze ten zasię: Nie trzeba wiele, wnet się to pokaże, jeśli co umiem. Atoli rozkaż mi co dziwnego uczynić, ujrzysz prawdę-li mówię, albo kłamstwo. A chcesz-li uczynię to. Widzisz ową niewiastę, co garnce przedaje (i ukazał ją z góry), ta, gdy ja kilka konjuracyj (to jest zaklęć) zmówię, potłucze wnet wszystkie garnki kijem.

Począł ów dopiero tem więcej bić na to i spór dzierżeć, powiadając, żeby tego nigdy dowieść nie miał. Obaj się założyli i sadzili po 30 czerwonych złotych, zatem ten obrócił się kilkakroć w koło, pocznie mruczyć w rzeczy

konjuracje, a i tędy i owędy, słowo jakieś niezwykłe głośniej wyrzecze, aby ów mniemał, że diabłów wzywa. Aż dobył kartki jakieś pergaminowej, na której kilka liter potwornie wymalowanych było, a raz w tę, jako w tęczę, drugi raz w ziemię pilniuchno patrząc, rzekł tak: Patrz-że teraz.

I spuścił z ręki oną chustkę nieznacznie, aby wisiała, a babą widząc znak, zaraz kij porwała i poczęła tłuc owe garnce, tak iż je do jednego potłukła. Zdumiewał się co na to patrzał, a nic nie żałując przegranych pieniędzy, uczniem jego być i dać co nadmienił, obiecał.

Tegoż dnia królowi ten co wygrał wszystką rzecz powiedział.

Nazajutrz król (Zygmunt-August) uczynił sobie rzecz o czarnoksięstwie z owym dworzaninem, który zakład przegrał, i dał mu to znać, iżby rad miał takiego człowieka, któryby się w tym rozumiał. Wnet dobry pan zapomniawszy swej przysięgi, rozumiejąc, że się miał tym królowi bardzo przysłużyć, na onego dworzanina, towarzysza swego, jako jest zasobny w tej nauce i onę wszystką historię o garncach wypowiedział. Król wnet onego do siebie kazał zawołać i rzekł mu w oknie stając, a na onę babę patrząc, która się znowu na garnki była zdobyła.

— Słysz! a kiedy by znowu co takiego trefnego z czarnoksięzkiej nauki uczynić, a chociaż to, aby ta baba zasię garnki potłukła.

A ten odpowiedział: Miłościwy królu! musiałbym się znowu z nią zmówić.

Słysząc to ów, który przegrał i rozumiejąc po śmiechu, iż król wie o wszystkim, bardzo się troszczyć musiał, a od tych czasów czarnoksięstwu dał pokój, bojąc się aby co gorszego nań nie spadło. (Dworzanin Polski Łukasza Górnickiego, w Krakowie, w drukarni Andrzeja Piotrkowczyka, 1639 str. 210).

Joachim Possel, lekarz i nadworny, historograf króla Zygmunta III, podaje nam taki szczegół o Twardowskim.

„Żałosny król Zygmunt-August po stracie ulubionej swej żony Barbary Radziwiłłównej, cień jej przynajmniej oglądać pragnął. W wychowaniu niewieścim młodości swojej, nasłuchał się tysiącznych powieści, jako duszę osób zgasłych lub same dobrowolnie, lub wywołane sztuką czarodziejską, ukazywały się żyjącym. O możności więc nie wątpił, a z chęci swej zwierzył się dworakom ubiegającym się w staraniach zadosyć uczynienia żądzy swego pana.

Sprowadzono zewsząd do dworu ludzi w sztuce czarodziejskiej biegłych i obiecano sowitą nagrodę, ktoby dokazał tego, iżby król widokiem drogiego cienia pocieszonym został.

Podjął się tego Twardowski, czego inni nie śmieli i królowę Barbarę chodzącą, przyrzekł pokazać królowi. Zawierza Zygmunt August przyrzeczeniu i oczekuje z największą niecierpliwością czasu oznaczonego po temu. Ostrzega tylko Twardowski króla, aby w milczeniu i spokojnie siedząc, na widok ukazującej się królowej z miejsca swego się nie ruszył, inaczej za duszę i za życie monarchy nie zaręcza.

Podaje się Zygmunt August tak twardemu i trudnemu do zachowania warunkowi, byle dopiął celu swych chęci. Nadeszła pożądana chwila; wywołana z cieniów śmiertelnych, zjawia się mara. Ledwie zdołał Twardowski na miejscu króla zatrzymać, tak żywo się porwał i chciał lubą marę uściskać; a wtem widmo zniknęło".

Tenże sam Possel drugą podaje nam wiadomość o Twardowskim:

„Mieszkał w Bydgoszczy szlachcic polski, który piękny majątek, osiągnięty po przodkach, zmarnowawszy, po kraju się włóczył. Los wtedy Twardowskiego do tegoż miasta sprowadził; z nim marnotrawca znajomość zawiera, stanu swojego się zwierza i prosi, ażeby go swą cudowną sztuką z niedoli wydźwignął, lituje się nad nim

Twardowski i daje proszącemu radę, zalecając iż od ścisłego jej dopełnienia wszystko zależy.

— Idź, mówi, i szukaj pustej na ustroniu chaty, a mając z sobą dziewięć pieniążków, ani mniej, ani więcej, będziesz je bezustanku liczył, powtarzając zawsze od jednego do dziewięciu i na odwrót, od dziewięciu do jednego, aż dobrze dnieć zacznie; strzeż się zaś najusilniej pomyłki bo toby wszystko zepsuło, strachów się żadnych nie lękaj, bo ja cię zapewniam, iż te nic złego ci nie zrobią. Gdy to dopełnisz, staniesz się bogatszym niżeli byłeś panem i nigdy ci na pieniądzach zbywać nie będzie.

Słucha rady chudzina: znajduje pustą chatę, siada i z natężoną myślą, żeby się nie pomylił, dziewięć groszy odlicza .

Już dniało, kiedy diabeł w Twardowskiego postaci przed nim staje i pyta, czy się nie omylił. Ten z radością, że nie, odpowiada.

— Rachujcie — rzekł mu dalej, bo dzień niedaleko — i zniknął.

Chce nieborak liczyć, ale na czym stanął, nie pamięta. Otóż, po bogactwach. Wychodzi pełen rozpaczy, ale mu diabli drogę zastąpili. Od nich ułudzony i zbity, ledwie się biedak do miasta doczołgał, a żałując swego postępku, resztę życia pokucie poświęcił.

Dawne podania niosły, że Twardowski spisał i zostawił wielką księgę, poświęconą wyłącznie sztuce czarodziejstwa. W niej przechowywał wszystkie sposoby, ażeby potęgą zaklęcia przywoływać diabła i uczynić go posłusznym na swe rozkazy sługą. Nadto, napisał w niej szczegóły, jak się człowiek odmładzać może, kiedy go wiek lub choroby zniszczą, a godzina ostatnia życia już blisko nadchodzi.

Księga ta, oprawna w deski, podług ówczesnego zwyczaju była w bibliotece jezuickiej w Wilnie. Posłuchajmy, co o niej pisze Adam Naramowski, jezuita w dziele swym „Facies rerum Sarmaticorum“ (lib. I. c. 2.28): „Z

pozoru lwa poznać, a z dzieł życia człowieka. Jakie życie prowadził ów słynny czarodziej Twardowski, jak je skończył, wykazuje owo dzieło jego czarodziejskie, czyli rękopis, który po śmierci króla Zygmunta Augusta, z daru jego, z wielu innymi księgami dostał się wileńskiemu domowi jezuitów. I znowu pisze, iż słyszał z ust księdza Daniela Butwiła, naowczas przełożonego nad księgozbiorem wileńskim, że księga Twardowskiego, na osobnym miejscu złożona, żelaznym łańcuchem do muru przykuta była, a gdy ksiądz Butwiłł zdjęty ciekawością czytać ją zaczął, dał się słyszeć łoskot okropny i zgiełk w bibliotece, zbiegły się snać złe duchy. Jezuita przestraszony rzucił księgę, a sam ledwie do pobliskiej izby zemknąć zdołał i całą noc potem bezsennie przepędził. Nazajutrz rano, wezwawszy innych braci, wszedł do biblioteki, ale już owej księgi nie znalazł, ani dowiedział się, gdzie się podziała — najpewniej wraz z pisanem powędrowała do piekła.

Franciszek Siarczyn objaśnił, że zdarzenie to mogło przypaść około 1620 r., a w sto lat później z górą Naramowski, drukiem je ogłosił w 1739 r. (Czasopism naukowy, Lwów 1829 r. tom 1). Księga Twardowskiego, dziełem zwana, której czytanie takiego strachu napędziło jezuicie Butwiłowi, dziwnym zbiegiem okoliczności znalazła się w bibliotece Akademii Krakowskiej i tu przybrawszy nazwę „Liber magnus", leżała na osobnym miejscu, na pieńku i do niego była przywiązana łańcuchem. Nikt nie zaglądał do niej, aż pierwszy I. S. Bandtkie odważył się na jej odczytanie i zbadał, że jest to rękopis Pawła z Pragi. Głębiej się w to dzieło wczytawszy Józef Muczkowski odkrył, że rzeczywiście jest pracą Pawła Paulinuri, zwanego Pawłem z Pragi. Napisał o tym rękopisie rozprawę, w celu otrzymania doktoratu i katedry, dowodząc, że jest treści encyklopedycznej i przywiódł z niego ciekawe ustępy, dające poznać jaki w XV w. był stan nauk w Europie, a raczej ile potwornych wyobrażeń, pomięszanych z magią i zgubnym zabobonem było wtedy w obiegu.

Jedynym zabytkiem po Twardowskim, jaki doszedł naszych czasów jest metalowe zwierciadło, które w Węgrowie na Starym Podlasiu, w skarbcu kościoła miejscowego umieszczone, dotychczas zachowano. Jest dość duże, u dołu przez pęknięcie uszkodzone, oprawne w ramy czarne, kształtu staroświeckiego (Ig. Matuszewski w swej książce „Czarnoksięstwo i mediumizm" podaje jego fotografię. przyp. autora). Używać go miał sam Twardowski za narzędzie do swych czarów, ukazując w nim demony w różnej postaci, oraz dusze osób zmarłych.

Trwa dotąd pomiędzy ludem miejscowym podanie, iż patrzący w nie, zostają przeistoczeni w potwory okropne. Dlatego wysoko na ścianie skarbca kościelnego zawieszone zostało.

Pracowity nasz badacz T. Narbutt, który pierwszy to zwierciadło obejrzał i opisał, podaje, że jest z kruszcu białego, ale z jakiego nie wyraża: najpewniej stalowe być musi; napis biały w dwóch wierszach łacińskich, które pobożna ręka na ramach skreśliła, głosi, że zwierciadło, które Twardowski do sprawy sztuk czarodziejskich używał, służy teraz ku czci Boskiej.

Podajemy tu w dosłownym odpisie ten dwuwiersz łaciński:

Luserat hoc speculo magicas Tvardovius artes
Lusus ad iste Dei versus in obsequium est.

Skąd ten zabytek dostał się do skarbca kościoła węgrowskiego, nie ma żadnych wiadomości, niewiadomo też czyja ręka, położyła ten napis.

W. A. Maciejowski z pisanych pomników badając, pamiątki po Twardowskim, odnosi istnienie jego do XV w., lubo na to żadnych dowodów nie podaje, prócz tego, że to nazwisko znalazł w dyplomach biskupstwa poznańskiego; występuje bowiem w nich pod rokiem 1441 Twardowski, kanonik poznański. Całą zaś klechtę o tym czarodzieju, aczkolwiek niektóre jej ustępy aż do XIV w. odnosząc, uznaje za rodzimą i na polskiej powstałą ziemi.

(„Piśmiennictwo polskie“ W-wa 1851 r. t. I str. 230). Podaje nawet czas, w którym lud opowiadać zaczął o odmłodzeniu Twardowskiego, po roku 1635, ze źródeł piśmiennych. Tu tylko sprostować musimy, według naszego zdania, mylne zrozumienie W. Górnickiego przez uczonego badacza. Mówi bowiem W. A. Maciejowski, opierając się na „Dworzaninie Polskim“, że Twardowski nie żył za panowania Zygmunta Starego, choć Górnicki nie występuje z podobnym twierdzeniem a opisuje tylko pewien fakt z życia Twardowskiego, który miał miejsce za czasów Zygmunta Augusta.

Podanie o Twardowskim jest złożone z rodzimych pierwiastków i czysto narodowych — dowodzi tego jego treść. Charakter Twardowskiego odmalowanym w nim został według pojęć ludu wiejskiego i szlachty. Chętny do nauki, dla wiedzy zaprzedaje duszę diabłu, ale też nauki na złe rodaków nie używa. Lubi hulać, ale pomaga ubogim. Jest ochoczy do bójki, a zręczny do szabli. Oto wydatne rysy szlachcica, w którym odzywają się na przemiany popędy dobrego serca obok pociągu do awanturniczości.

W gwarnym i na przemiany pracowitym życiu, zapomniał Twardowski pacierza, ale nie zapomniał pieśni pobożnej i to go ocala od zguby wieczystej.

Podanie, że miał Twardowski księgę, którą czytał chciwie, pomimo przestrogi, że za każdą przeczytaną kartę straci część życia, a skoro ostatnią stronicę skończy, umrzeć musi — czyż nie maluje dosadnie, jak każdy poświęcający się naukom szczerze i z zapałem, traci siły żywotne i przyspiesza zgon przedwczesny?

Pomiędzy naszym ludem krąży jeszcze przysłowie: „Trafił jak Twardowski do Rzymu“ — oznacza ono smutne położenie człowieka, który unikając złego z gorszym się zapoznał czyli wpadł z deszczu pod rynnę.

O żonie Twardowskiego podania lekko tylko napo-

mykają, ale nie przedstawiają jej ani tak szkaradną, ani tak złą, jak ją odmalował Mickiewicz.

Ale za to ballada „Pani Twardowska" psychologicznie jest niezrównana. Twardowski daje diabłu różne ciężkie zlecenia do wypełnienia, sądząc iż tym go zniechęci i ten wyrzeknie się jego duszy. Lecz czart nie ustępuje. Dopiero, gdy zaproponował, żeby rok przeżył z jego żoną sekutnicą — czart drapnął, jak zmyty.

Przytoczę ten ustęp na zakończenie

Jeszcze jedno, będzie kwita,
Zaraz pęknie moc czartowska!
Patrzaj, oto jest kobieta.
Moja żoneczka, Twardowska!

Ja na rok u Belzebuba
Przyjmę za ciebie mieszkanie;
Niech przez ten rok moja luba
Z Tobą, jak z mężem zostanie...

Przysiąż jej miłość, szacunek
I posłuszeństwa bez granic:
Złamiesz choć jeden warunek,
Już cała ugoda na nic.

Diabeł do niego pół ucha,
Pół oka zwrócił do samki:
Niby patrzy, niby słucha —
Tymczasem już blisko klamki

Gdy mu Twardowski dokucza,
Od drzwi, od okien odpycha,
Czmychnąwszy dziurką od klucza,
Dotąd jak czmychał tak czmycha.

ROZDZIAŁ XVII

PRZEŚLADOWANIE CZAROWNICTWA W POLSCE.

Prześladowanie czarownictwa w Polsce nie przybrało nigdy tak olbrzymich, ani okrutnych rozmiarów, jak w zachodniej Europie, o czym wspomnę za chwilę. Może byliśmy rozsądniejsi i bardziej tolerancyjni od innych — może nie znaliśmy straszliwej instytucji, zwanej inkwizycją, opierającej całkowicie swe działanie na walce z kacerstwem i sługami czarta. Ze względu właśnie, że nigdy zorganizowanego prześladowania czarownictwa nie było, a procesy zdarzały się, jako oderwane wypadki — posiadamy najlepsze media w Europie — w krajach bowiem, gdzie teror szalał np. w Hiszpanii — osoby medialne, należą do rzadkości. Co do samego jednak postawienia sprawy — procedury nie różniły się u nas niczym, od Zachodniej Europy, Niemiec specjalnie.

Co zarzucano czarownicom i czarownikom?

1. Pakt z diabłem, podeptanie krzyża świętego, wyrzeczenie się wiary, bywanie na sabatach.
2. Utrzymywanie cielesnych stosunków z czartem (sukubat i inkubat).
3. Uprawianie czarów: więc przygotowanie napoi, mogących sprowadzić miłość, albo

uśmiercić, czy przyprawić o obłęd; dalej mógł czarownik, czarownica, zamyślić czyjąś zgubę, oczarować przy pomocy woskowej figurki, lub bez, człowieka oślepić, okrzywić, uczynić bezpłodnym etc. Wreszcie, mógł zniszczyć zbiory, urzec bydło, spalić domostwo na odległość, sprowadzać burze, grady etc.

4. Zamienianie się w zwierzęta (wilkołactwo, likantropia) i porywanie, w tej postaci, małych dzieci, celem pożarcia.
dawać rany etc.

5. Przenikanie przez mury i zapory, aby w postaci niewidzialnej wywierać zemstę na tych, którzy im się narazili, więc uśmiercać, za-

To były najważniejsze zarzuty. Lecz po czym rozpoznać czarownika? Wszak ukrywa się, ze swą przyjaźnią z czartem i bynajmniej nią się nie przechwala!

W praktyce — tylko obserwacja! Jeśli komuś poczynało się niepowodzić, chorzał, zdychały mu krowy, gniły zasiewy — bezwzględnie sąsiad musiał być czarownikiem!

Istniały i poszlaki poważniejsze np. niejaka Agnieszka Wścibidurzyna, widziała na łożu Anny Jedynaczki „kokosz czarną, a kąsek popielatą“ — co wystarczyło do zadenuncjowania. Byle plotka była dostateczną, aby „ująwszy gromnicę, palił ławnik z burmistrzem w rynku czarownicę, — lecz chcąc przódy dociec zupełnej pewności, pławił ją na powrozie, w stawie podstarości“.

Skoro padało na kogoś podejrzenie i osadzano go w więzieniu — przede wszystkim doszukiwano się nieomylnych śladów paktu z czartem — t. zw. stygmatów diabelskich — znaków specjalnych na ciele (w Hisz-

panii poczytywano za stigma diaboli nawet plamki na oczach) oraz miejsc nieczułych na ból.

Następowały próby.

Z prób, w Polsce, używano głównie pławienia. Wspomniana Anna Jedynaczka, oskarżona, jak wiemy, o hodowanie podejrzanej czarnej kury, zapewne powinowatej szatana, więc o złośliwe czarownictwo — została w rzece pławiona.

Ponieważ w rzece nie tonęła, uznano ją za winną. Skazana na śmierć, zawołała z boleścia: „O wodo, wodo — tyś mnie niesprawiedliwie osądziła!"

To świadczy, że oskarżona czując nawet swą niewinność, czuła zarazem, że jakiś nieznany czynnik sprowadził na nią zupełnie realne pozory grzechu. Jedynaczka, była prawdopodobnie medium i pływała po wodzie, jak wiele somnambuliczek. A ponieważ pływała naprawdę i mimowoli, niema żalu do sędziów, trzymających się litery prawa, jeno narzeka na zdradliwy żywioł wodny, który ją wydał w ręce kata.

Inną próbą — była próba wagi. Gdy obwiniona lekką się okazała, tym samym zdolną do unoszenia się w powietrzu — była winną. Rozpowszechnionej wielce na zachodzie próby igelnej (nadel-probe), polegającej na wyszukiwaniu tak pospolitych u histeryczek znieczuleń skóry, zdaje się, u nas nie znano. Milewski („Pamiątki historyczno-krajowe" — 1848 r.) podaje interesujący protokuł z 1648 r., który opiewa, że Anna Bogdajska, poddana torturom zasnęła, a gdy ją pytano: „A śpisz Anno?" — odpowiadała: „A śpię", i mówiła dalej o Łysej górze. Mamy tu najwyraźniej wypadek snu somnambulicznego, wywołanego prawdopodobnie, gwałtownym wzruszeniem i przestrachem.

Prócz tych, istniał jeszcze na zachodzie, cały szereg innych prób okrutnych, o których wspominać nie warto.

Męki nie kończyły się na próbach. „Dla lepszego zrozumienia rzeczy" — czarownice poddawano torturom.

Kitowicz tak opisuje wypełnienie tortur, wedle świętobliwego prawa magdeburskiego.

Ustęp jest wstrętny, lecz przytoczę go w całości.

„Przed ratuszem była tak urządzona piwnica, że w ścianach jej osadzony był hak żelazny gruby z kołkiem, wysoko od ziemi na półtrzecia łokcia, do posadzki, w środku piwnicy utwierdzony.

Tam stawiano stołek. Na nim kat sadzał więźnia, wiązał mu wtył ręce jednym powrozem, drugim wiązał nogi, końce zaś powrozu przywiązał mocno do kółka niższego; przez powróz u rąk przełożył inny postronek, przez kółko wyższe pojedyńcze przewleczony, raz drugi koło ręki okręciwszy trzymał, aby mu się w ciągnieniu nie wymknął. Przywiązawszy tak więźnia, stanął przy nim w pewnej odległości. Na boku, przy ścianie naprzeciw więźnia stawiano stolik i stołki, kałamarz, pióro, papier, za którym zasiadał wójt z dwoma ławnikami. Gdy tak już wszystko było przygotowane, instygator miejski, stojący przy wójcie, imieniem skarżącego, w krótkiej przemowie upraszał owego sądu, że ponieważ więzień dobrowolnie wzbrania się przyznać do występku popełnionego, aby go skazał na tortury, według praw krajowych. Po czym wójt, przystępując do zwykłej formy badania obwinionego, mówił wprzód do niego łagodnie, zachęcał do szczerego wyznania prawdy. Gdy to nie odnosiło skutku, wójt zaklinał go na wszystkie świętości, na zbawienie duszy jego, etc. Gdy i to nie pomagało, wówczas wójt na instygatora zawołał: „Mów więc mistrzowi sprawiedliwości, niechaj postąpi sobie z nim według prawa!“ Instygator zaś zawołał głośnym głosem; „Mistrzu! postąp z winowajcą według prawa!“

Kat jeszcze nim przystąpił do zadawania mu męczarni, wołał po trzykroć: „Mości panowie zastolni i przedstolni! Czy z wola to waszą, czy nie z wolą?“ Instygator zawołał za każdym razem: „Z wolą“. Dopiero kat silnie pociągnął za powróz. Wówczas ręce więźnia

poczęły się wyłamywać ze stawów, ramion, podnosić w górę tyłem głowy, postać zaś więźnia, poddając się wyższą częścią ciała ze sznurem, znajdowała się na stoliku, nogi zaś wyciągnięte i do haka przywiązane, wisiały jak na powietrzu. Jeżeli po tej męce, więzień, w dalszym ciągu trwał w uporze, kat przyzywał pomocnika i obydwaj, z całych sił, za sznur ciągnęli. Wówczas więzień wyciągnięty był, jak struna. Ręce wykręciły się tyłem i stanęły w prostej linii z ciałem nad głową, w piersiach zrobił się dół, w który tłoczyła się głowa, cały człowiek wisiał w powietrzu. Wszystkie żebra, kości, stawy, stawały się wydatnymi. Jeżeli zdarzyło się, że więzień na torturach skonał, wszystko się natenczas kończyło i zmarłego pochowano, a sprawa upadła. Niekiedy, obwinionemu kładziono na nogi ostre żelaza, karby na kształt zębów, kształt piły mające, z dwóch sztuk złożone, przez które przechodziły z obu końców śruby, tymi śrubami ściągano żelaza zębate na wierzch piszczeli nóg, które pod spodem przymocowane były. Te więc, coraz bardziej gniotąc i kalecząc nogi, nieznośny ból sprawiały. Mistrzowie, żelaza podobne dybom, po swojemu nazywali butami hiszpańskimi. Utrzymywano powszechnie, że nie było zbrodniarza, któregoby obuwie to, do przyznania winy, nie przymusiło.

Kiedy miano czarownice, lub czarowników torturami spróbować, golono im zwykle włosy na głowie, utrzymując, że we włosach kryje się diabeł i nie dopuszcza do sumiennego wyznania prawdy... Skoro ktoś przyznał się do winy, zdejmowano mu z nóg buty hiszpańskie, sadzono na stołku, wziąwszy potem za ręce powykręcane, odkręcano je napowrót z nowym bólem, potem złożywszy je na krzyż, przed piersi więźnia, kolanem między łopatki tłocząc, tym sposobem naprowadzono w stawy, co było nierównie boleśniejsze, niż same tortury.

Takowe męczarnie były niekiedy powtarzane do trzeciego razu, po kilkudniowym jednak wypoczynku,

po czym dopiero następował wyrok śmierci, albo uwolnienie — wedle okoliczności...“

Brr... wystarczy, dalej cytować nie będę!

Teraz staną się zrozumiałymi wszystkie procesy czarowników i niesłychane zeznania podczas procesów składane.

A procedura nieoszczędzała nikogo: „w roku 1526 straszne męki zadawano również białogłowom: piekarce z Krakowa i Kliszewskiej, ziemiance“ — oskarżonym o zgładzenie ze świata Janusza księcia Mazowieckiego. Przywiązane do słupa piekły się przez cztery godziny... dopóki nie skonały“...

ROZDZIAŁ VIII

SŁYNNE PROCESY

Skoro mówimy o słynnych procesach, aby należycie zrozumieć tło na jakim się działy, stale pamiętać należy o trzech czynnikach. Po pierwsze — faktycznie istnieli czarownicy, uprawiający kult szatana, jednostki przewrotne i zdegenerowane, przyrządzający wstrętne i niebezpieczne napoje i wierzący święcie, iż czyniąc ofiary z małych dzieci mogą zdobyć potęgę niezwykłą etc. Grupki te jednak nieliczne, które rzadko kiedy wpadały w ręce sprawiedliwości. Kontynuowali, w znakomitym ukryciu, tradycje starych diabelskich sekt i ci na pół obłąkani zbrodniarze są ojcami współczesnego satanizmu. Pod ich protektoratem odbywały się sabaty, oni werbowali wiernych, słowem — jeśli nie były to osoby chore — zasługiwali na karę.

Po drugie — istniała inkwizycja i istniało prawodawstwo świeckie do walki z czarownictwem i kacerstwem. Gdyby sądy tropiły tylko wykroczenia ohydne — byłoby pół biedy. Niestety widzieli oni czarta wszędzie, dawali posłuch najniedorzeczniejszym plotkom i uważali, iż jednym środkiem zdobycia prawdy jest tortura. Specjalne zasługi w tym względzie położyli — Henryk Institoris i Jakób Sprenger, niemieccy inkwizytorzy nieprawości heretyckiej, twórcy osławionego „Malleus maleficarum" — „Młotu na czarownice" z 1489 r. — najbardziej diabelskiego i okrutnego kodeksu, jaki wyobrazić sobie można.

Inni prawnicy poszli, oczywiście, utorowaną drogą. Jan Bodinus, lub Bodin (1530—1596), autor wielu dzieł, pisze obszerną rozprawę p. t. „Demonomania czarowników" („Demonomanie des sorciers") i zaleca męki, jako najpewniejszy środek zmuszenia winowajcy do zeznań. Że człowiek łamany kołem, zgadza się na wszystkie zarzuty — nic go to nie obchodzi. Nie dość na tym. Bodin jest głęboko przekonany, o mnogości diabłów na ziemi francuskiej i nie waha się twierdzić, że co dziesiąty francuz winien być poddany obserwacji.

Takie same poglądy wypowiadają i inni uczeni prawnicy — wymienię: Delria, Delancre'a, Henryka Boguet, Torre Blanca etc.

Cóż to ma znaczyć?

Tu następuje punkt trzeci, który nakoniec rzuci jaskrawe światło na całą sprawę.

Zachód przez cały wiek XV, XVI i początek XVII — żyje pod znakiem masowych obłędów.

Całe wioski, miasteczka i miasta ogarnia nagle jakiś szał, niezrozumiały dla współczesnego człowieka. Mieszkańców opanowywuje histeria, pląsawica, lęk paniczny, Skąd, co, dlaczego? — Niewiadomo!

Masowe halucynacje wybuchają spontanicznie, w chwilach najmniej spodziewanych, ludność wybiega

z domostw, szuka winowajców — i oczywiście oskarża diabła i jego służalców. Stosy płoną, giną ludzie zdrowi, normalni, ofiary zawiści, podłości, fanatyzmu.

Autosugestia czyni spustoszenie, dziesiątkuje mieszkańców niektórych okolic, choroby nerwowe występują epidemicznie, wybuchają nagle, trwają niejednokrotnie po lat kilka, kilkanaście i raptownie znikają. Nikt nie jest pewien, czy zdoła się ustrzedz przez zarazą psychiczną. Częstokroć jedno spojrzenie, jeden dotyk istoty chorej, wystarcza, aby oszalał człowiek o zdrowych zmysłach. Wtedy mniema, iż jest opętany przez diabła. Pędzi sam do sędziów i się oskarża. Nic go nie obchodzi, że mu połamią kości — ale niechaj to straszliwe „coś" w nim tkwiące, przestanie go dręczyć!

Zacytujemy ciekawe przykłady.

W 1484 r. obłęd zatacza szerokie krągi: opanowane są nim Kolonia, Moguncja, Trewir, Salcburg, Brema, Rotterdam. Przerażone władze publikują alarmujące edykty, ogłaszają instrukcje i poradniki — w jaki sposób ustrzedz się należy opętania. Na placach publicznych, heroldzi miejscy, wygłaszają odczyty pouczające, ostrzegają rodziców przed przyjmowaniem pod dach ludzi obcych — bowiem mnożą się wypadki porywania dzieci przez czarownice.

Fakultety uniwersyteckie obradują bezustannie nad powagą sytuacji. Wszyscy uczeni, najtęższe głowy prowincji nadreńskich, zgodnie przyznają, że wobec szerzącego się w zastraszający sposób ludożerstwa, należy uciec się do radykalnych środków za porywanie i zjadanie niemowląt. Wszyscy przyznali się do zbrodni, nawet bez tortury.

Epidemie obłędu przenikają do szkół.

W 1491 r. w liceum żeńskim w Cambrai — dnia 22 kwietnia — w sypialni szkolnej, w nocy — rozlega się przeraźliwy krzyk. Jedna z uczenic wyskoczyła z pościeli w nocnej bieliźnie i wybiegła do ogrodu. Koleżanki

obłąkanej również zaczęły zdradzać pomięszanie zmysłów. Przed wieczorem cała szkoła była opanowana szałem.

Dziewczęta gromadnie wybiegały w pole a czyniły to z taką szybkością, iż nawet straż miejska konna nie mogła ich dogonić. Przeskakiwały, bez wysiłku, rzeczki kilkumetrowej szerokości, wdrapywały się, z małpią zręcznością, na skalne urwiska. W transie wykonywały skoki na wysokość dwunastu stóp — rzucały się z drzew głową ku dołowi, nie ponosząc najmniejszego szwanku. Innym razem, opętane, wybiegały na czworakach ze szkoły, szczekając i wyjąc, jak wilki, staczały z napotkanymi psami zażarte walki, rzucały się na przechodniów.

Innym znów razem, dziewczęta przepowiadały przyszłość. Idąc ulicami miasta, zatrzymywały przechodniów i wróżyły. Przepowiednie, jak twierdzą współcześni kronikarze, były naogół trafne. Zjawiskami zainteresował się król i wysłał do Cambrai sędziego śledczego. Dziewczęta, działając zawsze z zadziwiającą solidarnością, oświadczyły, że sprawczynią nieszczęścia jest niejaka Janina Pothiere, nauczycielka. Spotykała się ona z diabłem, ni mniej ni więcej... tylko cztery razy i wraz z nim obmyślała zamachy na dusze chrześcijańskie!

Nieszczęsną Janinę Pothiere oczywiście osadzono w więzieniu, gdzie wkrótce zmarła na gruźlicę.

Dalej...

Znienacka w 1521 r. wybucha, w górach Jurajskich, straszne, niespotykane dotychczas opętanie. W lasach ukazują się wilkołaki, czyli mężczyźni w postaci wilków.

Denuncjacja zbiera obfite plony. Aresztowani wariaci nie bronią się nawet. Sami wymieniają fantastyczne cyfry swych ofiar, wymieniają daty i miejsca, w których popełnić mieli zbrodnie. Co prawda nigdzie nie znaleziono śladów wilczej uczty, ani kości, ani strzępów

ubrania — lecz cóż to kogo obchodziło! Usunął je szatan!

Dwóch jest głównych sprawców: Piotr Burgot i Michał Verdung. Burgot, stawiony przed sądem, bez żadnego nacisku, złożył tak przerażające zeznania, że prokurator aż zemdlał ze strachu. Nie poprzestając na oskarżeniu samego siebie, wilkołak wymienia wspólnika-towarzysza. Był nim sąsiad jego Filibert Monot, który dowiedziawszy się o tym fakcie, przepadł, jak kamień w wodę. Szukano go w górach, wreszcie zabito jakieś stare wilczysko. Sędziowie orzekli, iż jest to właśnie Filibert Monot... i sprawiedliwości stało się zadość!

Teraz dojdziemy do kuliminacyjnego punktu.

Stary sędzia Remigius, co nie jeden dziesiątek czarownic posłał na stos, dnia pewnego oświadcza, iż czuje, że jest opętanym od diabła. Osadzają go oczywiście w więzieniu a koledzy, z płaczem i prawdziwym bólem serca, skazują go — na spalenie żywcem!

W Polsce masowe epidemie należały do rzadkości.

W 1652 r. połowa mieszkańców Korczyna była opętana przez czarta, ludzie wrzeszczali i broili dziwy.

Poza tym odnajdujemy tylko poszczególne wypadki. W szlachcica sandomierskiego Łukasza Słupeckiego, łotra i rabusia, wlazł diabeł 28 grudnia 1459 r. i dręczył nielitościwie. St. Reszka opowiada o pewnej mieszczce Krakowskiej, heretyczce, którą diabeł dręczył za to, że szydziła z katolickiej procesji („Czary i czarty polskie") Należy przyznać, że diabeł był pobożny!

W 1649 r., w Okszy, bies opętał cały dom szlachcica ewangelika Andrzeja Kosny, łamał sprzęty, bił ludzi, miotał rozpalone głownie, wrzucał potrawy w nieczystości etc.

Są to jednak nieliczne przykłady, w zestawieniu z olbrzymią falą histero-epilepsji, która szła przez zachodnią Europę.

Gdy znamy obecnie podłoże historyczno-psychiczne walki, z czarownictwem — przejdziemy do najgłośniejszych przykładów, procesów, które trudno pominąć milczeniem — zawierających oskarżenia o uprawianie magii.

Doprawdy, nie wiadomo co w nich więcej podziwiać — głupotę, naiwność, czasem złośliwość i przewrotność sędziów — czy bezbrzeżnie idiotyczne zeznania świadków. Jeśli odrzucić wypadki świadomie stronnego sądzenia — jak w sprawie Urbana Grandier — przyznać należy, że istotnie wszyscy oni byli opętani przez diabła t. j. zabobon i histerię.

Więc...

Sędzia z Cambari, Henryk Boguet sam opowiadał, iż skazał na śmierć jakąś kobietę, ponieważ brakowała jej część różańca — nieomylny znak czarownictwa.

Wmawiają inkwizytorzy w jakiegoś chłopczyka, że uczestniczył w sabatach wraz z ojcem. Dziecko, dobrze nie wiedząc o co chodzi, powtarza oskarżenie — i ojciec żywcem został spalony na stosie...

Podobnych faktów można cytować dziesiątki i setki — sądzę, zbytecznie. Wobec tego, przejdę odrazu, do dwóch wielkich procesów — Ludwika Gaufridi i Urbana Grandier.

ROZDZIAŁ XIX

PROCES LUDWIKA GAUFRIDI.

W 1610 r. jeden z tych szałów, o których przedtem wspominałem, ogarnął szkołę żeńską przy klasztorze Św. Urszuli w Marsylii. Kandydatka na mniszkę, Magdalena de la Palud zwierzyła się koleżankom, że w jej ciele zagnieździł się cały legion diabłów. Słowa te zostały przyjęte okrzykiem trwogi a natychmiast jedna z koleżanek Magdaleny, Ludwika Capeau również poczuła w sobie trzech diabłów.

Gdy poczęto doszukiwać się przyczyny nieszczęścia, obie jednomyślnie, wskazały na proboszcza Ludwika Gaufridi, znanego z pobożności i dobrych uczynków.

— Ależ to święty człowiek! — przerywa im sędzia.

— Wszystko udane — powiada Magdalena — w istocie to zbrodniarz!

Proboszcza aresztują, początkowo broni się zapamiętale... lecz po ośmiu miesiącach więzienia, nie jest sobą. Przyznaje się do zbrodni, opowiada o swych wędrówkach na piekielne orgie z czarownicami, o uwodzeniu niewiast...

Po tym wstępie, przytoczę niezwykle ciekawy opis procesu, pomieszczony w rzadkiej książce Dom Calmeta, a noszący tytuł „Opowiadanie o Ludwiku Gaufridi i Magdalenie de la Palud, którzy sami przyznali się do czarownictwa“.

„Proboszcz z Marsylii, Ludwik Gaufridi, został w 1611 r. oskarżony o magię i osadzony w więzieniu. Wedle własnego zeznania, odziedziczył po wuju, wraz z innymi

przedmiotami, księgę zaklęć magicznych. Nie zwrócił na nią uwagi, lecz dnia pewnego zapragnął wypróbować jej siły. Pojawił się demon i zawarł pakt trojakiego rodzaju. Za oddanie duszy, ciała i życia przez Gaufridi'ego — obiecywał potrójną nagrodę: 1) uczynić go najmądrzejszym księdzem prowincji, 2) na przeciąg lat 54 — uwolnić od chorób i dolegliwości, 3) wzbudzać miłość namiętną we wszystkich niewiastach, na które ksiądz tchnie.

Gaufridi przybywa do Marsylii i staje się człowiekiem przez wszystkich uwielbianym za rozum i wykształcenie. Zewsząd biegną doń piękne penitentki, na którą tchnie — ta nie jest w stanie się oprzeć.

W ten sposób uwodzi zamężną damę szlachetnego urodzenia, niejaką Perrinę, później dziewicę Buchettę i Pintadę. Specjalny parol zaginia na Magdalenę de la Palud. Poczyna bywać w domu rodziców — Magdalena ma wówczas 10 lat. Staje się wychowawcą, a nic nie podejrzewający rodzice, radzi są, tak pozornie świętobliwemu kierownictwu. Opanowywuje, specjalnie przy pomocy chuchań, dziewczę całkowicie. Gdy podrasta — jest mu oddaną dusza i ciałem. Dmuchania praktykuje również na matce — też pani de la Palud miłuje bezgranicznie duchownego. (Szczegół ‚chuchań" — wcale ciekawy — istotnie, magnetycznie, można opanowywać w ten sposób jednostki podatne i nerwowe i szczegół podobny przytaczano o gnostyku Marcosie — nieodpartym zdobywcy niewiast).

Dnia pewnego, gdy Magdalena znajdowała się sama w domu, przybył Gaufredi i zabrał z sobą na spacer. Zaprowadził do pieczary — tańczył tam szereg osób dokoła kozła. Dziewczynę ogarnął lęk. „Nie bój się — uspakajał towarzysz — to nasi przyjaciele, będziesz należała do naszego grona!" Potem powiedział, że ponieważ jest już jego kochanką, złączy ją obecnie z księciem ciemności, zacieśni tym ich własny związek. Był jej duchowym przewodnikiem — wyraziła zgodę.

Zgromazalni okrzykiem radości powitali pakt. Pogrążono Magdalenę w kąpiel z siarki — z całej duszy musiała wyrzec się Boga i religii. Krwią własną, utoczoną z palca serdecznego, podpisała cyrograf. Szatan uczynił jej parę tajemniczych znaków na ciele — poczym obecni rozpoczęli pląsy, obwołując nową adeptkę — królową zebrania.

Odtąd Magdalena regularnie odwiedzała sekretne stowarzyszenie. Gaufredi należał doń od czasu związku z czartem i piastował nawet godność — księcia francuskich, angielskich, niemieckich i tureckich sabatów, słowem, przewodził demonom Europy i Azji. W dowód specjalnej łaski, Magdalena otrzymała od Asmodeusza czarcika własnego — miał spełniać zachcianki i baczyć nad jej prawowiernością w szatańskim związku.

Podobny porządek rzeczy trwał dość długo — lecz pod wpływem wyrzutów sumienia, zapragnęła dziewczyna wstąpić do klasztoru Św. Urszuli. Wszelkimi sposobami starał się przeciwdziałać Gaufredi zamierzeniu — gdy perswazje niepomogły — zagroził, że ześle, przez zemstę na klasztor, wszystkie moce piekielne. To też, od chwili wstąpienia w poświęcone progi, stale oblegało Magdalenę pięciu diabłów, wyczyniających tak niemożebne hałasy, iż w spokojnym zawyczaj klasztorze — życie stawało się nie do zniesienia. Specjalnie natarczywie dokuczali w piątki i środy — dni sabatów — w dni te duszę dziewczyny ogarniał niepojęty lęk, śmiertelna udręka.

Te i różne inne sprawy, opowiedziała panna de la Palud sędziemu inkwizytorowi. Między innymi wyliczyła, po łacinie, nie władając uprzednio tym językiem, hierarchię piekielną, tudzież dwudziestu czterech najgłówniejszych czartów.

Na skutek zeznań dnia 21 lutego 1611 r. Gaufridi został aresztowany.

Ksiądz zaprzeczał wszystkiemu. Magdalena potwier-

dzała zeznania. Ale gdy ich skonfrontowano osobiście — rozpłakała się i jęła odwoływać — co mówiła było kłamstwem i wymysłem, sama nie wie, co plotła — on jest człowiekiem świętym! Gaufridi przyznał, iż pomiędzy nimi zachodziły bliższe stosunki, lecz stosunków z siłą nieczystą nigdy nie utrzymywał — panna de la Palud jest opętaną przez diabła!

Jednak w parę dni później sam zawezwał sędziego i złożył takie oświadczenie: dotychczas nie mógł powiedzieć prawdy, bo gdy powziął ten zamiar, przybył doń Lucyfer i zagroził ukręceniem karku. Na zadatek obił dotkliwie. W rzeczy samej uczęszczał na sabaty i wnet wyliczy szczegóły. Jest tam ogromny dzwon, wagi stu funtów, jak uderzą w dzwon, walą się klasztory. Jeśli zaś przypadnie się do gustu Lucyferowi, to sprowadza piękne niewiasty i uczy fruwać po powietrzu.

Tak...

Oczywistym było, że Gaufridi, ze strachu, na skutek zeznań histerycznej kochanki — zwariował. Oczywistym to było dla wszystkich, za wyjątkiem jego sędziów. Ci, z głębokim przekonaniem, osądzili wielkiego czarownika.

„Ponieważ podsądny Ludwik Gaufridi w różnych częściach ciała posiada miejsca nieczułe na ból, z których przy kłuciu nie sączy się nawet kropla krwi, ponieważ tenże Gaufridi miał stosunek cielesny z dziewicą Magdaleną de la Palud i odwiodłszy takową od wiary chrześcijańskiej, skłonił do hołdowania szatanowi, tenże że Gaufridi posiadał czartowską księgę zaklęć, dzięki czemu nakłaniał do rozpusty dziewice, bywał na sabatach i czynił wiele bezbożnych i nieprzystojnych spraw— skazujemy pomienionego Ludwika Gaufridi'ego za wszystkie wyszczególnione przestępstwa:

1) na pokutę publiczną — oprowadzony zostanie we włosienicy, z gromnicą i sznurem na szyi, po wszystkich ulicach miasta Aix,

2) po czym poniesie śmierć przez spalenie na stosie, popiół zaś jego rozrzuconym zostanie na cztery strony świata.

3) przedtem poddany będzie torturze zwyczajnej i nadzwyczajnej, aby wymienił swoich wspólników".

Tak brzmiał wyrok. Poddany zwyczajnej i nadzwyczajnej torturze — Gaufridi nikogo nie wymienił i podczas najgorszych męczarni, zanosił się od śmiechu — nieszczęsny szaleniec!

Magdalena de la Palud nie poniosła kary: zasada inkwizytorów brzmiała: kto sam siebie denuncjuje, a przytym okrywa hańbą — niechaj mu hańba wystarczy!

ROZDZIAŁ XX

PROCES URBANA GRANDIER.
(1634)

Proces Urbana Grandier należy do najciekawszych w historii. Jeśli sędziowie nie działali, jak twierdzi w swych „Crimes celebres“ A. Dumas, w dobrej wierze — a spisek to — sprawa jest najpotworniejszą, jaką kiedykolwiek napotkać można.

Urban Grandier był proboszczem kościoła Św. Piotra w mieście Loudun. Młody, przystojny, wykształcony posiadał wady duże — był mocno zarozumiały i traktował prowincjonalne otoczenie z góry, oraz... miał słabość do pięknych dam, z czym nie ukrywał się zbytnio, te zaś uwielbiały pociągającego kaznodzieję. Na tle takiego partykularza, jakim było Loudun, obie wady, czy zalety, w zupełności wystarczały, by posiąść wrogów, co niemiara. Toteż zawistni koledzy, specjalnie księża Mignon i Barré, niejednokrotnie zwracali się do przełożonej władzy, donosząc, iż proboszcz parafii św. Piotra wiedzie żywot grzeszny i sieje zgorszenie.

Ostatnia skarga wypadła dla delatorów niepomyślnie. Dowodów bezpośrednich nie było, a biskup, ceniący wysoce wykształconego Urbana Grandier, nie tylko nie przyznał im racji, lecz dał niesłusznie obwinionemu — całkowite zadośćuczynienie. Grandier popełnił wówczas błąd nie do darowania. Dał się unieść szatanowi pychy i powrót do Loudun, on czasowo zasuspendowany, odbył uroczyście. Szedł triumfalnie przez ulice miasta, z gałęzią oliwną w ręku, niby prorok nowy i tą gałęzią

trzykrotnie uderzył w drzwi kościoła Św. Piotra. Te przed nim się rozwarły, zajaśniało wnętrze setkami świateł, a parafianie powitali duchownego okrzykami radości.

Drobna ta zemsta, czy śmiesznostka, pociągnęła skutki fatalne. Od tej chwili zguba Urbana Grandier była postanowiona.

Wrogowie przycichli, lecz nie dali za wygraną. Tu następuje dziwny zbieg okoliczności. Ksiądz Mignon zaproszony zostaje do klasztoru urszulanek w Loudun na spowiednika, a bardzo szybko potem w klasztorze wybucha zaraza opętania.

Przełożoną klasztoru jest matka Janina des Anges (z aniołów), nosząca prawdziwe nazwisko Janiny de Belfiel. Poczyna miewać ataki i krzyczy, że zamieszkał w niej szatan. Wślad za nią mniszka — siostra Klara, a później reszta zakonnic.

Najważniejsze są zeznania matki przełożonej. Egzorcyzmuje ją zawzięcie ksiądz Barrè, a podczas egzorcyzmów czart daje na pytania odpowiedzi, w języku łacińskim. Snać specjalnie upodobał sobie tę mowę.

Ks. Barré pyta siedzącego w niewieście diabła, czy wszedł w nią na zasadzie paktu. Otrzymawszy odpowiedź twierdzącą, indaguje:

P.: Quis finis pactis? (Jaki cel paktu?)

O.: Impuritas (Nieczystość).

P.: Quis atulit pactum? (Kto przyniósł pakt?)

O.: Magus (Mag).

P.: Quale nomen magi? (Jak nazwisko maga?)

O.: Urbanus (Urban).

P.: Quis Urbanus? Estne Urbanus papa? (Co za Urban? Czy nie Urban-papież?)

O.: Grandier (Grandier).

P.: Qujus qualitatis? (Jaki zawód?)

O.: Curatus (Proboszcz).

Zeznanie powinno było zrobić wrażenie potężne — pośpieszono się je ogłosić. Ale miejscowe władze cywilne, niezbyt się nim przejęły. Udały się na miejsce, podejrzewając nową intrygę Ks. Barrè przeciw proboszczowi Św. Piotra i jęły diabła rozpytywać osobiście. Ponieważ czart, na postawione pytania dawał fałszywe odpowiedzi, np. źle wskazał miejsce, w którym miał przebywać Grandier, co wykluczało jego właściwości diabelskie, jako istoty wszechwiedzącej — wzruszono ramionami i zaproponowano mniszkom, by zachowywały się spokojniej.

Istotnie na czas jakiś wszystko ucichło, szatan zawstydzony drapnął, milczenie zapanowało w klasztorze i zapewne na tym by się skończyło, gdyby nie nowa okoliczność:

Do Loudun przybywa z Paryża dygnitarz, niejaki pan Laubardemont, prawa ręka wszechwładnego wielkorządcy Francji — kardynała de Richelieu. Posłyszawszy o całej sprawie i oskarżeniu Urbana Grandier — zapala się nadzwyczajnie. Dlaczego? Sekret polega na tym, iż wie, że kardynał nienawidzi Urbana, przypisuje mu bowiem autorstwo anonimowego pamfletu, skierowanego przeciw jego osobie.

Pozatym Laubardemont jest powinowatym przeoryszy Janiny des Anges. Teraz rozpoczyna się nowa faza. Opętanie z siłą podwójną wybucha w klasztorze, a wszyscy wrogowie proboszcza parafii Św. Piotra, podnoszą głowy do góry.

Na chwilę odbiegnę od toku opowiadania. Że Laubardemont odegrał w procesie rolę wstrętną, ohydną i łotrowską — wątpliwości nie ulega. Natomiast zdania historyków, co do samej treści opętania, są podzielone. Dumas uważa sceny histerii i konwulsji za zgóry ułożone i ukartowane. Eliphas Levi, natomiast, twierdzi, iż nie wydaje mu się możebnym, aby wszystko było ko-

medią i by aż tylu ludzi dało się wciągnąć do niecnego spisku. Mniema, że histeryczne mniszki, przebywające w asceze, wciąż słysząc o pięknym proboszczu, jęły śnić o nim na jawie i w rzeczy samej wydawało im się, że do nich, po nocy, przybywa, je kusi... Dodaje Eliphas szczegół ciekawy — nie pamflet miał być przyczyną nienawiści kardynała do Grandier. Obaj, pono, zajmowali się magią: Urban posiadał tajemnicę transmisji laski magicznej — i Richelieu na próżno przelania tej tajemnicy, jakoby się domagał...

Pozostawmy domysły i wróćmy do toku sprawy.

Przyjaciele duchownego doradzają mu ucieczkę. On, w poczuciu niewinnności, pozostaje. Tymczasem, po pierwszym przesłuchaniu zakonnic, Laubardemont wydaje nakaz aresztowania. Osadzają go w więzieniu w Angers, w lochu, godnym raczej psa, niżli człowieka. Grandier zachowuje się ze stoicyzmem i godnością.

Pisze do matki:

> „Znoszę udrękę cierpliwie i więcej się martwię o smutek, który wam sprawiłem, jak o siebie. Bardzo mi niewygodnie bez łóżka. Przyślijcie moje — jeśli ciało nie wypoczywa — duch upada. Przyślijcie brewiarz i biblię. Co do reszty — nie troszczcie się. Bóg wykaże mą niewinność...“

Niestety...

Laubardemont prowadzi cały proces z teatralnymi efektami. W katedralnym kościele w Loudun odbywają się jakgdyby publiczne przedstawienia. Świątynia jest nabita widzami, a w ich obecności sprowadzone mniszki, właściwie czart w nich siedzący, mają dawać dowody nadludzkiej potęgi. Razu pewnego, diabeł przez usta przeoryszy, oświadcza, że zdejmie Laubardemontowi niewidzialnie czapkę z głowy. Nie potrafił tego dokonać, a natomiast, pisze Dumas, na dzwonnicy łapią ludzi, usiłujących za pomocą haczyka na sznurku, miast szatana,

złowić przewodniczącemu beret. Innym razem anonsuje: niechaj sześciu atletycznych mężczyzn trzyma matkę Janinę — będzie ona silniejszą, wymknie im się z rąk!"

Sześciu drabów występuje z audytorium. Po chwili matka Joanna jest wolna — stróże leżą na ziemi. Ale wnet zgłasza się doktór Duncan, nieco sceptycznie usposobiony, i proponuje, że sam, bez niczyjej pomocy, opętaną unieruchomi. Ujmuje przeoryszę za ręce i ta, mimo rzutów i skoków — wyrwać się nie może.

Śmiech biegnie po kościele... lecz Laubardemont z najpoważniejszą miną ogłasza: „wszak i czart zmęczyć się może!"

Najdramatyczniej wypada scena konfrontacji Urbana Grandier z histeryczkami, czy komediantkami. Na widok proboszcza krzyczą: „oto winowajca!" Pragną się rzucić na niego, rozszarpać na kawałki. Siłą trzeba ochraniać oskarżonego. Ten, zachowuje całkowity spokój, z pogardą patrzy na rozszalałe wiedźmy. W pewnym momencie proponuje: „jeśli naprawdę z mej winy czart wcielił się w mniszki, niechaj da widomy znak, niechaj wyjdzie i ukręci mi szyję!"

Próba zaproponowana, nie przypada do gustu Laubardemontowi. „Gdy diabeł tego nie uczyni — mówi — nie będzie to żaden dowód. Wszak mógł pomiędzy nim a oskarżonym zajść układ tajemny, że mu go ruszać nie wolno!"

Chyba przytoczonych próbek sposobu prowadzenia procesu wystarczy!

Laubardemont widząc, że publiczne przedstawienia nie osiągają celu, raczej coraz bardziej rozdrażniają umysły — postanawia skończyć. Rada prosta i wypróbowana: poddać Urbana Grandier — torturze! Wszak wyrok jest zgóry postanowiony!

Oszczędzę czytelnikom opisu wstrętnych i do głębi poruszających scen męki. Męczennika ogolono ze wszystkich włosów na ciele, poczym chirurg Manouri pastwił

się nad nim, krwawiąc lancetem w poszukiwaniu stygmatów diabelskich. Później wydano go w niezawodne ręce mnichów — brata Laktancjusza i brata Tranquille. Z ich badania wyszedł Grandier ze zmiażdżonymi nogami. Lecz ani jedno słówko przyznania, ani słówko skargi nie wyrwało się z ust ofiary. Od czasu do czasu powtarzał: „Skróćcie me katusze! Nie doprowadzajcie duszy do rozpaczy! Wy ojcowie? wy... i nie macie litości!“

W czasie tortur, zadawanych męczennikowi — mniszki, jakgdyby przyszły do przytomności. Poczęły cofać zeznania, rozpaczać, że zgubiły niewinnego. Lecz było zbyt późno... a Laubardemont zbyt zaangażowany... Oświadczył krótko: „Diabeł jeszcze je trzyma w swej mocy i pragnie ratować wspólnika“ („Les diables de Loudun“).

Wyrok na Urbanie Grandier wykonano dnia 18 sierpnia 1634 r. Spalono go żywcem. Gdy zsadzano ofiarę z wózka, mając nogi zmiażdżone, padł twarzą na bruk. Podniósł Urbana jeden z obecnych.

— Jeszcze są ludzie miłosierni na świecie! — zawołał męczennik z oczami pełnymi łez.

Później przywiązano nieszczęsnego proboszcza do słupa i buchnął ogień płomieni. Podobno, w ostatniej chwili kat przyłożył mu krucyfiks do ust, by nie mógł przemówić i rozczulić tłumów...

Ohydne!

Lecz istnieje jakaś sprawiedliwość na świecie, wymierzająca karę poza „sprawiedliwością człowieka!“

W parę dni później ogarnia obłęd ojca Laktancjusza. Umiera prześladowany strasznymi wizjami. Za nim w ślad idzie drugi egzorcysta — ojciec Tranquille. Po nich, z kolei — chirurg Manouri — kat Urbana. Widzi wszędzie okrwawioną ofiarę i krzyczy, że Grandier przyszedł go udusić.

Kończy żywot wśród nieopisanych mąk.

Pozostaje jeszcze Laubardemont. I ten nie uchodzi

bez kary. W tragicznych okolicznościach ginie jego syn, sam zaś popada w niełaskę.

Co się tyczy mniszek — większość uległa w zidioceniu kompletnemu.

Takimi były straszliwe dzieje procesu Urbana Grandier.

ROZDZIAŁ XXI

MAGIA PRAKTYCZNA.

Zainteresuje zapewne czytelnika, w jaki sposób odbywają się ewokacje magiczne. Nie będę tu przytaczał skomplikowanych ceremonii i rytuałów, o których pisałem obszernie w mojej książce „Magia i czary".

Zaznaczę tylko, że dla wykonania podobnego doświadczenia konieczne jest, w myśl przepisów okultyzmu t. zw. koło magiczne. Podobnych kół magicznych, czyli pentakli lub pentagramów, istnieje nieskończona ilość i podziwiać je możemy w różnych starych księgach, traktujących o wiedzy tajemnej. Prawie każdy mag układa koło według własnego wzoru.

W podobne koła wpisuje się szereg kabalistycznych znaków, cyfr i nazw, mających za zadanie, według wtajemniczonych, przyciąganie duchów.

Prócz tego do ewokacji używana jest jeszcze zazwyczaj różdżka magiczna, tak samo pokryta odpowiednimi napisami.

Sama ceremonia wywołania odbywa się zazwyczaj o północy i przyjmuje w niej udział trzy osoby. Dla powodzenia nie są one niezbędne, gdyż właściwie wszyst-

ko zależy od prowadzącego doświadczenie, czyli ewokatora — kontrolują one jednak odebrane wrażenia i dzięki nim ustrzec się można od tak łatwo zachodzących przy podobnych eksperymentach objawów halucynacji.

Ewokacja może mieć miejsce zarówno na powietrzu, jak w zamkniętym lokalu. W zamkniętym lokalu, oczywiście jest udatniejsza, gdyż daje więcej skupienia.

Kiedy ma miejsce w pokoju, częstokroć palone są tam wonne kadzidła.

Ewokator, po ukończeniu wszystkich przygotowań, zajmuje miejsce w kole, rozpoczyna szereg zaklęć, składających się przeważnie z bezsensownych słów i niemniej idiotycznych wykrzykników — i zjawy po pewnym czasie ukazują się...

W książkach magicznych czytamy dalej następujące przepisy (streszczam je według Korneliusza Agrippy):

„O jednej rzeczy stale należy pamiętać: kto nie jest pewien swych nerwów — nigdy nie powinien próbować ewokacji magicznych. Musi cały czas panować swą wolą nad zjawiskami, inaczej eksperyment zakończy się smutnie. Koło, w którym się znajduje, chroni go całkowicie przed widmami, nie mogą one go przekroczyć (?) — aby je oddalić wystarcza wyciągnąć w stronę widm czarodziejską różdżkę. Jeśli ewokator pod wpływem lęku znajdzie się poza kołem, następstwa są nieobliczalne, może grozić nawet śmierć (?). Również nie powinien poddawać się woli widm, słuchać ich rad, opuszczać koła, nawet gdy o to proszą, a zadawać z góry przygotowane zapytania.

Następnie, chcąc aby znikły, odmówić t. zw. „formułę zwolnienia" i rozkazać im odejść. Tę formułę należy odmówić dla bezpieczeństwa, nawet i w tym wypadku, gdyby widoczne objawy nie nastąpiły".

Czytamy jeszcze u Paracelsa:

„W czasie ewokacji przyciągamy do siebie duchy zarówno dobre, jak i złe. Dokoła rozpustników, pijaków,

ludzi, hołdujących poziomym uciechom — wiecznie krążą larwy — cienie astralne, pragnące przy ich pomocy nasycić swe poziome instynkty. Dlatego człowiek zmysłowy, niski, przeważnie wywoła demona, a rzadko kiedy przybędzie do niego dobry duch. A przybycie demona związane jest z wielkim niebezpieczeństwem — demon owładnie i zapanuje nad wywołającym".

Z tej to przyczyny magowie wspominają, że przed każdym doświadczeniem niezbędne jest t. zw. „oczyszczenie". Wywołujący musi w ciągu kilku tygodni prowadzić odpowiedni tryb życia, zachowywać posty, przebywać w odosobnieniu, modlić się i starać udoskonalić duchowo. W ogóle bezkarnie mogą dokonywać ewokacji tylko magowie, t. j. tacy, którzy opanowali swe namiętności (por. moją książkę „Magia i Czary"), stali się ludźmi wyższymi, szlachetnymi i nie dążą przy pomocy magii do poziomych celów. Jednostka niska tylko naraża się wielce, a kto nie czuje się na siłach, aby się przerodzić, stać się lepszym, niechaj nigdy nie usiłuje eksperymentować. Będzie on tylko czarownikiem, którego prędzej czy później oczekuje smutny koniec.

W skróceniu podałem tu główniejsze magiczne przepisy, tyczące się ewokacji, nie chcąc ich powtarzać z innych moich książek. Ciekawi bliższego opisu tych ceremonij odnajdą je w dziełku „Magia i Czary".

Pozostaje nam tylko zastanowić się, jak na te wszystkie obrzędy zapatrywać się należy?

Czy istotnie dzięki narysowanym kołom z niezrozumiałymi znakami, idiotycznym zaklęciom, składającym się ze steku głupstw i abrakadabrycznych słów bez wszelkiego znaczenia, może nam się objawić jakiś duch?

Podobny nonsens nie pomieści się żadnemu inteligentnemu człowiekowi w głowie! A jednak duchy, jeśli w ogóle są to duchy, ukazują się w czasie tych ceremonij i tu nie kłamią magowie. Zresztą, zaraz podobne przykłady przytoczę.

Jakież więc jest wyjaśnienie? Niejednokrotnie sądzono, że kadzidła palące się w czasie ewokacji, a często przybierające zarysy postaci ludzkich, wprowadzały w błąd obecnych i że ci przyjmowali je za widma. Istotnie, nie raz tak było i różni szarlatani tym sposobem tumanili naiwnych. A jednak często nie stosowano kadzideł— mimo to ukazywały się niezwykłe zjawiska. Wyjaśnienia więc szukać należy zupełnie gdzie indziej.

Mianowicie, większość uczonych, którzy poważnie badali magię, jest tego zdania (z którym zgadzam się całkowicie), że to, co widzimy w czasie ewokacyj magicznych, nie różni się prawie zupełnie od objawów, zachodzących w czasie seansów spirytystycznych i że udatność podobnego eksperymentu zależy od większych lub mniejszych właściwości medialnych ewokatora, czyli od zdolności w nim samym ukrytych. Jeśli ewokator będzie silnym medium — zjawiska nastąpią, jeśli nie będzie — nic w ogóle się nie objawi i nie pomogą ani koła, ani zaklęcia. Dlatego też skompilkowane ceremonie, stosowane przy tych obrzędach w zasadzie nie są potrzebne, choć mogą być pomocne, o czym nie wiedzieli magowie, lub też stosowali je nieświadomie. Mianowicie, przygotowanie, polegające na t. zw. „oczyszczeniu", to jest poście, odosobnieniu etc. rozwija zdolności medialne, tkwiące w każdym człowieku (jak stwierdzają wybitni uczeni: Richet, Geley, Osty, Schrenk, Notzing etc.), a zagubione przez niewłaściwy zbyt poziomy tryb życia. Dalej bezsensowne kabalistyczne znaki, koła, zaklęcia etc. działając silnie na wyobraźnię uczestników, potęgują nerwowe napięcie, wprowadzają ich w pewien rodzaj transu i dzięki temu przyśpieszają objawy.

Oto jest naukowe wytłumaczenie zjawisk, zaobserwowanych w czasie magicznych eksperymentów. Nie będę tu się wdawał w rozważania, czy są to istotnie duchy, czy też tylko zmaterializowane twory naszej wy-

obraźni. Na ten temat toczone są nieskończone spory pomiędzy spirytystami a zwolennikami psychicznego badania zjawisk medialnych i istnieje olbrzymia literatura. Jedni wierzą, że zarówno w czasie ewokacji magicznych jakoteż na seanse spirytystyczne przybywają do nas istotnie nieziemskie istności i objawiają się przy pomocy siły, użyczonej im przez medium — inni twierdzą, że są to tylko ektoplastyczne emanacje, wyłaniające się z medium, mogące przybierać kształty ludzkich postaci, a nawet przemawiać ludzkim głosem, ale nie mające nic wspólnego z „duchami".

Powtarzam, nie zamierzam rozstrzygać tu tego sporu, w którym zarówno **pro** jak i **contra** zebrano nieskończoną ilość dowodów. Szczególniej, że istnieje trzecia teoria, neo-spirytystyczna, moim zdaniem najbardziej zbliżona do prawdy, a twierdząca, że w poszczególnych wypadkach zarówno z jedynymi, jak i z drugimi objawami możemy mieć do czynienia, czyli, że istotnie czasami, bardzo rzadko przybywają do nas nieziemskie istności, przeważnie zaś obserwujemy tylko medialne przejawy.

Przytoczyłem umyślnie te różne teorie, aby Czytelnik wyrobił sobie należyte zdanie o ewokacjach magicznych i o „widmach", które się na nich ukazują.

Z tego właśnie punktu widzenia należy się zapatrywać na ciekawe przykłady, jakie zaraz przytoczę.

WYNIKI DOŚWIADCZEŃ

W części pierwszej niniejszego rozdziału przedstawiłem zasady magiczne wywoływania zaświatowych istności — lecz zapewne zainteresują Czytelnika wyniki, osiągnięte podczas doświadczeń, mianowicie, jakie przybywały zjawy, w jaki sposób zachowywały się one i jakie dawały odpowiedzi na postawione pytania.

O próbie pierwszej — wywoływania na powietrzu — wspominać nie będę. Uczyniłem podobny eksperyment na rozstajnych drogach, w lesie — lecz poza jękami, głosami, ognikami błędnymi — nic ciekawszego nie zauważyłem.

Cisza nocy, szum drzew, tajemnicze snujące się cienie — wytwarzają dziwny nastrój, reminiscencje średniowiecznych sabatów — i dla prawdziwego romantyka posiadają wiele uroku. Zaznaczyłem jednak, że z powodu braku skupienia, rzadko kiedy zachodzą poważniejsze objawy.

Zato inne ewokacje magiczne dają mocniejsze wrażenia.

Opiszę tu kilka wypadków. Są to doświadczenia mego dobrego znajomego p. A. P., który mi je łaskawie nadesłał, i poniżej podaję je w całości. Niektórym osobom mogą się wydać fantastyczne, w gruncie rzeczy nie różnią się jednak niczym od objawów, zachodzących na seansach spirytystycznych i przedstawiają bardzo ciekawy dokument.

EWOKACJA MAGICZNA.

Od paru dni — pisze p. A. P. — skreśliwszy pentagram na pergaminie, przygotowany należycie, czyniłem próby ewokacji. Eksperymentowałem początkowo sam. Raz, że osobiście pragnąłem wyrobić sobie zdanie o skuteczności magicznych środków, powtóre — że pewnych i wypróbowanych towarzyszy, którzyby przez cały czas trwania objawów zachowali zimną krew i nie narazili siebie i eksperymentatora na niebezpieczeństwo — znaleźć dość trudno. Pierwsze trzy wieczory nie dały wyników. Zdawało mi się słyszeć jakieś szumy i szmery, lecz bojąc się iluzji, tak łatwej w podobnych wypadkach, nie przypisywałem im żadnego znaczenia.

Czwartego wieczoru, niezrażony niepowodzeniem, o północy, zapaliłem świece i kadzidła. Rozpocząłem zaklęcia. Nie zdążyłem dojść do formuły drugiej, gdy nagle z trzaskiem runęło stojące w kącie krzesło o podłogę. Zamarłem w oczekiwaniu. Jakieś stąpnięcia jęły się rozlegać dokoła pentagramu, coraz silniejsze i głośniejsze,— jakby odgłosy kopyt zwierzęcia.

— Ukaż się w widocznej postaci! — zawołałem.

W dalszym ciągu pokój był pozornie pusty — lecz odgłosy brzmiały zewsząd — szmery i chichoty.

Skupiłem całą siłę woli. Powolnie, dobitnie przystąpiłem do wymawiania formuły następnej.

Nie zdążyłem dokończyć zdania, gdy naczynie z kadzidłem padło na podłogę. Dym długą smugą snuł się ku

górze, a wśród tumanu, kształt niewyraźny tworzył się, postępował ku mnie. Wyciągnąłem różdżkę przed siebie. Widmo rysowało się coraz wyraźniej, głowa — co chwila zmieniająca rysy — to młodzieniec, to starzec, osadzona na długim, szarawym całunie. Zjawa była wysokości średniego wzrostu człowieka. Zbliżała się powoli, płynąc w powietrzu i zatrzymała na dwa kroki przed pentagramem. Chciałem zadać pytanie, gdy nagle uderzył mnie niby tok elektryczny. W bezbarwnej, falującej masie zabłysły oczy. Zionęły one na mnie taką nienawiścią, taką bezbrzeżną złością i pogróżką — iż, przyznaję, przeraziłem się. Zadrżałem i cofnąłem o pół kroku wstecz. Największy błąd! Chichot przebiegł po pokoju — widmo następowało coraz bliżej. Było tuż na granicy koła, wpatrywało się mnie uporczywie, szukało mego wzroku, hypnotyzowało. Czułem, iż przez pół sekundy lęku — utraciłem nad nim władzę. Ono teraz było panem. Snać nakazywało wyjść z koła i być uległym — myśli mięszały mi się w głowie.

Resztką przytomności wykrzyknąłem formułę zwolnienia.

Zaledwie zdanie skończyłem — uczułem wielką ulgę. Widmo rozpłynęło się, niby we mgle i chciałem, uradowany, opuścić koło, aby zaczerpnąć świeżego powietrza, gdy zabrzmiały w blat biurka trzy potężne uderzenia — zdawało się ktoś bije z całej siły kijem.

Powtórnie wymówiłem formułę zaklęcia — zapanowała cisza zupełna. Przeczekałem minut parę, wyszedłem z pentagramu. Blat biurka był porysowany i uszkodzony, w kącie leżało krzesło ze złamaną nogą.

Doprowadziłem pokój do porządku i udałem się na przechadzkę. Powróciłem po godzinie i zasnąłem twardym, kamiennym snem — przez noc całą jednak się wydawało mi się, że ktoś mnie dotyka, szczypie, i ściąga kołdrę.

— — — — — — — — — — — —

Nazajutrz wstałem obolały i zmęczony, jednak ze spokojnymi nerwami. Wstydziłem się mej małoduszności, która nie pozwoliła mi doświadczenia doprowadzić do końca. Mimo pewnej odrazy i nieokreślonego uczucia niebezpieczeństwa — postanowiłem eksperyment powtórzyć tejże nocy ponownie.

Dzień cały spędziłem w odosobnieniu, unikając ludzi. Raz jeszcze przewertowałem uważnie stare księgi o ewokacjach, specjalnie „Clavicula Salomonis" i Korneliusza Agrypę, a do ceremoniału dołączyłem szpadę, mającą, zdaniem magów, zmuszać oporne, szczególnie złośliwe duchy, do posłuszeństwa.

Z uderzeniem dwunastej godziny znajdowałem się wewnątrz koła. Płonęły świece i kadzidła, ja dzierżyłem w jednym ręku miecz — w drugim zaś różdżkę magiczną.

Przede mną na niewielkim pulpicie leżały księgi zaklęć i formuły. Do moich dołączyłem jeszcze więcej skomplikowane zaklęcia kabalistów.

„Za wszelką cenę zachować spokój!" — myślałem. Wolno i dobitnie jąłem czytać inwokacje. Nagle zabrzmiał lekki szelest. Podniosłem głowę. W odległości trzech kroków chwiała się postać nieokreślona, mglista.

— Ukaż się i bądź posłuszny! — wymówiłem, wyciągając w kierunku widma szpadę.

Postać przyjęła wyraźne kontury i stała przede mną. Był to siwowłosy starzec o długiej brodzie i poważnych rysach twarzy, okutany w szeroką, grecką togę, lub coś, w rodzaju szarawego, do samej ziemi płaszcza. Zatrzymał się tuż przy pentagramie — spoglądał poważnie, lecz przychylnie.

— Czemuś mnie wołał? — popłynął cichy szept.

— Kto jesteś? — zapytałem. — Rozkazuję odpowiedzieć!

— Jestem ten, któregoś wzywał!

Ponieważ właściwie nie wzywałem nikogo, pragnąc jedynie wywołać nieokreślone objawy — zgóry byłem przygotowany, że na początkowe doświadczenia przybędą duchy niższego rzędu, najłatwiejsze do przyciągnięcia — obecność wzbudzającego szacunek widma, w postaci poważnego, siwowłosego starca, przeczyła przewidywaniom. Pytałem dalej:

— Jesteś duchem dobrym, czy złym?

— Nie ma duchów złych i dobrych! — usłyszałem odpowiedź — są oczyszczone, nie oczyszczone, lub tylko nikłe cienie.

— Ty do jakich należysz?

— Sam nie wiem. Mądrość świata nie zadecydowała o mym losie!

Odpowiedzi były ogólnikowe i nieokreślone.

— Czy możesz odpowiadać na wszelkie pytania?

— O ile w mej mocy... długo z tobą przebywać nie wolno...

— Czemu?

— Zabroniono mi o tym mówić?

— Czy możesz dać parę wskazań, co się u was „tam" dzieje, w krainie umarłych?

— Nie!

— Nie? Czyż również ci zabroniono?

— Gdybym mówił — niepojąłbyś słów moich. Słowa nie opiszą krainy zmarłych.

— Jednak byli tacy, którzy poznali tajemnice śmierci!

— Nie opisywano im zaświatów, sami je zwiedzali!

— W jaki sposób?

— Szli za przewodnikiem bezpiecznie i wracali. Wystąp z koła, pójdź za mną! Zobaczysz!

— Wszak nadmieniłeś przed chwilą, że długo ci ze mną przebywać nie wolno — wolno ci zabierać mnie z sobą?

— Tego nie zakazano! Zakazano przebywać na ziemi

— Więc?

— Wystąp z koła i pójdź ze mną!

Głos brzmiał tak poważnie i uroczyście, że już miałem poddać się woli widma. Lecz jeszcze nasunęła się refleksja.

— Daj dowód, żeś nie duchem ciemności?

— Powiedziałem — duchów ciemności nie ma. Sam o tym się przekonasz!

— Jednak bywają złośliwe!

Tu przypomniały mi się wczorajsze przygody.

— Te szkodzić nam nie mogą! Chodź!

Poruszył się, jakby kierując do wyjścia. Ruchem ręki zapraszał i wskazywał drogę. Ciężar jednak jakiś przykuwał moje nogi do miejsca. Chciałem postąpić krok naprzód — nie mogłem.

Zjawa spojrzała ironicznie, drwiąco:

— Boisz się?

— Nie boję się! — zawołałem nagle, pod wpływem nieokreślonego impulsu, — lecz przyzwałem cię, abyś był posłuszny mej woli i odpowiadał na pytania! Ty mnie chcesz podporządkować sobie! Dobrze, uczynię próbę! Pójdę za tobą! Lecz przódy powiedz kim jesteś, lub zgiń i szczeźnij!

Syk i świst zadźwięczał po pokoju. Fantom skłębił się, zatracił postać ludzką, zamienił w dziwaczną, mętną i ruchomą bryłę, coś na kształt mglistej kuli — z kuli na chwilę wyjrzała twarz o gorejących oczach, a te jarzyły się taką nienawiścią, że wzdrygnąłem cały. Ten wzrok — to był ten sam, co wczoraj mnie hypnotyzować usiłował. Dziś byłem opanowany.

Raptem wszystko znikło, tylko leciuchny szept przebiegł:

— A jednak przyjdziesz do mnie...

Odmówiwszy raz jeszcze formułę zwolnienia, opuściłem koło, nie niepokojony przez żadne objawy.

Tej nocy spałem spokojnie. Czyżby to była tylko halucynacja?

Nazajutrz, gdy się obudziłem, jąłem rozważać. Byłem w pokoju podczas doświadczeń sam — myślałem — może uległem omanowi, ułudzie zmysłów? Wprawdzie rozbite biurko i połamane krzesło, świadczyły o prawdziwości doznanych wrażeń — lecz dla sceptyków stanowiły dowody, może jeszcze mało przekonywujące.

— Dla całkowitej kontroli, postanowiłem powtórzyć eksperyment, w obecności dwóch świadków, za dni parę.

Na towarzyszy wybrałem p Mikołaja Sz. i Macieja Skr., zamieszkałych w Warszawie — obu byłych wojskowych, ludzi wypróbowanej odwagi, a wielkich miłośników nauk tajemnych, których znałem oddawna.

Opisałem im moje dotychczasowe próby i tym razem uradziliśmy, wywołać, o ile jest to możliwe, zjawę zjawą określoną, niedawno zmarłego artystę R. S. — określoną, niedawno zmarłego artystę R. S. — dobrego naszego znajomego za życia, a spirytystę zapalonego.

Mimo, że przyjaciele moi, nie przyjmowali bezpośredniego udziału w ewokacji, doradziłem dla bezpieczeństwa — parodniowe czyszczenie (3 dni) — po czym przystąpiliśmy do obrzędu. Aby uniknąć wszelkiej możliwej iluzji — tym razem odrzuciłem kadzidła — mogą one bowiem swym aromatem dopamagać halucynacjom a ich smugi częstokroć przyjmują kształty ludzkie.

W czasie przypisanym zajęliśmy nasze miejsca w pentagramie i po chwili skupienia, w ciszy zupełnej, powtarzałem udoskonaloną, na zasadzie poprzednich doświadczeń, formułę ewokacyjną. Wymówiłem ją raz — zjawiska nie nastąpiły, powtórzyłem — równie bezskutecznie, zrażony nieco, przystępowałem do trzeciego czytania, gdy, nagle, stojący z prawej strony poza mną, pan Maciej Skr. szepnął.

— Patrz!
Spojrzałem. W kącie chwiał się niewyraźny cień.
— R. S. — zowałałem — jeśli jesteś, ukaż się!
Cień przybliżał się, lecz nie przybierał określonych kształtów.
— R. S. — powtórzyłem — czy możesz stać się widoczny? Wszak tu ci sami, co kochali cię za życia!
Nagle nastąpił błysk i przed nami zamajaczył R. S. — tak, jak pamiętaliśmy go zawsze, wysoki, blady, starannie uczesany, w ciemnym ubraniu.
Wrażenie było potężne.
— Czego chcecie? — wymówił głuchym, przytłumionym głosem.
— Romanie! Tyżeś to? Ty? — zawołałem, drżąc ze wzruszenia — poznajesz nas?
— Tak! — odparł i apatycznie wymienił nasze nazwiska.
— Drogi Romanie! A więc hermetyzm jest naprawdę potęgą, przezwyciężającą śmierć! Powiedz nam coś o sobie?
— Niewiele się dowiecie. Zresztą prędko opuścić was muszę! Uczyniliście mi krzywdę!
— My... tobie... jaką?
— Nie ściąga się duchów nieoczyszczonych na ziemię, bezkarnie dla ich rozwoju — powinniście znać dobrze tę zasadę!
— Przebacz! Błagamy cię! To się więcej nie powtórzy! Lecz tak pragnęliśmy mieć dowody! Nic nam mówić nie możesz?
— O was bardzo wiele — tu istotnie wymienił parę ostatnich wypadków z naszego życia — o mnie, zabronione mi jest!
— Czy cierpisz?
— Słowo cierpienie nie istnieje. Istnieje dręcząca tęsknota za doskonałością i żal za zmarnowanym czasem!
— Czy spotykacie tych, kogo kochaliście za życia?

— Tak, o ile jesteśmy na jednym szczeblu ekspiacji. Pomagamy sobie wzajemnie.

— Czy znane są wam wasze dalsze losy?

— Nie zawsze!

— Co prawdy zawiera teoria reinkarnacji?

— Nie należy jej tak pojmować, jak ją pojmują na ziemi. Dla większości ludzi nieuduchowionych śmierć cielesna, oznacza istotną śmierć. Błąkają się, czas jakiś jeszcze ich cienie astralne i sycą się życiem waszym — to są wampiry i demony. Wiedzą, że znikną — to jest ich piekło i źródło złośliwości. Inne jednostki muszą przejść dla oczyszczenia ponowne wcielenia — świadome są oczekujących ich nowych cierpień ziemskich. Lecz pozostanie nadzieja. Wreszcie, uduchowieni, czasem nie przechodzą drugiej reinkarnacji, a łączą się odrazu z boskim pierwiastkiem — i dopomagają najbliższym do osiągnięcia szczęśliwości wiecznej.

— Czy praktyki na ziemi dopomagają do bytu „tam“?

— Bezwzględnie! Ale prawdziwe, osnute na odrzuceniu wszystkiego cielesnego i ziemskiego.
podlegają prawu reinkarnacji.

— Czy inni ludzie, stojący na niskim, z konieczności, szczeblu umysłowym, więc niedostatecznie uświadomieni, kompletnie zamierać muszą?

— Nie! To byłoby sprzeczne z boskim pierwiastkiem. Wiara i religia są tą potęgą, przy pomocy których każdy prostak może się uduchowić.

— Czy pomiędzy zjawiskami spirytyzmu, zachodzi jaka różnica?

— Wszystkie mają jedno źródło: potęgę fluidów astralu, przyciągających, ukrytych w człowieku. Na seanse spirytystyczne, jednak, nigdy duch wyższy nie przybędzie. Tak, jak nie przybędzie człowiek wybitny, na zaproszenie mało kulturalnej osoby. Istności, ukazujące się

na zebraniach, są najniższego rzędu i sycą swój wampiryzm siłami medium i uczestników.

— Powiedziałeś, że wielką krzywdę ci uczyniliśmy, ściągając na ziemię. A jednak był szereg duchów, obcujących z adeptami latami całymi i udzielających wtajemniczenia?

— Tak, ale duchy oczyszczone, najwyższe!

— Jak wejść z nimi w kontakt?

— Należy dojść do całkowitego duchowego rozwoju, aby być godnym ich nauki.

— A czyniąc podobne eksperymenty, jak dzisiejszy,, nie zdołamy ich przyciągnąć?

— Bardzo wątpliwe. Zbyt mało jesteście jeszcze posunięci na stopniach doskonałości. Doświadczenia wasze są spowodowane li tylko ciekawością. Dlatego, przyciągać możecie, po wielkich wysiłkach, albo duchy takie jak ja, czyniąc im krzywdę, albo istności złośliwe, które nazywacie demonami, a grożące wielkim niebezpieczeństwem. Bądź zadowolony, żeś cało uszedł...

— Wiesz o moich poprzednich próbach?

— Wiem. Wiem, co ci groziło i... niestety pomóc nie mogłem...

— Co byłoby się ze mną stało, gdybym wystąpił z koła?

— Znalazłbyś się istotnie, w zaświatach — lecz z tamtąd nie powróciłbyś nigdy, lub pozostałbyś szaleńcem po koniec życia!

Czemu istnieja duchy złośliwe?

— Są to istności skazane na śmierć powtórną i bezpowrotną. Nie mogąc szkodzić nam, napadaja żyjących, nieostrożnie poszukujących z nimi stosunku. Jeśli uwiodą nieoczyszczonego — przybywa nowy towarzysz niedoli! W tym znaczeniu — istne to czarty, czyhające na zgubę ludzi.

— Czy będziesz powtórnie żył na ziemi i czy nie wiesz, jak się odbędzie twe wcielenie?

— Wiele pozostaje przede mną zagadek... dać odpowiedzi nie mogę... Zresztą już odejść muszę...

— Opuszczasz nas?

— Tak... Czas...

— Czy nie mógłbyś zostawić jakiego widomego znaku twej bytności, abyśmy uwierzyli, żeśmy zbiorowo nie ulegli halucynacji?

Nie otrzymałem na zapytanie odpowiedzi. Widmo Romana S. jęło się chwiać i blednąc, w końcu zniknęło całkowicie. Lecz w tejże chwili, jakiś metalowy przedmiot, z brzękiem potoczył się po podłodze.

Pokój był pusty. Patrzyliśmy pół przytomni na siebie. Czy spędziliśmy kwadrans na rozmowie z zjawą Romana S., czy we trójkę śniliśmy na jawie?

Lecz cóż miał znaczyć posłyszany upadek? Rozwarłem szeroko okna, a gdy mroźne listopadowe powietrze, przywróciło nieco przytomność — rozpoczęliśmy poszukiwania w jasnej oświetlonej sali.

W rogu, za stołem, w miejscu, gdzie zdawało się zniknęła zjawa, leżał spory pierścionek. Był nim niezwykle oryginalny, wschodni, sygnet zmarłego — częstokroć podziwiany przez nas, na jego palcu,, za życia. Roman S., tak lubił ten klejnot, iż nie rozstawał się z nim na chwilę i wraz z nim złożono go do trumny. Pamiętaliśmy tę okoliczność znakomicie, kiedy po raz ostątni, żegnaliśmy martwego przyjaciela.

Pierścień był kuty, srebrny, przyozdobiony szmaragdami i rubinami. Pochodził z XVI w. a z jego historią wiązały się tajemnicze legendy.

Pierścień, po dziś dzień, znajduje się w moim posiadaniu, lecz rzadko nakładam go na palec. Gdy uczyniłem to parokrotnie — ogarnęło mną niewytłomaczone uczucie lęku, niepokoju, smutku i oczekiwania jakiegoś nieszczęścia.

— — — — — — — — — —

Tak brzmi niezwykle sensacyjny opis doświadczenia

p. A. P. Celem zniknięcia jakichkolwiek nieporozumień raz jeszcze podkreślam, że przytoczyłem go tylko, jako niezwykle ciekawy, a poglądy wypowiedziane przez prawdziwego, czy rzekomego ducha zmarłego artysty o życiu zagrobowym nie są moimi poglądami, gdyż osobiście wcale nie zachwycam się teorią reinkarnacji. Zresztą, na seansach mediumicznych też często mamy do czynienia z „duchami mówiącymi“, przynoszącymi podobne rewalacje i te rewalacje częstokroć są sprzeczne ze sobą. Tłumaczy to się tym, że jeśli te „duchy“ są tylko wytworami mediów, przebija się w nich jedynie ich inteligencja i ich poglądy. Tak mogło być i w tym wypadku, a niezwykłe pojawienie się pierścionka jest znane w naukach, psychicznych pod nazwą „aportu“.

WYWOŁANIE NIEBOSZCZYKA

Poprzednio przytoczyłem doświadczenia magiczne p. A. P., które wielu osobom mogą się wydać fantastyczne. Aby jednak zaznaczyć, że podobne zjawiska mogą zachodzić i że obserwowali je ludzie poważni, przytoczę list doktora Juliana Zaleskiego, wydrukowany w 1869 r. w piśmie „Świat Duchów“, wychodzącym pod redakcją L. Rogalskiego.

Dr. Zaleski pisze:

„Przesyłam redakcji sumienne opowiadanie s. p. Wincentego Kobylińskiego, dziedzica majątku Kobylino Kuleszki, w powiecie Wysokie Mazowieckie, zmarłego zdaje się w 1865 r. Oświadczam, że w każdej chwili gotów jestem stwierdzić przysięgą to, co z jego ust posłyszałem i co mi opowiadał, jako swemu lekarzowi i przyjacielowi.

Otóż tak mi mówił p. Kobyliński: „Powiadał mi ojciec mój (miecznikowicz koronny), że zaproszony był do majątku Kamionka państwa Skiwskich, niedługo po śmierci starego Skiwskiego. Wszczęła się rozmowa o duchach. Jedni przeczyli, drudzy wierzyli w ukazywanie się duchów. Otóż jeden z gości, nazwiskiem Oleszkiewicz, o którym dawno mówiono, że studiuje tajemnicze księgi, odezwał się: „Nie wierzycie, że dusze ukazują się? Wszak znaliście ś. p. Skiwskiego i niektórzy z was byli na jego pogrzebie? Otóż, jeśli chcecie, sprowadzę go wam, jak był pochowany w kontuszu, pasie i czapce rogatej, białej!“

Śmiech powstał

— No, mówił dalej Oleszkiewicz — kto czuje się na siłach, niech zostanie... a kto nie... proszę wyjść do bocznych pokojów, zwłaszcza panie...

Jedni się wynieśli drudzy śmielsi, lub udający śmiałych, pozostali.

Oleszkiewicz rozkazał wszystkim siedzieć spokojnie i nie odzywać się. Zakreślił duże koło na podłodze przed lustrem wiszącym. Stanął w środku tego koła, patrząc w lustro.

Po paru minutach słychać było stąpanie na schodach (było to na piętrze) i stuki:

Drzwi podwójne rozwarły się z hukiem. Wchodzi nieboszczyk Skiwski stary, ostro idzie i staje nad zakreślonym kołem.

— Jestem — mówi grubym głosem. — Jestem... Co chcesz... gadaj? Po co mnie niepokoisz? Po co mnie przyzywasz? Gadaj...

Oleszkiewicz stał nieruchomo, patrząc w lustro.

— No, czemuż nie mówisz? Po co mnie przywołałeś? Gadaj, co chcesz? Mnie tam dobrze... po co wzywałeś?

Wymówił jeszcze podobnych słów kilka, wreszcie prosił, żeby go więcej nie przyzywać. I znów ostro stąpając wyszedł, drzwi zatrzasnęły się same za nim.

Co się tam działo, można się domyślić. Siedzący widzowie byli prawie nie żywi. Niektórzy nawet pomdleli ze strachu, zwłaszcza kilka pań.

To mi opowiedział s. p. Wincenty Kobyliński, a syn nieboszczyka, który się ukazał, p. Stanisław Skiwski, dziedzic majątku Jabłonka, pod Zambrowem, całkowicie potwierdził, gdy go pytałem o tę opowieść".

Podobnych opisów ewokacji magicznych odnajdujemy w literaturze sporo. Powtarzam raz jeszcze, że osobiście tłumaczę je sobie, o ile nie ma się do czynienia ze zbiorową halucynacją — zdolnościami medialnymi ewokatora.

ROZDZIAŁ XXIII.

OCZAROWANIE MIŁOSNE

Bardzo ciekawy fakt miłosnego oczarowania, przytacza w swej książce „La Sorcellerie des Campagnes" („Czarownictwo wiejskie") — znany autor okultysta francuski — Charles Lancelin. Na str. 90 pomienionej książki odnajdujemy:

„Dnia 31 marca 1865 r. — do znajdującej się w Var, willi pana Huguesa, zajmowanej przez niego, piętnastoletniego syna i dwudziesto sześcioletnią córkę Józefinę przybył o szóstej wieczór osobnik niezbyt pociągającej postaci — kulawy, źle odziany, obrośnięty, o długiej brodzie i ponurym wejrzeniu.

Człowiek ten — jak później ustalono, nazwiskiem Tymoteusz Castelan — był uprzednio robotnikiem garbarskim, lecz uległszy nieszczęśliwemu wypadkowi ręki, oddawna porzucił pracę, by włóczyć się z miejsca na miejsce, wycyganiając pieniądze od naiwnych, jak tylko się dało. Występował w charakterach różnych: magnetyzera, to znachora cudotwórcy, to, nawet czarownika.

Indywiduum w okolicy nie znano.. Szaruga dokuczała na dworze: gdy błagał o przytułek i pożywienie, znużony drogą — gospodarz Hugues, uniósłszy się litością, rozwarł drzwi i udzielił gościny. Nadmienić należy, że Castellan bełkotał niewyraźnie, symulując jakby niemotę.

Już za stołem zachowanie intruza zwracało uwagę: zanim napełnił szklankę, wykonywał nad nią dziwne ruchy, krzyże kreślił w powietrzu, po wychyleniu napoju żegnał się etc.

Na wieść o oryginalnym gościu wieczorem przybywa paru ciekawych sąsiadów. Ma miejsce komiczna scena. Przy pomocy papieru i ołówka zawiązuje się na pół polityczna, na pół religijna dyskusja, pomiędzy nimi a rzekomym głuchoniemym, który zebranym imponuje trafnością swych pisanych odpowiedzi.

W końcu idą wszyscy spać — tajemniczy nieznajomy nocuje na strychu.

Młoda dziewczyna później opowiadała, że od pierwszej chwili ujrzenia Castellana ogarnął nią niepojęty lęk i noc całą przepędziła w ubraniu na łóżku Jednak w ten pierwszy dzień pobytu nic szczególnego nie zaszło. Nazajutrz rano — syn Huguesa wyszedł, jak zwykle, do pracy — ojciec zaś po spożyciu skromnego posiłku wspólnie z gościem, wraz z nim około siódmej rano udał się w pole.

Po chwili włóczęga sam powraca — zastaje Józefinę krzątającą się przy gospodarstwie — nie spogląda nawet na nią, sadowi się gdzieś w kącie i zapada w rozmyślania. Tak siedzi nieruchomo przez szereg godzin. W tym czasie domek odwiedza paru sąsiadów. Jeden z nich w którego pojęciu zabobonnym, niemowa zdążył już urosnąć do poziomu proroka czy świętego i który w darze przyniósł mu jajka oraz inne wiktuały — zachodzi nawet parokrotnie. Za pierwszym razem nic nie zauważa, Józefina skarży się tylko na ból głowy — za drugim razem — widzi, że przybłęda kreśli tajemnicze kręgi nad pochyloną przy kominie dziewczyną. Snać musiało to niepokoić Józefinę, bo była zaczerwieniona nieswoja i wielce rada przybyciu trzeciej osoby. Po półgodzinnej rozmowie gość wychodzi i odtąd, działo się to koło południa, pozostaje ona sam na sam z Castellanem.

Co się w tym czasie działo aż do godziny czwartej — ustalić dość trudno z niezbyt jasnych późniejszych zeznań Józefiny oraz mętnych odpowiedzi włóczęgi, składanych na śledztwie.

Zdaje się, że w południe, powodowana litością zaprosiła go by wraz z nią podzielił skromny posiłek. Usiadł naprzeciw.

Gdy nakładała sobie potrawę, Castellan uniósł się nagle z miejsca i wykonał ruch, jakby sypiąc jej na łyżkę jakiś proszek, mimo że proszku nie widziała. Wkrótce potem zrobiło jej się niedobrze i odtąd wspomnienia poczynają się zacierać. Ocknęła się na chwilę pod wpływem strumienia zimnej wody, którą ją polewał Castellan, podniosła się i pragnęła wyjść z pokoju, lecz przy wyjściu zemdlała powtórnie. Wydaje się jej jeszcze, że ją bito, aczkolwiek nie wie za co i że kazano jej gdzieś iść i temu rozkazowi nie mogła się oprzeć, zmuszała ją do niego jakaś wewnętrzna siła...

Dość, że koło czwartej, sąsiedzi widzą, jak Józefina opuszcza ojcowski dom i udaje się wraz z włóczęgą w nieokreślonym kierunku — zdumienie tym większe, gdyż dziewczyna cieszy się nieskalaną reputacją, zaś przybysz fizycznie zbudzić może jedynie odrazę. Dąży za nim pokornie, rzucając od czasu do czasu obecnym niezrozumiało zdania, wykrzykując: „podążam za mym Bogiem" etc. Castellan później udowadniał, że przed wyruszeniem, miała oświadczyć dwum sąsiadom, w myśl zwyczaju miejscowego, iż odchodzi dobrowolnie — świadkowie ci jednak nie zostali odnalezieni. Kieruje się dziwna para do sąsiedniej wsi tam noc przepędza w szopie z sianem. Nazajutrz błądzą po polach i lasach, Józefina pod wpływem praktyk czarownika, parokrotnie jakoby mdleje — na wieczór przybywają do osady Collobrieres i proszą o gościnę jednego z fermerów. Dziewczyna śpi z żoną gospodarza, Castellan razem z nim.

Dotychczas zeznania świadków brzmią skąpo — parę mało obserwowano. Ale kiedy trzeciego dnia pojawiają się oni we wsi Capelude — szczegóły płyną, niby z rogu obfitości:

Mieszkają u jednego z wieśniaków, niejakiego Cou-

droyer, a na tę wieść sąsiedzi przybiegają tłumnie. Zachowanie Józefiny jest zmienne: to osypuje kochanka pieszczotami, zwąc go swym „skarbem", „szczęściem", „bogiem", to odpycha ze zgrozą błagając, by nie uważano ją za prostytutkę. „Najsilniejsza kobieta — woła — t e m u się nie oprze! To straszne! Zabierzcie mnie! Zabierzcie mnie, zabierzcie!"

Wieczorem pragnie nocować wraz z jedną dziewczyną w sąsiednim domu, lecz Castellan przeciwstawia się temu. By złamać upór, wykonywa parę dziwnych znaków — inni twierdzą, iż dotknął lekko jej piersi i czoła. Pada natychmiast omdlała i tak pozostaje przez trzy kwadranse. Mimo tego stanu, Castellan każe Józefinie dawać odpowiedzi na pytania — i ta odpowiada. „Może chcecie, by się śmiała?" — pyta — i Józefina się śmieje. Przypuszczając symulację, obecni łaskoczą zemdloną — trwa dalej w bezwładzie.

Aby ją przywieść do przytomności, Castellan wymierza trzy potężne policzki. Dziewczyna trzeźwieje natychmiast — nie skarży się na ból, czuje się znakomicie. Obecni opuszczają pokój, pozostawiając parę sam na sam. W nocy domownicy zostają zbudzeni przeraźliwymi krzykami. Imć Coudroyer, uzbraja się w kij, wędruje na górę i rozkazuje Castellanowi natychmiast wynosić się z domu. Czarownik poczyna się usprawiedliwiać, Józefina krzyczy: „tylko siłą oderwiecie mnie od niego!" Coudroyer macha ręką i idzie spać z powrotem a reszta nocy upływa spokojnie.

Nazajutrz dziewczyna schodzi pierwsza — jest nieprzytomna, bełkoce jak obłąkana. W chwil parę później pojawia się Castellan i aby, jak oświadcza, doprowadzić krnąbrną do posłuchu — rozkazuje jej okrążyć klęcząc na kolanach, pokój dokoła. Teraz obecni poczynają się burzyć i postanawiają, po cichu, przegonić czarownika. Wyrzucają go za drzwi. Lecz zaledwie znikł, Józefina pada na podłogę, tężeje, oczy stają w słup. Domownicy,

przerażeni sprowadzają z powrotem Castellana i rozkazują wyprowadzić nieszczęsną z tego stanu. Czarownik pochyla się nad nią, wymawia parę słów, znów uderza trzykrotnie w policzek — i kryzys zostaje przerwany. W tym czasie dziwne wyznanie wymyka się z tego ust. „To nie pierwsza kobieta — powiada — którą potrafiłem w ten sposób opanować. Trzydzieści lat temu, mój ojciec też coś zadał matce — dobrze się ona nacierpiała!"

Reszta dnia upłynęła — jak dzień poprzedni.

Dziewczyna albo była nad wyraz czułą dla uwodziciela, albo odpychała go z oburzeniem, błagając obecnych, aby ją uchronili i uwolnili od niego.

Zapytywana o odczucia podczas ataków — opowiadała, że słyszy i widzi wszystko, co się dokoła dzieje, lecz uczynić nic nie może, bowiem ma całkowicie sparaliżowaną wolę, przez co cierpi wielce. Wystarczało, by Castellan dotknął zlekka jej piersi — uczuwała ból. Innym razem naodwrót — czuła dopiero pewną ulgę, gdy jej nogi dotykały jego nóg.

Dalej opętana żąda, aby czarownik, wychylił w szklance po niej, resztę niedopitej wody oraz zjadł resztę niedojedzonej przez nią bułki. Scena ta jest reminiscencją poprzedniej odegranej sceny, kiedy w ten sposób miał Castellan opanować ofiarę i sądzi Józefina, iż za pomocą podobnych praktyk — pozbędzie się „oczarowania". Sąsiedzi, rozumieją coraz mniej — żegnają się i wychodzą z pokoju.

Nazajutrz para wspólnie wyrusza w drogę. Czas jakiś idą razem, lecz gdy kilku napotykanych przechodniów zatrzymuje Castellana, zadając pytania — Józefina nagle ucieka i ukrywa się w pobliskich zaroślach. Pod osłoną gąszczów przemyka się, powraca do fermy, którą rano z uwodzicielem opuściła. Pada na kolana przed gospodarzami, błaga o pomoc i obronę, prosi by nie wydawano jej straszliwemu człowiekowi.

Fermerzy litują się nad nieszczęsną i w godzinę

później, pod silną eskortą, odstawiają do ojcowskiego domu.

W powrotnej drodze, znów szał ogarnia dziewczynę: wykrzykuje zdania bez związku, płacze, śmieje się, wymyśla swym obrońcom. Stan ten trwa dni parę.

Zawezwany lekarz konstatuje jedynie silną gorączkę i ogólny wstrząs nerwowy, spowodowany, jak tłumaczy, przeżytymi wypadkami. Stosuje obfity upust krwi — a środek ten sprawia chorej znaczną ulgę.

Jeden z obywateli okolicznych, wielki miłośnik magnetyzmu, posłyszawszy o niezwykłych wypadkach, przybywa do rodziny Hugue'sów, celem dokonania doświadczeń. Ku wielkiemu zdziwieniu — Józefina nie jest bynajmniej powolnym medium. Z wielkim trudem udaje się ją wprowadzić w trans, na postawione pytania odpowiada niechętnie, jakby wbrew własnej woli.

Oczywiście magnetyzer, w czasie snu, usiłuje z somnambuliczki wydobyć bliższe szczegóły przygody — daremnie — Józefina rzuca oderwane frazesy i nic więcej, poza znanymi przez nas faktami, dowiedzieć od niej nie można. Zaznacza wszakże, iż „passy" oddziaływują kojąco.

Tak się przedstawiała sprawa.

Z innej strony zebrane wiadomości — charakteryzują bohaterkę jako spokojną, raczej flegmatyczną dziewczynę — może nieco naiwną, lecz ani histeryczką, ani obciążoną dziedzicznymi nerwowymi chorobami.

Castellan początkowo zostaje aresztowany pod zarzutem włóczęgostwa. Lecz to tylko pozór...

Od samego początku sędzia śledczy, zaintrygowany różnorodnymi, wprost nieprawdopodobnymi, kursującymi wersjami — stara się zebrać dowody jaki istotnie gwałt zadany został Józefinie Hugues i jak dalece wieści o „oczarowaniu", uwiedzeniu wbrew woli, za pomocą hypnozy — odpowiadają prawdzie.

Wzywa ekspertów — lekarzy pp. Aubon'a i J Roux'a.

Rzeczoznawcy mieli ciężki orzech do zgryzenia.

Po szczegółowym przestudiowaniu takich powag i autorytetów naukowych, jak Tardieu, Devergie, Coste, Broquier i innych, doszli do wniosku, iż „za pomocą praktyk magnetycznych można wywrzeć na osoby nerwowe i dla podobnych zabiegów podatne, wpływ kompletnie paraliżujący i unicestwiający ich wolę".

Na zasadzie powyższego wniosku — Castellan został postawiony w stan oskarżenia a trzej nowi eksperci na rozprawie głównej — całkowicie potwierdzili zdanie kolegów.

Ostateczny wynik procesu był ten — iż włóczęga za swe praktyki i zniewolenie bezbronnej — skazany został — na 12 lat ciężkiego więzienia.

Wyrok niezwykle surowy, lecz sprawiedliwy!

— — — — — — — — — — — —

Tak się przedstawia prawda o „czarach miłosnych".
łosnych".

Jeżeli mało dotychczas nadużyć na tym tle było — powiada Wulfen w swej „Psychologii przestępcy" — przypisać to temu należy, iż, na szczęście, mało osób poddaje się hypnozie a jeszcze mniej wyzbywa się w transie owego uczucia samoobrony, które nie pozwala na wykonanie rozkazów, mogących być zgubnymi i obrażających moralność zahypnotyzowanego.

Wiele kobiet, mimo rozkazu obnażenia się — hypnotyzera nie usłucha — gdyż w tych wypadkach instynkt skromności przezwycięża obcy nakaz.

Przygoda Józefiny Hugues nie jest oderwaną przygodą — a może być tylko nader ciekawym przykładem z tego względu, iż uwodziciel natrafił na grunt, właśnie mało podatny, bo osobę, nie nerwową, flegmatyczną i ospałą.

Na zakończenie jeszcze przytoczę.

Pewien mag, może warszawski, którego nazwiska

ze względów dyskrecji nie wymieniam, potrafił uwieść dwie kobiety naraz. Były niemi — matka i córka. Opanował je do tego stopnia, że rzuciły dlań wszystko i obydwie jeździły z nim z kraju do kraju, dopóki nie nastąpiło straszliwe przebudzenie.

Córka z rozpaczy popełniła samobójstwo. Rzuciła się z okna 4 piętra. Nikt z szerokiej publiczności nie mógł zrozumieć w Warszawie, co skłoniło pannę urodziwą i zamożną do tak rozpaczliwego kroku!

My to wiemy!... Matkę zaś panny możemy odnaleźć... w zakładzie dla obłąkanych!

Takie bywają przykłady „oczarowań miłosnych".

SŁOWNIK

OKULTYSTYCZNO—MAGICZNY

Adramelech — bożek syryjski, z którego w wiekach średnich uczyniono demona.

Aggarath — jedna z małżonek Samaela, ducha ciemności.

Albert Wielki — księgi zaklęć, tak zwane od imienia słynnego uczonego średniowiecza, o którym wspominałem w spisie okultystów. Oczywiście, nie są to dzieła teologa z Ratysbony, lecz wyciągi z nich, przez zabobon i głupotę kompilatorów, całkowicie zniekształcone. Znane są dwie przeróbki.

1) „Cudowne sekreta Alberta Wielkiego" podzielone na cztery rozdziały. Pierwszy traktuje o tajemnicach narodzin; drugi — o właściwościach roślin, kamieni, zwierząt, o astrologii i cudach świata, trzeci zawiera różne, jakoby niezawodne a nieznane przepisy magiczne; czwarty jest traktatem o fizjonomistyce.

2) „Mały Albert" — zbiór idiotycznych przepisów z zakresu czarnej magii, które tylko niewykształceni prostacy brać poważnie mogą. Ulubiona księga wszelkich wróżek i czarowników dla tym lepszego tumanienia naiwnych.

Almanach diabelski — wydany w 1737 r. — zawiera przepowiednie, mające na celu, uchronić ludzi od wpływu szatana. Ponieważ jednak, pod profetyczną pokrywką, dopatrzyć się było można wielu recept satanistycznych — Almanach został przez władze skonfiskowany.

Amulety są to przedmioty noszone na sobie (łańcuchy, medale, monety, pierścionki etc.), celem uchronienia się od złych wpływów, czy to duchów, czy ludzi np. „złego wzroku“. Amulety posiadają właściwości bierne — ochrony — w przeciwstawieniu do talizmanów, które są aktywne, przyciągające. Jeśli więc chcemy ustrzedz się od czegoś, nosić będziemy amulet — jeśli pragniemy coś zdobyć (szczęście, miłość, bogactwo) — talizmany. Pośrednie miejsce pomiędzy amuletami, a talizmanami zajmować będą t. zw. „m a s c o t t y“, mające za cel zarówno odwracać klęski, jak i przyciągać powodzenie.

Androida — tak nazywano metalowe figurki, różnej wielkości, arcydzieła mechaniki, mogące automatycznie poruszać się, mówić, nawet myśleć.

Wspomniałem o androidzie, skonstruowanej przez Alberta Wielkiego, a mającej, tak trafnie rozprawiać o zagadnieniach teologicznych, iż zniecierpliwiony Tomasz z Akwinu, porwał za kij i w czasie dysputy, rozbił ją na kawałki.

Niejednokrotnie usiłowano tworzyć androidy, lub homunculsy — t. j. sztucznego człowieka. Podobno udało się to hr. Kueffsteinowi, szambelanowi Marii Teresy, który według przepisów Paracelsa wyprodukował 7 małych istotek, które trzymał w szklanych słojach. Niestety, nikt ich nie widział i prędko one umarły.

Anioł od łacińskiego angelus. Wedle, ogólno przyjętego pojęcia, aniołowie są pośrednikami pomiędzy Bogiem a człowiekiem. Wedle doktryny spirytystycznej — aniołowie są to duchy najwyższe, które po szeregu prób, doszły do kompletnego oczyszczenia. Prócz aniołów, pisarze wymieniają jeszcze „duchy opiekuńcze“, przy czym rozróżniają.

1) D u c h y o p i e k u ń c z e, kierujące postępkami ludzi i dopomagające do duchowego rozwoju. Mogą to być nasi bliżsi, dalsi, krewni, przyjaciele zmarli

etc. Istotności podobne, albo towarzyszą nam całe życie, albo też przez pewne, jedynie okresy. Znaną jest historia ducha opiekuńczego słynnego filozofa Sokratesa, który stale służył mu radą, w najcięższych wypadkach życia.

Ostatnio w XIX w. manifestował się podobny duch opiekuńczy w rodzinie amerykańskiego bankiera Hill'a. Twierdził on, że nazywa się Gaspard i udzielał wskazówek, tak wzniosłych, że całe otoczenie stawało się lepsze pod jego wpływem. Niejednokrotnie występował z radami materialnej natury. Był niewidzialny, lecz przemawiał ludzkim, nieco gardlanym głosem. Po upływie dwóch lat pożegnał rodzinę p. Hill'a i znikł. Twierdził, że spełnił swą misję na ziemi, a dalszy jego pobyt, z różnych względów, może stać się niebezpieczny.

2) D u c h y s y m p a t i i — są ściągane przez podobieństwo skłonności. Rzecz oczywista, iż mogą to być duchy zarówno dobre, jak i złe. Złe duchy będą się starały, jak twierdzą okultyści, przy naszej pomocy zadowolnić swe złe skłonności.

Antychryst — istotność, mająca się pojawić pod koniec świata, jako uosobienie zła. Dla wtajemniczonych słowo ,antychryst" oznacza mistrza wysokiego stopnia, zużywającego swą władzę dla celów przewrotnych.

Astral, lub ciało astralne. Właściwie słowo „astral" ma podwójne znaczenie 1) oznacza sfery zaziemskie, dokąd pozbawiony powłoki cielesnej adept, świadome wycieczki czynić może; 2) oznacza — drugi okultystyczny składnik człowieka. W myśl hermetycznej nauki człowiek składa się: z ciała fizycznego, ciała astralnego i duszy. Po śmierci ciało astralne zamienia ciało fizyczne. Za życia, w ciele astralnym, można robić ekskursje w krainy duchów i przenosić się dowolnie z miejsca na miejsce.

Ponieważ w astralu, w myśl teorii okultystycznych, odbijają się wszystkie myśli, wszystkie przyszłe i prze-

szłe wypadki — tam to właśnie wtajemniczeni, w transie, widzą przeszłość i przyszłość i stamtąd czerpią swe przepowiednie.

Alraune — patrz mandragora.

Alchemia — nauka o przetwarzaniu kruszców na złoto.

Astrologia — czytanie przyszłości z układu gwiazd i układanie na tej zasadzie, horoskopów. Nauka, niezwykle skomplikowana i obszerna, zajmuje się właściwościami, poszczególnych planet, wykazując ich wpływ na charakter i losy człowieka.

Astrolab — instrument, używany przez astrologów dla obserwacji stanu nieba i gwiazd o dowolnej godzinie.

Agharta — kraina, będąca rzekomo rezydencją wtajemniczonych hinduskich, znajdująca się pomiędzy Himalajami, na granicy Tybetu i Afganistanu.

Adonaï — imię własne Boga, po hebrajsku.

Archanioł lub sefan — nazwa potoczna ducha najwyższego rzędu.

Astaroth — w czarnej magii — nazwa księcia piekieł.

Atlandyna — legendarny ląd mędrców, który miał zaginąć.

Aport — termin spirytystyczno-mediumiczny, oznaczający przeniesienie jakiegoś przedmiotu z miejsca na miejsce, w obrębie jednego pokoju, a nawet gmachu. W ten sposób mogą być przenoszone przedmioty z odległych miejscowości — drzwi i mury nie stanowią przeszkody. Był wypadek przetranslokowania z sąsiedniego pokoju, do zamkniętego pokoju, w którym odbywał się seans, kanarka w klatce.

Aparycja — zjawisko — ukazanie się w zmaterializowanej postaci siły niewidzialnej, lub istotności z zaświata. Odnosić się tu będą wypadki ukazywania widm

z zjaw, podczas seansów i ewokacji, oraz w domach nawiedzanych.

Aura — promieniowanie ciała astralnego.

Ariman — duch ciemności, któremu składany jest hołd przez pewien odłam satanistów.

B.

Bafomet — symbol potęgi złej, czczony jakoby przez templariuszy. Bliższe szczegóły w „Magia i Czary".

Bazyliszek zwierzę legendarne, posiadające właściwość zabijania wzrokiem. Uważano go często za inkarnację diabła w średniowieczu i opisywano szczegółowo, mimo iż nikt go na oczy nie widział. Ponieważ, miał być z powierzchowności, nieco podobny do czarnego koguta — ptaki te, szczególniej na starość, uważano za wielkich czarowników i częstokroć, w razie oskarżeń o pokrewieństwo z bazyliszkiem, palono na stosie jak np. w Bazylei w 1073.

Bi-korpozalność — patrz rozdwajanie osobowości.

Basen magiczny — przyrząd służący do odgadywania przyszłości. Nad ustawionym, na trójnogu, niewielkim basenem, sporządzonym z siedmiu metali mistycznych i z wyrytymi literami alfabetu, zawiesza się specjalny pierścień, pokryty kabalistycznymi znakami. Najczęściej do tego sposobu udawano się w starożytności, zaś procedurę przy tej ceremonii, opisuje historyk Ammienus Marcelinus.

Pewna grupa dworaków, za panowania cesarza Valensa-Augusta, pod przewodnictwem maga Pallada, zapragnęła dowiedzieć się o losy cezara. Zasiedli dokoła basenu i mag począł odmawiać inwokacje. Pierwsze było postawione pytanie — czy monarcha zginie śmiercią gwałtowną. Pierścień zakołysał się i uderzając zlekka

w metal, dotknął liter: t : a : k — co dawało odpowiedź twierdzącą. Pod silnym wrażeniem, pytano, kto będzie następcą i czy z ręki następcy imperator zginie? Znów pierścień jął się kołysać powoli i uderzać w litery T : E : O : D : ... „Teodor" zawołali obecni, nie chcąc przedłużać doświadczenia, wyczerpującego nerwy.

Lecz Cezar wszędzie miał swych szpiegów. Szybko dowiedział się o ceremonii magicznej i osadził w więzieniu zarówno Pallada, jak i dworaków. Pallada uśmiercono, uśmiercono również paru podejrzanych Teodorów — słaba pociecha — przepowiednia pozostała niedokończoną, wystukała tylko TEODO... wszak poza Teodorem, mógł to być Teodozjusz, Teodat...

Przyszłość dała rozwiązanie zagadki: imperator zginął podczas wyprawy przeciw gotom, a następcą jego został Teodozjusz, który szczęśliwie zdołał się ukryć w Hiszpanii, gdy podjęto prześladowania przeciw wszystkim, których imiona rozpoczynały się na TEODO...

Boruta — nazwa diabła w gwarze ludowej polskiej. Prócz tego czart często jeszcze występował jako: Tur, Rokicki, Rogaliński, Rokita etc.

Belzebub — bożek — bałwan syryjski, z którego w średniowieczu uczyniono demona.

Belphagor — inny bożek — z którego chrześcijanie uczynili mieszkańca piekieł.

Bestia apokaliptyczna — jeden z potworów apokaliptycznych, oznaczających, ezoterycznie, wyłanianie się zła.

C.

Catoplebas — jeden z smoków piekielnych, wedle określenia demonologów, zabijający nieostrożnych, którzy go wywołali, wzrokiem. Biada temu, kto podczas ewokacji znajdzie się po za kołem — jeśli przybędzie Catoplebas — żyw nie ujdzie!

Coca peruwiańska (lub kola), czyli liście rośliny l'erytroxylon coca, które przetarte na proszek dają kokainę. Potężny ten narkotyk, tak znany, iż bliżej go opisywać jest zbytecznym, bywa używany przez czarowników na równi z haszyszem, celem sztucznego wyłaniania ciała astralnego z siebie. Nie mam potrzeby dodawać, iż podobna procedura, nie jest prawdziwym magicznym eksperymentem, nie prowadzi do niczego, a najwyżej pociąga za sobą ciężkie choroby i obłęd.

Uciekają się do niej tylko jednostki zdegenerowane i stojące na bardzo niskim poziomie duchowego rozwoju, sądzące, iż narkotykiem mogą zastąpić potęgę woli i prawdziwe wtajemniczenie.

Ciało astralne patrz astral.

Czarnoksięstwo, czarnoksiężnik — pozioma, niższa, czarna magia.

Czarne księgi — księgi zaklęć niższej magii.

Chiromancja — nauka o rozpoznawaniu charakteru, przyszłości i przeszłości człowieka, z linii dłoni. Datuje się od niepamiętnych czasów i cieszyła ogromnym respektem w starożytności, a nawet wykładano chiromancję XVII w. w uniwersytetach niemieckich. W czasach ostatnich, została zreformowana i opracowana przez francuskiego malarza Desbarolles'a, który na zasadzie linii dłoni, świetnie określał charaktery. Nauka niezwykle ciekawa i niesłusznie spostponowana, jako przywilej cyganów i podwórzowych wróżek.

Chirognomia — część chiromancji — nauka o kształtach ręki i rozpoznawaniu z nich charakterów. Została skrystalizowaną przez francuskiego wojskowego, kapitana D'Arpantigny.

Czarna msza — straszliwy, krwawy rytuał niższej magii, polegający na przyniesieniu szatanowi krwawej, przeważnie ludzkiej ofiary. Czarne msze są parodią świętokradczą mszy katolickich i jeśli podczas nich nie dzieją się krwawy sceny — zamieniają się one w seksualne orgie.

Czartowskie prawo — postanowienia, specjalne prawa, częstokroć kodeksy — wydawane dla walki z czarownictwem.

Czarny pan — w gwarze ludowej polskiej — diabeł, czart.

Czarny kur — kogut czarnej maści, ulubiony ptak czarownic, mający posiadać specjalne własności magiczne.

Czarować — rzucać wzroki, szkodzić, lub zmuszać kogoś do czegoś, wbrew woli — magicznie.

Czaszka noworodka — częstokroć używana podczas ceremonii przez satanistów i czarownice.

Demony — wedle ogólnego pojęcia — duchy złe Niektórzy demonolodzy np. Jan Wieruś w swej „P s e u d o-m o n a r c h i a d e m o n u m", dają ich ścisłą gradację i twierdzą, że podlegają oni, jako swemu zwierzchownikowi, Lucyferowi, władcy piekieł. Okultyzm, oczywiście, nie uznający piekła w pojęciu satanistów, rozumie pod nazwą demona, ducha poziomego rzędu, starającego się napawać nad myślami ludzi wchodzących z nim w kontakt, przy tych lub innych operacjach magicznych.

Demonologia, lub demonografia — naukowe traktaty o demonach.

Demonomania — jedna z form obłędu, polegająca na mniemaniu, iż jest się opętanym przez czarta.

Diabeł — w pojęciu naiwno-potocznym, istota będąca uosobieniem zła. Wedle okultyzmu jest to siła ogólna użyta przez wolę przewrotną, w celu poziomym i szkodliwym. Mag, posługujący się falami astralu, aby czynić krzywdę innym posługuje się diabłem.

Dzwony — Niejednokrotnie dzwony używane były do wróżby i z ich dźwięku, w średniowieczu, rozpoznawano szczęśliwe, lub nieszczęśliwe mające nastąpić wypadki. Sposób ten, obecnie, niemal jest nieznany a ciekawe szczegóły można odnaleźć w książce Huysmansa p. t. „La bas". Specjalnie zły znak — gdy dzwon uderzy sam. Znamionuje to rychłą śmierć.

Dematerjalizacja — rozkład przedmiotu a nawet człowieka na jego podstawowe, niewidzialne składniki. Dematerjalizacją tłomaczą się aporty, przenikanie indyjskich fakirów przez mury i ściany, zwalnianie się z więzów skrępowanego medium, podczas transu etc.

Dotykanie — wrażenie dotykowe, odbieranie przez uczestników seansu, a pochodzące od niewidzialnych rąk, ramion, ust etc.

Duch, dusza. Okultyzm czyni różnicę pomiędzy duchem a duszą. Duch (spiritus) jest to nieśmiertelny pierwiastek człowieka, najbliższy absolutu. Dusza (anima), odpowiadając ciału astralnemu — stoi niżej od ducha właściwego.

E.

Elfy — według podań ludowych dobre duchy, niższego rzędu.

Enchiridion — księga kabalistyczna, przepisywana przez papieżów Leonowi III.

Elemental — duch niższego rzędu, pozbawiony inteligencji.

Epihialtes — incub złośliwy, u greków.

Ewokacja — wywoływanie umarłych. Patrz szczeg. w „Magia i czary".

Egzorycyzmy — formuły zaklęć, używane celem oswobodzenia opętanych przez złego ducha.

Ekstaza — jedna z form świadomego, lub nieświadomego wyłaniania ciała astralnego z siebie. Człowiek pod wpływem różnych praktyk np. modlitwy, rozmyślania etc. — zapada w stan, w którym jego dusza ulatuje w zaświaty i jest z ciałem związana bardzo słabymi nićmi.

Ekierka — przedmiot trójkątny z drzewa, zwrócony ostrym końcem ku literom alfabetu, wypisanym na arkuszu papieru — wskazuje sam, podczas seansu — litery, z których układają się wyrazy i zdania.

F.

Fantom, lub widmo, widziadło — zjawa niecielesnego pochodzenia, ukazująca się w tych, czy innych okolicznościach (seanse, ewokacje, domy nawiedzane) naszym oczom.

Farfadet (od łacińskiego fadus, fada) — rodzaj duchów złośliwych i psotliwych.

Forma flauidyczna — wydzielone ciało astralne.

Fizjonomistyka — nauka o charakterze, na zasadzie rysów twarzy. Twórca Lavater.

Fetysz — nietykalne bożki u ludów pierwotnych. Fetyszom częstokroć składane były krwawe ofiary.

Fatalizm — wiara ludów orientalnych w z góry nakreślone dzieje człowieka i z tem związana myśl, iż nikt swego losu uniknąć nie może. Wedle tej teorii, człowiek byłby igraszką zaświatów. Pozornie idea fatalizmu winnaby się łączyć z okultyzmem i tu napotykamy ciekawe zagadnienia. Skoro można przewidzieć przyszłość, przyszłe losy człowieka — fatalizm istnieje! Jednak filozofia hermetyczna w dalszym ciągu wyjaśnia. Jeżeli ktoś idzie po pewnej drodze, bezwzględnie jego przyszłość ułoży się w określone formy. Może on, jednak, je zmienić pracą nad sobą i silną wolą. Fatalizm więc, nie byłby rzeczą nieodzowną w okultyzmie — lecz odgrywać może pewną rolę przy reinkarnacjach t. j. przy wykreślonej drodze, którą dla oczyszczenia, każdy przejść musi — modyfikując ją, skracając, lub przedłużając swym zachowaniem.

Fale astralu — fale ożywiające wszechświat, świadome panowanie nad którymi — daje wszechwładze magowi.

Frenelogia — patrz Phrenelogia.

Fenomen — osobliwe zjawisko, następujące wbrew zwykłym prawom przyrody.

Faza — w znaczeniu mediumicznym — oznacza przejście medium i jednego stanu w drugi , np. zdolności

wywoływania objawów fizycznych do zdolności objawów psychicznych.

Fluid — siły odgrywające rolę w zjawiskach magicznych: np. fluid astralny, fluid magnetyczny ect.

G.

Gnomy — duchy niższego rzędu, raczej, dobre, nie obdarzone większą inteligencją.

Geniusz opiekuńczy — patrz anioł opiekuńczy.

Gnoza, gnostyk — patrz poprz. rozdz.

Grimoire — nazwa francuska starych magicznych ksiąg zaklęć. Patrz bliższe szczegóły w „Magii i czary" w rozdziale o „Księdzę zaklęć Honoriusza II".

H.

Halucynacja — błąd wzrokowy, polegający na przyjęciu za realnie istniejący — jakiś obraz, wytworzony przez naszą fantazję. Specjalnie wystrzegać się należy halucynacji, podczas operacji magicznych.

Hamadryjada — nimfa, duch leśny, wedle podań starożytnych.

Haszysz — środek podniecający, służący do sztucznego wydzielania ciała astralnego, o którym powiedzieć można to samo, co o kokainie.

Hippomany — narośl dziwaczna, mająca wyrastać na czole niektórych żrebaków. Narósl taka, zużyta do trunków miłosnych ma, wedle czarowników, posiadać właściwości niezwykłe.

Hipnotyzm — por. magnetyzm oraz poprze. rozdz.

I.

Iluminizm — tajne bractwa, sformowane w końcu XVIII w., mające jakoby na celu duchowe odrodzenie człowie-

ka, pod wpływem oświeconych z góry.

Iluminat — oświecony przez duchy wyższe, otrzymujący od nich rewelacje i pragnący na zasadzie tych rewelacji, przeprowadzić reformę świata i ludzkości.

Inkub — demon złośliwy, przybierający na siebie postać mężczyzny, celem płciowego obcowania z kobietą. Gdy demon przybiera postać kobiety dla deprawowania mężów — zwie się succubem.

Inkarnacja — stan ducha, przybierającego na siebie powłokę widzialną, lub wcielenie w dane medium i porozumiewanie przez usta tegoż z uczestnikami seansu.

Instynkt — podświadome pociągi istot żyjących, kierujące ich różnymi czynnościami. Instynkty można tłomaczyć wpływami złych, lub dobrych duchów.

Intuicja — wyższy stopień mediumizmu. Oznacza bezpośrednie uczuwanie wewnętrznych pierwiastków, w procesach zewnętrznych, jak również prawd zasadniczych — bez uprzedniego objęcia ich rozumem.

Inwokacja — nie jest równoznaczna z ewokacją. Ewokacja to wywoływanie istot nieziemskich — inwokacja — prośba, wewnętrzna, czy zewnętrzna modlitwa, by stawić się zachciały. Inwokacje stosują się tylko do duchów najpotężniejszych.

Jajko węża — tak nazywają niektóre preparaty, adepci czarnej magii, przypisując im własności niezwykłe.

Jowisz — jedna z planet, wywierających, w myśl zasad astrologii, wpływ na losy i kształtowanie się charakteru człowieka.

Jasnowidzenie — stan, w którym człowiek zapomocą t. zw. wzroku wewnętrznego, widzi wszystko w świecie nadzmysłowym, a również i naszym, na odległości nieograniczone. Dzieje się to gdy władze psychiczne mają przewagę nad władzami fizycznymi.

K.

Katalepsja — stan zupełnego bezwładu, w jaki zapadają media magnetyczne. Jest to nerwowe zdrętwienie całego ciała, połączone z brakiem wrażliwości na czynniki zewnętrzne np. ból, gorąco, zimno etc.

Koszula nieodzowna — nazywana przez niemieckich demonologów „nothemd", miała zabezpieczać, w nią ubranych, od ran zarówno broni siecznej, jak palnej a również dopomagać kobietom podczas porodów.

Koszulę taką tkały dziewice, z wełny białej, przy blaskach księżyca, zaś później wyhaftowywano z przodu „straszliwy wizerunek szatana".

Katopromacja — patrz lustro magiczne.

Kot — szczególniej czarny — nie wiadomo dla czego uchodzi za krewnego czarta, posiada jakieś satanistyczne właściwości i z tej racji bywał wielce poważany przez czarowników... a podejrzewany o złe zamiary przez demonologów średniowiecza. Wszelakie prostackie księgi zaklęć, stale do rytuałów wprowadzają czarnego kota. Każą mu z ogona wyrywać włosy, nosić je przy sobie etc.

Karafka — jeden z instrumentów jasnowidzenia ew. szybkiego zapadania w trans. Wpatrując się w głąb karafki kryształowej, napełnionej wodą — media widziały różne obrazy, przewidywały przyszłość etc. Był to ulubiony sposób Cagliostra, który dla „widzeń" posługiwał się dziećmi. Por. poprz. rozdz.

Koło magiczne — koło skreślone przy ceremonii ewokacji — wywoływania duchów, w którym staje wywołujący, a posiadające właściwość, że duchy przestąpić go nie są w możności. Por. „Magia i czary".

Kometa — ogniste znaki pojawiające się na niebie. Stale uważano komety za znamiona zbliżających się nieszczęść: głodu, moru, pożogi, zarazy, wojny etc.

Kogut lub **Kur** — na równi z czarnym kotem — cieszący się śród demonologów b. złą reputacją. Posądzono

kury, iż z nich lęgną się na starość bazyliszki, że mogą urzec wzrokiem etc.

Kryzysy — stany magnetyczne najsilniejszego naprężenia nerwów. Jeden z ulubionych sposobów kuracji Mesmera. Doprowadzał chorego, szczególniej chorą do kryzysu, a gdy wyładowanie nerwów następowało — twierdził, że jest to jeden z uzdrawiających środków. Por. poprz. rozd.

Komunikacja — porozumiewanie się, za pomocą jakichkolwiek bądź środków, z istnościami niewidzialnymi „duchami" — więc za pomocą pukania, ekierki, spodka, ołówka, lub medium.

Krew — w czarnej magii krwi przypisywane jest olbrzymie znaczenie i stąd wiele satanistycznych rytuałów wymaga krwawej ofiary. Jest to bezwzględnie zabytek starych pogańskich czasów, kiedy wierzono, że świeże opary krwi przyciągają duchy i dają im możność materializacji oraz, że bogowie żądają ofiary życia, aby dawać odpowiedzi ludziom. Por. poprz. rozdz.

Kwestia — tak nazywano w starym prawie polskim poddanie czarownic i heretyków torturom, celem wydobycia od nich zeznań.

Khali — bogini morderstwa u indusów, jedno z tych bóstw co, wedle zabobonnych wierzeń, wciąż żądne są krwi.

Klawikuły Salomona, lub Klucze Salomona — księga zaklęć i wywoływania duchów, pochodząca pono od wielkiego króla żydowskiego i maga jednocześnie. Zbiór ten ewokacji, datuje zapewne, z czasów znacznie późniejszych i jest dziełem inicjowanego rabina. Można o nim powiedzieć to samo co i o innych: napisany został kabalistycznie naiwni zaś komentatorzy potrafili go zniekształcić całkowicie.

Kryształ — jeden ze sposobów pogrążania się w trans przez dłuższe wpatrywanie się w jego powierzchnię. Dadzą tu się zastosować te same uwagi, jak co do karafek.

Lampa magiczna — lampa specjalna, używana podczas ewokacji. Patrz „Magia i czary“.

Larwy — cienie astralne, posiadające realny byt, lecz nie posiadające własnej treści. Starają się one przyczepiać do żyjących, by ssać z nich żywotne soki.

Lemury — rodzaj larw, obdarzonych przewrotnymi instynktami.

Lubczyki — albo filtry miłosne — trunki, sporządzane przez czarownice a zmuszające tych, co je wypili, do miłości w określonych osobach.

Lustro magiczne — przyrząd do zapadania w trans. Różni się tym od zwykłego, że ma powierzchnię ciemną, matową, niekoniecznie szklaną a spreparowaną z różnych substancji, nawet sukna.

Leonard — nazwa demona, zasiadającego na sabatach.

Lewiatan — nazwa, wedle kabalistów — ducha ciemności.

Łysa Góra — miejsce sabatów w Polsce.

Lilith — wedle kabalistów, zły demon żeński, małżonka władcy ciemności Samaëla.

Lewitacja — wzniesienia się stolika seansowego lub, innego przedmiotu a także medium do góry, bez udziału, ani osób, ani czynników fizycznych.

Łańcuch — połączenie rąk uczestników seansu, dla skoncentrowania fluidów.

Lycantropia — lub likantropia — zamienianie się czarowników w zwierzęta.

M.

Magnetyzm — siła w nas ukryta. Patrz pop rozdz. Magnetyzm tem różni się od hipnotyzmu, że osobnik poddany magnetyzmowi nie zapada, ani w trans, ani w stan katalepsji.

Mag — mędrzec i wtajemniczony. Patrz poprz. rozdz.

Maleficium — łacińskie wyrażenie, oznaczające rzucenie czarów, oczarowanie.

Mandragora — „atroppa mandragora" — w istocie oznacza narkotyczną i jadowitą roślinę, zbliżoną nieco do belladony. Ponieważ jednak korzenie mandragory, przybierają częstokroć kształty członków ludzkich, a nawet ludzkiej postaci — stare legendy głosiły, że w tej właśnie formie człowiek przyszedł na świat, później zaś dopiero przyłączyła się doń dusza. Z tej legendy skorzystali czarownicy, starając się mandragorom nadać nadprzyrodzone znaczenie. Wykopywali więc, mandragory, w ten sposób, że przywiązywali je sznurkiem do ogona psa, gdy zaś pies rzucał się, zabijali jednem uderzeniem noża, wierząc, iż dusza zwierzęcia, w przedśmiertnym konwulsjach, wcieli się w korzeń a później w drodze sympatji, ściągnie do się larwy. Jeden z najwstrętniejszych zabobonów.

Materializacja — wyraz ten oznacza zdolność przybierania na się postaci widzialnej przez istności niewidzialne — „duchy", jak chcą spirytyści. Dzieje się to przeważnie na seansach a zjawa czerpie siły od uśpionego medium.

Medium — pośrednik — osoba obdarzona specjalnymi właściwościami, dzięki którym występują siły niewidzialne.

Manes — według mitologii starożytnej dusze przodków zmarłych, pozostające w domu rodzinnym. Coś w rodzaju duchów opiekuńczych. Miano dla nich respekt wielki, stawiano im ołtarzyki, szykowano naiwnie, ulubione za życia jedzenia, napoje etc.

Manifestacja — przejaw siły niewidzialnej.

Magiczna laska — odróżniać od różdżki magicznej — laska używana podczas ewokacji. Por. „Magia i czary".

Metampsychoza — wiara starożytnych w wędrówkę dusz ludzkich. Metampsychoza tem różni się od reinkarnacji — że przy pierwszej, wierzono, iż dusza może się

wcielać w zwierzęta i ptaki, — przy reinkarnacji zaś — dusza może przechodzić tylko z człowieka w człowieka, dopóki nie dojdzie do zupełnej doskonałości.

Magiczny bęben — jest używany przez tatarów, celem wywoływania djabła.

Misteria — czyli wtajemniczenia. W ten sposób nazywano w starożytnym Egipcie, ceremonie, związane z przyjęciem nowego adepta.

Msza czarna — zobacz czarna msza.

Montosseron — polska księga o magii Lubomilczyka Polaka.

Młot na czarownice — Zbiór postanowień przeciw czarownicom w przekładzie Ząbkowicza, sekretarza ks. Ostrogskiego.

Mochlath — wedle kabalistów, jeden z czterech najgłówniejszych demonów żeńskich.

Moloch — Straszliwy bożek fenicjan, któremu składano krwawe ofiary, dzieci przeważnie. We wnętrzu wstrętnego bałwana gorzał ogień, w nim żywcem płonęli — wrzucani do środka.

Monstrum — dosłownie potwór. W średniowieczu tak nazywano dzieci, które miały powstać ze związku czarownicy z szatanem. Przeważnie, oczywiście, do tej kategorii zaliczano wybryki natury: noworodki o dwóch nosach, kilku rękach etc. Biedne matki spalano najspokojniej na stosie.

N.

Nagualizm — ogromnie ciekawy wypadek duchowej łączności mogącej zachodzić pomiędzy zwierzęciem a człowiekiem. Najłatwiej wyjaśnić go na przykładzie. Oto, opowiedziany przez jednego z misjonarzy w Meksyku.

Podczas wycieczki, olbrzymi krokodyl rzuca się na księdza, ojca Diego. Ojciec Diego, mężczyzna dobrze zbudowany i mocny swym okutym żelazem kijem bije,

ile sił krokodyla, aż ten puszcza go i pada, nieżywy na piasek.

Duchowny powraca do misji — a jakie jest zdumienie, gdy meldują, że właśnie umiera pewien młody indianin, głęboko nienawidzący księdza. Nosił on na swym ciele te same rany, co i krokodyl i zamarł o tej samej porze, gdy potwór zdychał nad brzegiem jeziora („Description geographique de la province de Santo-Domingo“ przez ojca Burgoa).

Różnica pomiędzy nagualizmem a likantropią zachodzi ta, że przy likantropii — czarownik przemienia się w zwierzę — a przy nagualizmie następuje ścisły związek między nim a zwierzęciem.

Nahemah — królowa Stryg, wedle kabalistów. Jedna z czterech małżonek Samaëla.

Nekromacja — wywoływanie umarłych. Patrz. ewokacje.

Nietoperz — ulubiony towarzysz czarownic, poczytywany przez demonologów za potwora o właściwościach diableskich

Newroza — choroba systemu nerwowego, stojąca w blizkim związku z halucynacjami.

O.

„O czarownicy powołanej“ — polska książka o czarownictwie.

Obi — straszliwa potęga tajemna, która miała zniszczyć ludność Antylli.

Objawy — patrz manifestacje. Wyraz ten obejmuje wszelakiego rodzaju zjawiska, powstałe na seansach za pomocą medium. Objawy bywają psychiczne, fizyczne, ektoplastyczne ect.

Obsesja — opętanie — opanowanie człowieka przez demona, lub larwę, ducha niższej kategorii. Celem uwolnienia od opętania używano egzorcyzmów.

Okultyzm — wiedza tajemna, badająca i tłomacząca w przyrodniczy i metafizyczny sposób, zjawiska, wchodzące w zakres spirytyzmu, hipnotyzmu, magii etc.

Ondyna — duch elementarny wody, wedle teorii kabalistów, raczej dobry i ludziom przychylny.

Okołoduch — zobacz Uzrocz.

P.

Pakt — umowa zawarta pomiędzy człowiekiem a demonem, w której człowiek, za posiadanie różnych ziemskich dóbr i szczęśliwości — przekazywał czartu swą duszę na wieki. Np. Faust, Twardowski etc.

Wymienię jeszcze polskie pakty: W Poznaniu, w 1722 r., ścięty przed ratuszem Andrzej Bocheński z Grodziska, będąc na służbie u pana Załuskiego w Pyzdrach, gdzie cierpiał wiele „z desperacji i melancholii, napisał karte, oddając się diabłu.

Toż samo uczynił w Krakowie w 1728 r. osiemnastoletni Kazimierz Kamiński „Oddał się był, cum anima, czartowi i na to cyrograf podpisał“ „pochop do tego zapisu—zeznaje Kamiński—miałem z relacji, która czynili w domu Imć Pana Jałowickiego o pewnym szlachcicu, który przedtem był chudym pachołkiem a teraz nietrudno mu o kilka milionów. Napisawszy tę kartę, zaraz z krwi palca, szpilką ukłuwszy się, w pióro wpuściłem i podpisawszy się, poszedłem pod Bożą Mękę, invocando złego ducha, ale mi się żaden natenczas nie pokazał, tylko we śnie pokazywały mi sie różne osoby, obiecując pieniadze, bylem tylko kilka niedziel poczekał... Nie miałem dotad żadnego podarunku, ani pieniedzy od czartów“.

Ze wzgledu na młody wiek, dano chłopcu tylko piećdziesiąt batów i nakazano, przez rok, soleniter, nabożeństwa odprawiać. Cyrograf widział w 1800 r. Czacki.

Palingenezją nazywamy ożywienie jakiegoś naturalnego ciała, zniszczonego częściowo, czy kompletnie. Pa-

lingenezja łączy się ściśle z tem, co nazywamy w naukach psychicznych i spirytyzmie: dematerializacją i rematerializacją i według tego określenia jest to przyszły stan żywych stworzeń, doprowadzenie ciała żywego, zniszczonego do poprzedniej formy.

Palingenezja dzieli się na nadprzyrodzoną i przyrodzoną. Ta ostatnia: na palingenezję zwierząt, roślin i minerałów i może być zarówno sztuczną, jak rzeczywistą. Sztuczna — przy pomocy optyki, chemii, elektryczności.

O rzeczywistej pisali: Platon, Seneka, Erast, Avicenna, Averoes Albert, Candan, Cornelius Agrypa, Teofrast, Maurer w swej ‚Amphiteatrum magiae universae“, Buffonect.

O palingenezji żywych ludzi mówiłem w pierwszej cześci tej książki w rozdziale. „Wskrzeszenie umarłych“. Tu zajmę się wyłącznie zwierzętami i przedmiotami.

Kircher w 1687 r. pokazał królowej Krystynie Szwedzkiej ożywienie róży. Sekret ten otrzymał od cesarza Ferdynanda III, który z kolei, posiadał go od arcyksięcia Maksymiliana, ten zaś od słynnego Terencjusza. Receptę tą odnaleźć można w dziele, wydrukowanym w 1785 r. we Frankfurcie p. t. „Künstliche Auferweckung der Pflanzen, Menschen und Thiere aus ihrer Asche“ t. j. „Sztuczne ożywianie roślin, ludzi i zwierząt z ich popiołów“. Lecz dzieło to jest mało zrozumiałe i wedle jego przepisów operacji robić nie można.

Zwrócimy się do innych pisarzy.

Cornelius Agrypa opowiada o pewnej arabskiej roślinie zwanej P a l i, mającej własność ożywania przy dotknięciu martwych ciał, a Kabaliści i po dziś dzień twiedzą, iż można dokonać ożywienia, przy pomocy kosteczki, zwanej Luc, rozpuszczonej w rosie niebieskiej i którą się naciera ciało zmarłego.

Najbardziej znany przepis z palingenezji Teofrasta Paracelsa brzmi:

Weź, niedawno wysiedzianego ptaka, zamknij her-

metycznie do szklanej kołby i spal stosownym ogniem, na popiół. Następnie postaw naczynie z popiołem spalonego ptaka w nawóz koński i trzymaj dopóty, dopóki nie ujrzysz pewnej śluzy. Śluz ten wlej i starannie do przyrządzonej skorupy jajka i podłóż pod ptaka, by na nim siedział, jak zwykle. Spalony ptaszek pojawi się z powrotem.

W ten sposób, sądzi Teofrast, można produkować wszelakiego rodzaju stworzenia, nie wyłączając żywych ludzi. Tegoż zdania jest hr. Digby, który udowadnia, że spaliwszy raka na popiół, można go stworzyć powtórnie. Szczegółowy opis odnajdujemy w Maurera „Amphiteatrum magiae universae". Pisze, iż czynił to z rybkami.

Peryspryt — zobacz ciało astralne.

Perfumy, wonności — przyciągają duchy, powiada Kornelius Agrypa, jak magnes żelazo przyciąga. Dlatego, podczas ceremonii magicznych palone są wonności i kadzidła.

Pieniądz fruwający — wedle podania, miał posiadać tą właściwość, iż nie pozostawał u tego komu był dany, ale powracał do swego pierwotnego pana. Oczywiście pochodzenie monety nosiło charakter czartowski.

Planszetka — deseczka, podobna do ekierki, z tą różnicą, że w ostry koniec ma wprawiony ołówek, który za położeniem ręki na leseczce, posuwa się sam po papierze, kreśląc zrazu litery, później wyrazy i zdania.

„Postępek prawa czartowskiego przeciw narodowi ludzkiemu" — polska książka o czarownictwie z 1570 r.

Pomady — lub maście czarowników. Przed udaniem się na sabat nacierali nimi ciało. Maście te nie są czczym wymysłem: istniały i zawierały silne narkotyki. Oczywiście natarty nimi, doznawał wizji sądził, że fruwa w powietrzu, uciestniczy w czartowskich zebraniach etc.

Python — węże w starożytności, poświęcone Apollinowi, które okręcały się dokoła ramion wróżek, podczas ich przepowiedni.

Psyche — oznacza w ogóle wewnętrzną istotę człowieka, specjalnie zaś psyche odpowiada terminowi — anima — dusza.

Ptaki — istnieje cały system wróżby z lotu ptaków.

Psychiczne objawy — zjawiska mediumiczne, czysto duchowej natury np. jasnowidzenie.

Psychograf — przyrząd, za pomocą którego niewidzialne istoty podsuwają litery, jakich potrzebują do wyrazów, dla porozumiewania się z uczestnikami seansów.

Psychometria — dar właściwy niektórym ludziom poznawania, za pomocą tylko dotknięcia, przeszłości najprzeróżniejszych przedmiotów, natury płynów, skuteczności lekarstw etc. Np. jeśli ktoś wieczorem oglądał sprzęt należący do zabitego a w nocy przeżyje wizję morderstwa — będzie to objaw psychometryczny.

Phrenelogia lub frenelogia — nauka o charakterze, przyszłości i przeszłości, na zasadzie kształtów czaszki. Pomieniona nauka skrystalizowaną została przez Jana Józefa Galla i Szpurtzheima.

Psychofonia — wyrażenie myśli przez ducha za pomocą medium rewelacyjnego.

Przenoszenie myśli — zobacz telepatia.

Próba — poddawanie czarownic różnym eksperymentom, celem ustalenia stosunku z czartem np. pławienie, nakłówanie igłami etc.

R.

Rabdomancja — patrz zaczarowana różdżka.

Reinkarnacja — ponowne wcielenia się dusz, dopóki nie dojdą do całkowitej doskonałości. Ostatnio tę teorię skrystalizował Allan Kardan. Por. metampsychoza.

Ręka wicielca — zobacz zabobon o ręce wisielca.

Rośliny magiczne — czyli specjalne rośliny, posiadające właściwości niezwykłe. Np. heliotrop, werwena,

melissa, lilia, belladona etc. Każda ma swój charakter, więc heliotrop — powoduje szczerość, werwena — miłość, melissa — wzmacnia, belladona — daje odwagę etc.

Rombus — rysunek magiczny, używany podczas ewokacji.

Ropucha — gad wielokrotnie używany w operacjach czarnej magii. Por. „Magia i Czary".

Różdżka czarodziejska — patrz zaczarowana różdżka.

S.

Sabat — patrz pop. rozdz.

Salamandra — duch elementarny ognia — wedle kabalistów.

Samael — wedle kabalistów — duch zły, władca ciemnoci. Posiada on cztery małżonki: Nahemah, Lilith, Mochlath i Aggarath.

Serafin — patrz archanioł.

Sybilla — słynna wróżka starożytności.

Senzytywność — podatność pewnych osób do wywoływania obiawów mediumicznych.

Siła żywotna (vis vitalis) — siła utrzymująca w organizmie życie i wszystkie jego funkcje.

Sobowtór — astralna, lub eteryczna postać człowieka, pojawiająca się samoistnie i niezależnie od postaci fizycznej, na dowolnej odległości. Por. rozdwajanie osobności.

Somnambulizm — uśpienie władz fizycznych przy jednoczesnym spotęgowaniu władz duchowych. Np. śpiący, posługując się t. zw. wzrokiem wewnętrznym, może wszystko najskrytsze przenikać.

Spontaniczne pismo — pismo bezpośrednie t. j. powstające pod wpływem mediów, na papierze, w dwóch złożonych tabliczkach, nawet na kartce w zamkniętej szkatułce — produkowane przez istności niewidzialne.

Spirytualizm — pogląd filozoficzny, uznający wyłącznie tylko istnienie istot duchowych, cały zaś świat ma-

terialny, poczytujących za złudzenie. Spirytualizm, jako słowo, używał się niejednokrotnie w Anglii i Ameryce w znaczeniu identycznym ze spirytyzmem.

Satyr — postać z mitologii starożytnej — pół człowiek pół kozioł, odznaczający się wielkim zamiłowaniem do porywania i uwodzenia niewiast.

Sekrety — środki tajemne uleczenia, zawarte w naiwnych, niby to okultystycznych książkach, będących szczytem idiotyzmu, jak np. różne „szóste i siódme księgi Mojżesza" — napisane przez analfabetów i wydrwigroszy. Jak drogo wielu prostaków, kupujących podobne idiotyzmy, zapłaciło za taką lekturę! Więc, aby uleczyć się z zapalenia zębów należy nosić włos czarnego kota przy sobie! Na ból głowy wystarczy — trzykrotnie obrócić się na pięcie w stronę zachodu! Aby sprowadzić do swego pokoju samotną dziewicę — trzeba pukać w stół etc.

Stygmaty czartowskie — pewne znaki, po których nieomylnie demonolodzy rozpoznawali, że dany osobnik utrzymuje stosunki z diabłem. Do podobnych stygmatów należą różne plamy na ciele, skazy oczu, również takie znaki: nieczułość na ból np. przypiekanie żelazem, brak łez podczas tortury, nietonięcie w wodzie etc.

Spirytyzm — nadanie praktykom nekromacji charakteru jakiejś religijne sekty. Ostatnio w połowie XIX w. Allan Kardec — sprecyzował spirytyzm, w religijno-filozoficzny system, opierający się głównie na reinkarnacji.

Sztylet magiczny — sztylet używany podczas ewokacji i służący za obronę przeciw złym duchom. Sztylet ma być ze stali, zarówno rączka, jak ostrze i poświęcony wedle specjalnego rytuału. Używano go w walce z larwami i istnościami nższego rzędu, w wypadkach „domów nawiedzanych". Por. Magia i Czary.

Szatan — zobacz diabeł.

Succub — demon złośliwy, przybierający na siebie kształty pięknej kobiety, celem cielesnego obcowania z mężczyzną. Patrz incub.

Sylf — duch elementarny powietrza, nie złośliwy.

Sugestia — podawanie myślowe medium, naszych chęci, woli, uczuć etc.—co też medium, bez rozkazu ustnego — wykonywuje.

T.

Talizman — przedmiot posiadający tę właściwość magiczną, iż przez jego noszenie, przyciągamy siły, mogące nam zapewnić szczęście, powodzenie, miłość etc. Talizmany są specjalnie wyrabiane i poświęcane, wedle rytuału. Por. amulet.

Tarot — pierwsza, według okultystów, księga napisana na ziemi. W gruncie rzeczy jest to gra, składająca się z 78 kart, podzielonych na 22 wielkie arkana, odpowiednio do liter hebrajskiego alfabetu. Do Europy przywiezioną została przez cyganów, którzy z tych kart wróżyli. Por. „Magja i czary".

Taumaturgia — czynienie rzeczy, przechodzących określone granice natury. Tu więc odnosić się będą t. zw. cuda, uleczanie nieuleczalnie chorych, wskrzeszanie umarłych etc.

Teraphim — tak nazywano wyrocznię u starożytnych hebrajczyków.

Telepatia — oddziaływanie z odległości na umysł i wolę drugiego człowieka. Por. przenoszenie myśli.

Test medium — oznacza medium udawadniające t. j. takie, przez które istności zaświata nadają, nietylko powierzchowne, lecz i psychiczne podobieństwo materializowanym przez się postaciom, znanych nam za życia nieboszczyków.

Teurgia — biała magia.

Trans — głęboki sen magnetyczny, podczas którego medium jest zupełnie nieświadome swego stanu. Od całkowitego transu należy odróżnić pół trans — kiedy medium jest na pół uśpione i wówczas w słowach jego mo-

gą przebijać się własne myśli, pomięszane z rewelacjami z zaświatów.

Transcedentalność — nadzmysłowość.

Transfiguracja — czasowa przemiana rysów twarzy, przekształcenie, przeobrażenie. W okultystycznym sensie, transfiguracja następuje, gdy ciałem danego osobnika owłada jakaś istność zaświatowa. Por. opętanie.

Typtologia — rozmowa z „duchami", za pomocą pukań nóżek seansowego stołu.

Thesaurus magicus — księga magiczna, wydana w Krakowie w 1637 r.

U.

Upas — nazwa jednej z najniebezpieczniejszych trucizn, niejednokrotnie używanej przez czarowników i wiedźmy do trunków i maści.

Uryna — jedna z najwstrętniejszych praktyk, polegająca na dołączaniu tej cieczy przez czarowników i wiedźmy, do najprzeróżniejszych napoi i lekarstw. Opierało się to na zabobonie niezwykłych właściwości cieczy, pochodzącej od młodych chłopców i dziewic i w ten sposób leczono np. reumatyzmy... Winszujemy!

Uzrocz lub okołoduch, tłomaczenie z francuskiego wyrazu „perisprit", oznaczającego, jak już nadmieniłem, to samo, co „ciało astralne". Spirytyści, specjalnie, wierzą, że uzrocz stale towarzyszy duchowi i nie ulega zniszczeniu, nawet po śmierci człowieka.

Urania — nazwa jednej z planet, wywierającej wpływ na losy człowieka.

Urzeczenie — zobacz wolta magiczna.

W.

Wampir — posiada w okultyzmie podwójne znaczenie: 1) oznacza t. zw. larwy, pragnące zaspokoić swe żą-

dze poziome i ciągnące siły od ludzi żywych, korzystając z ich złych namiętności. 2) wampiryzm w ścisłym tego słowa znaczeniu — fenomen, — mający, jakoby na tem polegać, iż po śmierci niektórych jednostek, ich ciało astralne nie oddziela się od fizycznego w grobie, a żyje w nim dalej, starając się siły żywotne podtrzymać w ten sposób, iż wysysa krew z żywych i nią karmi trupa. Dowodem tego miałyby być wypadki, gdy po rozkopaniu grobu, w parę miesięcy po śmierci, odnajdywano nieboszczyka, nie w stanie rozkładu, a świetnie wyglądającego i zaróżowionego. Wtedy wbijano mu pal w piersi. Ożywał na chwilę, wydał straszliwy jęk i umierał po raz wtóry... bezpowrotnie. Od komentarzy wstrzymuję się.

Wilkołak — zobacz lykantropia.

Wolta — magiczna, albo oczarowanie, urzeczenie, polega na specjalnych praktykach czarnej magii, mających za cel szkodzić komuś, albo zmusić do czegoś.

Woskowe figurki — były właśnie używane, celem wolt magicznych. Lepiono figurkę, możliwie podobną do tego, kogo wyobrażać miała. Podobieństwo nie było warunkiem nieodzownym — musiała natomiast koniecznie zawierać coś, pochodzącego od jednej osoby, więc: włos, paznokieć, część ubrania.

Jeśli przy pomocy takiej kukły pragnęło się pozyskać miłość —należało ją ściskać, obejmować, pieścić, całować — jeśli służyła do celów nienawiści — dręczyć, nakłuwać szpilkami, topić nad ogniem — a wówczas ten, którego reprezentowała, chorował, nikł w oczach i umierał.

Ostatnio z podobnymi figurami czynił doświadczenia de Rochas, Por. „Magia i czary“.

Wizja — widzenie niezwykłe.

Wizjoner — człowiek obdarzony zdolnością widzenia tego, co dzieje się w zaświatach.

Widmo — duch, zjawa, widzenie niezwykłe.

Wzrok podwójny — zdolność niektórych jednostek widze-

nia na odległość, czytania przez zamknięte koperty etc. Por. jasnowidzenie i wydzielanie ciała astralnego.

Węzły — zabobon, polegający na tem, że jeśli zawiąże się węzły na chustce, sznurze etc., wymawiając odpowiednie zaklęcia, można przeszkodzić wrogowi w wykonaniu jakiejś czynności. O ile więc np. ukochana wyjdzie zamąż za kogoś innego — wiążąc trzy węzły, można uniemożliwić mu spełnianie obowiązków małżeńskich.

Wąż — jest jednym z symbolów hermetyzmu i magii wyższej. Przeważnie, przedstawiają nam go, w kształcie — zwiniętego w koło i trzymającego w paszczy ogon własny. Oznacza to kabalistycznie tajemnice i zawarty krąg czynności. Między innymi Cagliostro używał rysunku węża, jako symbolu i pomieszczał na swoich pieczęciach.

Wdzielanie ciała astralnego — patrz. „Ciało astralne" i „Magia i czary".

V.

Vaudoux — straszliwa sekta, czcząca węża i oddająca jednocześnie hołd szatanowi. Składa krwawe ofiary; porywa w tym celu dzieci i kobiety. Początkowo istniała tylko śród murzynów Afryki, obecnie, podobno, ohydne obrządki mają mieć miejsce w Europie np. we Francji.

Vitzli putzli — krwawy bóg Meksykańczyków, któremu przynoszone były krwawe ofiary.

Z.

Zaczarowana różdżka — albo różdżka czarodziejska — nie należy łączyć z laską magiczną. Laska magiczna służy do ceremonii magicznych — zaś różdżka czarodziejska do poszukiwania skarbów, ukrytych w ziemi. W tym celu ścina się rozdwojoną gałąź olszyny, lub orzechowego drzewa tak, aby oba ramiona gałęzi utworzyły trój-

kąt i ujmuje się oburącz za każdy z końców, trzymając szpicem, zwróconym do siebie. Gdy, z podobnie trzymaną różdżką, postępować będziemy na terenie, w którym znajdują się zakopane skarby, metale etc. — różdżka zadrży i nachyli ku ziemi, wskazując poszukiwane miejsca. Istotnie, w paru wypadkach, podobne próby osiągnęły pomyślny rezultat — co przypisać należy nie właściwości różdżki — a medialności eksperymentatorów.

Zabobon o ręce wisielca (main de gloire) — polega na tem, iż w średniowieczu wielu zbrodniarzy wierzyło, że jeśli uciąć wisielcowi rękę, wysuszyć ją, zabrać z sobą na miejsce przestępstwa i tam w tę rękę wstawić świecę — staną się oni niewidzialni dla każdego, co niespodzianie do komnaty wejdzie. Jednocześnie — domowników ogarnie sen, tak silny, iż śmiało i bezpiecznie rozgrabią dom cały i wyjdą niepostrzeżenie.

W ten sposób zeznawali złodzieje w średniowiecznych procesach a przyłapani, tłomaczyli niepowodzenie, iż właśnie nie zabrali z sobą „ręki wisieca".

Zanoni — nazwa romansu Lytton Bulwera, przedstawiającego sekreta różokrzyżówców. Patrz. poprz. rozdz.

KONIEC